OSTRA ROZMOWA Z POLITYKIEM KONFEDERACJI

Grzegorz Braun: Politycy Platformy ocierają się o zdradę stanu

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 17/370 20–26 KWIETNIA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Co będzie z Kościołem po pandemii?

ZANIM LE PEN ZOSTAŁ LE PENEM – ESEJ MARKA JURKA

Reportaż Niewińskiej ze spotkania zwolenniczek aborcji na życzenie

Plan Gowina

Z BYŁYM WICEPREMIEREM O JEGO PRZESZŁOŚCI I PRZYSZŁOŚCI W POLITYCE

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 17 >

Nakład: 58 500 egzemplarzy

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Jesteśmy blisko Ciebie

Dbamy o bezpieczeństwo energetyczne Polaków

Zapewniamy niskie ceny gazu dla gospodarstw domowych

PGNiG | DOBRA ENERGIA TANI GAZ

pgnig.pl/4a7b8d3ea0

Połącz się z dedykowaną infolinią:

22 484 84 84
732 122 500

Koszt połączenia zgodny z cennikiem operatora

KPRM

Tarcza antykryzysowa

Chroni przedsiębiorców i miejsca pracy!

Tarcza antykryzysowa już działa!

15 kwietnia ZUS wypłacił pierwsze świadczenia postojowe.
Na konta **86 tysięcy przedsiębiorców** wpłynęło ponad **172 mln złotych.**

Świadczenie postojowe dla prowadzących działalność gospodarczą

Świadczenie postojowe jest zwolnione z podatku dochodowego i nie jest oskładkowane.

Dla kogo?

- Rozpocząłeś prowadzenie działalności gospodarczej przed 1 lutego 2020 r.
- Twój przychód był o co najmniej 15% niższy lub zawiesiłeś prowadzenie działalności po 31 stycznia 2020 r.
- Twój przychód w miesiącu poprzedzającym złożenie wniosku o świadczenie nie przekraczał limitu (300% przeciętnego miesięcznego wynagrodzenia).
- Nie masz innego tytułu do ubezpieczeń społecznych (np. umowy o pracę).

Kiedy można złożyć wniosek?

- Najpóźniej w terminie 3 miesięcy od miesiąca, w którym został zniesiony stan epidemii.

Jak złożyć wniosek?

- **Drogą elektroniczną przez PUE ZUS.**
- Za pośrednictwem poczty.
- Osobiście w placówce ZUS – do skrzynki na dokumenty.

Czy wiesz, że...

Do 15 kwietnia do ZUS wpłynęło 783 tysiące wniosków, w tym:

542 096
zwolnień z obowiązku opłacenia należności z tytułu składek za marzec - maj 2020 r.

138 027
świadczeń postojowych dla osób prowadzących działalność gospodarczą

66 212
pożyczek dla mikroprzedsiębiorców

12 001
świadczeń postojowych dla umów cywilnoprawnych

15 688
odroczeń składek ZUS bez opłat

9673
wniosków o wsparcie na ochronę miejsc pracy

Sprawdź jak Tarcza Antykryzysowa może pomóc Tobie: **gov.pl/tarczaantykryzysowa**

KPRM Tarcza Antykryzysowa

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Cywilizacja doczesności

Jaki będzie nasz świat po ustąpieniu epidemii? To pytanie zadaje sobie wielu publicystów, polityków i myślicieli. Jak zmieni się gospodarka? W jaki sposób obecne doświadczenie wpłynie na praktyki religijne? Wygląda na to, że pierwszą ofiarą, widać to już teraz wyraźnie, może być ludzka wolność. W imię walki z potencjalnymi zagrożeniami społeczeństwo coraz chętniej gotowe jest wyrzekać się swoich dotychczasowych swobód i przekazywać pełnię odpowiedzialności w ręce władzy. A ta, niczym prawdziwie oświecony absolutny monarcha, coraz chętniej, dla naszego dobra, a jakże, gotowa jest precyzyjnie i dokładnie przesuwać granice i reglamentować również te dziedziny życia, które wcześniej, wydawało się, żadnym restrykcjom i przepisom podlegać nie mogą.

RYSUNEK TYGODNIA

Faktycznie, człowiekowi w XXI w. udało się stworzyć cywilizację paradoksalną. Z jednej strony jest ona skrajnie okrutna. Nigdy wcześniej w dziejach z podobną nonszalancją i obojętnością na tak masową skalę nie godzono się zabijać niewinnych, ledwo poczętych ludzi. Masowe pozbywanie się w legalny sposób milionów nienarodzonych dzieci, zabijanie ich, jakby były zbytecznym zbiorem komórek i tkanek, odczłowieczenie samego aktu zadawania śmierci – wystarczy wziąć odpowiednią tabletkę – to przecież prawdziwy symbol tej nowej, postępowej kultury. Nawet teraz, nawet w sytuacji zagrożenia, państwa liberalne troszczą się szczególnie o to, by system zabijania najbardziej bezbronnych funkcjonował sprawnie i bez zahamowania. Podobne okrucieństwo przejawia się w innych działaniach państwa liberalnego, kiedy to rozszerza się zgodę na eutanazję lub sugeruje, że w przypadku konieczności wyboru w pierwszej mierze należy godzić się na śmierć ludzi starszych.

Z drugiej strony jest niebywale delikatna. To samo państwo gotowe jest użyć wszystkich możliwych metod, byle tylko obronić życie i zdrowie maksymalnej liczby obywateli. Dlatego na niespotykaną wcześniej skalę wprowadza ograniczenia swobody, pilnuje przestrzegania reguł sanitarnych, wreszcie posuwa się do metod znanych wcześniej jedynie społeczeństwom opanowanym przez władzę totalitarną, mając zresztą akceptację większości. W imię bezpieczeństwa wspiera powszechną inwigilację i zachęca do donosicielstwa (jeśli ktoś próbuje się z systemu wyłamać). Podobnie wspiera ograniczenie, ewentualnie zaleca zerwanie najbardziej naturalnych i bliskich relacji międzyludzkich (pamiętam hasło na jednym z wielkich portali w przededniu Wielkanocy: „Miej jaja, nie odwiedzaj rodziny"). Jak to zatem pogodzić? Jak zrozumieć ten paradoks: z jednej strony skrajnego okrucieństwa, z drugiej faktycznej, obsesyjnej wręcz troski o ludzkie bezpieczeństwo? Do tej pory na świecie zakwalifikowano dwie tysięczne procent zgonów jako wywołanych przez COVID-19!

Nie da się zrozumieć tego zjawiska, jeśli nie zrozumie się, o jakie życie tu chodzi. Współczesne państwo liberalne nie chroni życia jako dobra obiektywnego, danego z góry. Gdyby tak było, to właśnie szczególnej ochronie podlegałoby życie nienarodzonych jeszcze. Gdyby tak było, nigdy nie zgodzono by się na żadną ustawę eutanazyjną, czyli na bezkarne zabijanie ludzi starych, chorych, ewentualnie, coraz częściej, sfrustrowanych i zgorzkniałych. Nie. Współczesne państwo liberalne otacza ochroną doczesne życie zdrowych jednostek, których cechą szczególną jest to, że mogą je wykorzystać do konsumpcji i nasycenia się. Z tego punktu widzenia śmierć jest, inaczej niż we wcześniejszych kulturach i cywilizacjach, prawdziwą, przerażającą, koszmarną, niewypowiedzianą grozą. W ateistycznej cywilizacji skrajnej doczesności śmierć nie może mieć żadnego wyższego sensu, donikąd nie prowadzi, żadnych drzwi przed niczym wyższym nie otwiera. Musi ona zatem budzić lęk i przerażenie w stopniu wcześniej człowiekowi nieznanym. Cywilizacja ta wychowuje ludzi skrajnie nieodpornych na strach, ludzi, dla których ich bezpieczeństwo i maksymalne przedłużenie zdolności konsumowania jest najwyższym, bezwzględnym dobrem. Człowiek konsument zastąpił człowieka z nieśmiertelną duszą. Państwo liberalne zatem w coraz większej mierze przeistacza się w potężnego molocha, który krok po kroku, zawsze w imię bezpieczeństwa swoich obywateli, zapewnia im maksimum ochrony.

Jeśli ta analiza jest prawdziwa, to łatwo sobie wyobrazić, dokąd może zmierzać świat po epidemii. Po? A co, jeśli pozostanie ona z nami na dłużej albo – co równie prawdopodobne – jeśli na jej miejsce pojawią się inne zagrożenia? Wolność nigdy jeszcze nie była tak zagrożona jak obecnie. Nowe technologie, pozwalające na kontrolę jednostek, emocjonalna presja ze strony mediów, które wytwarzają stan psychozy, i skrajne pogrążenie się w doczesności – nigdy wcześniej nie pojawiła się równie niebezpieczna mieszanka. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z JAROSŁAWEM GOWINEM
PIERWSZY TERMIN TO SIERPIEŃ
Były wicepremier m.in. o terminie wyborów prezydenckich, swojej przeszłości oraz przyszłości w polityce

KRAJ

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ROZMRAŻANIE PANIKI
Szukanie strategii na koronawirusa

26 ŁUKASZ ZBORALSKI
PRAWO I PIĘŚĆ

28 WOJCIECH WYBRANOWSKI
FIASKO PROJEKTU „HOŁOWNIA"?

30 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
WŁASNY ŚWIAT FEMINISTEK

KULTURA

34 JERZY MIZIOŁEK
CHOPIN I TRIUMF NAUKI
Szansa na nowe muzeum

38 PIOTR GOCIEK
CO LUBIĄ TYGRYSY

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

46 ROZMOWA Z GRZEGORZEM BRAUNEM
POLSKA, CZYLI „KONDOMINIUM"
Politycy Platformy ocierają się o zdradę stanu

50 ŁUKASZ WARZECHA
WOLNOŚĆ ZA ZDROWIE?

HISTORIA

52 MAREK JUREK
ZANIM LE PEN ZOSTAŁ LE PENEM
Pseudoprawica de Gaulle'a

58 PIOTR SEMKA
SZKOCKA KRATA I WŁOSKIE NIEBO

ŚWIAT

62 KRYSTIAN KRATIUK
JAKI BĘDZIE KOŚCIÓŁ PO EPIDEMII?
Czy katolicy wrócą do świątyń?

66 JAKUB WOZINSKI
EPIDEMICZNY RADYKALIZM

EKONOMIA

68 JACEK PRZYBYLSKI
PENSJA ZA NIC. DLA KAŻDEGO
Bezwarunkowy dochód podstawowy zyskał na popularności

70 TOMASZ CUKIERNIK
JADWIGA EMILEWICZ – PRAGMATYCZNA WICEPREMIER

STYL

74 JOANNA BOJAŃCZYK
REALITY Z MIOTŁĄ W TLE
Dziś sprzątanie przestaje być czynnością rytualną

O ZDROWIU

76 KATARZYNA PINKOSZ
KOBIETY MOTYLE
Leczenie raka jajnika w czasie epidemii COVID-19

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (16), ZYCHOWICZ, KOPER (56), PRZYBYLSKI (65), GABRYEL, WARZECHA (72), KOMUDA (78), ZALEWSKI, MAKOWSKI (81), ROSZKOWSKI (82)

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

NA PIERWSZY OGIEŃ

Łódeczki na fali (wyborczej)

PIOTR SEMKA

Analityk sondaży Marcin Palade napisał niedawno bardzo trafne zdanie: „Ofertą wydłużenia kadencji prezydenta o dwa lata powinno być zainteresowane otoczenie kandydatów, którzy: 1. Mocno tracą w sondażach (szansa na nowe otwarcie, w tym personalne), 2. Znajdują się w dole tabeli rankingowej (może kiedyś będzie lepiej)". Palade wskazał, że w tym ujęciu przełożenie wyborów mogłoby zyskać większość zdolną do zmian konstytucyjnych 235 (PiS) + 134 (KO) + 11 (Konfederacja) = 380.

Oczywiście wiem, że przy podjęciu takiej decyzji przez partie opozycji wchodzą w grę dodatkowe czynniki, takie jak doktryna „ani jednego dnia władzy PiS dłużej", brak zaufania do Jarosława Kaczyńskiego czy niechęć do tego, co lewica nazywa „majstrowaniem przy konstytucji". Każdy, kto zna mechanizmy polityki, wie jednak, że gdyby wszystkie partie siadły do stołu i nie wypuszczały przecieków do mediów, znaleźć można by było jakieś rozwiązanie satysfakcjonujące wszystkie strony. Można by było, ale nie w Polsce.

Państwo nad Wisłą jest bowiem krainą, w której to opozycja medialna orzeka, co może robić opozycja polityczna. Dla opozycji medialnej sytuacja taka jest bardzo wygodna, bo wymusza spolegliwość polityków, a w razie niepowodzenia tylko na tych drugich spadają skutki nietrafnych decyzji.

Tak było w 2016 r., gdy „Wyborcza" postawiła na Mateusza Kijowskiego, nie wnikając specjalnie, czy aby nowy faworyt nie ma jakichś słabych stron. Liderowi KOD wróżono wielką karierę polityczną. Kto dziś pamięta egzaltowane zapowiedzi, że KOD może stać się liderem koalicji Wolność Równość Demokracja, która miała skupić wszystkie partie opozycji od PSL przez SLD do Partii Zieloni? Jeden jedyny Grzegorz Schetyna nie poddał się temu szaleństwu, ale na wiece KOD-ziarzy posłusznie przychodził. Kijowski szybko okazał się postacią mocno kłopotliwą i cały plan jego kariery diabli wzięli, ale „GW" z powodu swoich nietrafnych rad nie poniosła wizerunkowo żadnych konsekwencji.

A teraz drugi przykład. Na przełomie kwietnia i maja 2016 r. Jarosław Kaczyński zaproponował opozycji rozmowy na temat wyjścia z pata w Trybunale Konstytucyjnym poprzez takie zmiany w konstytucji, by można było na nowo ukształtować ten organ państwa. Na jedno z pierwszych spotkań przybył Ryszard Petru, który zobaczył w tym szansę dla siebie. Wystarczył jednak wściekły atak medialny na Petru jako „użytecznego idiotę Kaczyńskiego", by lider Nowoczesnej położył uszy po sobie i wycofał się z dalszych rozmów. Kto wie, może gdyby wtedy się nie uląkł, byłby dziś ze swoją partią w Sejmie?

Dwa przykłady z wielu. Opozycja sparaliżowana strachem, co powie Jacek Żakowski, Tomasz Lis czy redaktorzy i redaktorki OKO.press, ponosi raz po raz porażki, ale nie ma w swoim gronie kogoś na tyle odważnego, by sprzeciwić się dyktatowi. Skoro tak, to trzeba płacić za to słoną cenę. I wiecznie gonić za dwoma panami – PiS, który dyktuje warunki gry, i medialną opozycją, której kapryśne rady niewiele dają. I jak tu żyć, panie i panowie? ©℗

FOT. BLOOMBERG/POOL/GETTY IMAGES

TAJNA BROŃ RYWALA TRUMPA

Barack Obama oficjalnie poparł Joego Bidena, który ograł innych demokratów w walce o partyjną nominację. Symboliczny gest istotnie zwiększa szanse Bidena w rywalizacji z pochłoniętym walką z pandemią Donaldem Trumpem. Rzadko już pojawiający się publicznie Obama nadal cieszy się w USA dużą popularnością wśród czarnoskórych oraz młodych wyborców. Może również przekonać do Bidena zwolenników Sandersa. Demokraci liczą także na wsparcie Michelle Obamy, która może zachęcić do głosowania wiele Amerykanek. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Blanka Aleksowska**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Sandra Skibniewska**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także „Super Express").

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Beata Zawrzel/REPORTER**
WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10
ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 58 500 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.
PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl
Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

Drodzy Czytelnicy,

Korespondencję elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Prymas Wyszyński, władca dusz polskich", Krzysztof Masłoń, „DRz" nr 16/2020

Dziękuję panu redaktorowi Krzysztofowi Masłoniowi za artykuł poświęcony kard. Stefanowi Wyszyńskiemu. Pan redaktor stawia w swym tekście pytanie: „Co dzisiaj, w obliczu i dawnych, i zupełnie nowych zagrożeń, powiedziałby Prymas Tysiąclecia Polakom?". Zgadzam się z autorem, że mógłby chcieć powtórzyć swe słowa o trwaniu narodu, które skierował do kombatantów w 1981 r.

Chciałbym się podzielić innym cytatem, który ostatnio przemówił do mnie bardzo mocno, a który jest dziś wyjątkowo aktualny. W Wielkim Poście

sięgnąłem po raz kolejny po „Zapiski więzienne" kard. Stefana Wyszyńskiego. Tak Prymas pisał w Niedzielę Zmartwychwstania 10 kwietnia 1955 r., gdy przebywał na internowaniu w Prudniku Śląskim: „Valde mane [wcześnie rano] odprawiliśmy rezurekcję w naszej kapliczce: bez procesji, natomiast z Jutrznią śpiewaną i Te Deum. I te święta spędziliśmy wspólnie: i w kaplicy, i przy stole, i w czasie popołudniowych »posiedzeń«. Było wiele śpiewu i radości na piętrze, głęboka cisza i powaga na parterze i na drugim piętrze. Ludzie, których pozbawiono radości religijnych, siedzą jak ptaki z podwiązanymi skrzydłami. Żal nam tych ludzi. [...]

Moi towarzysze doli są pełni pogody i wesela. Słyszę ich śpiewne głosy. [...] Gdy Chrystus zmartwychwstał, objawił tyle możliwości przed ludźmi, że już jest nam wszystko jedno, w jakiej obecnie jesteśmy sytuacji. Wiemy, że są przed nami wszystkie możliwości. A kto »wszystko może w Tym, który umacnia«, nie pamięta o tym, co jest dziś".

Lekturę „Zapisków..." z serca polecam w tym trudnym czasie. Każda strona to przykład niebywałej pogody ducha, siły wiary i męstwa. Niezależnie od sytuacji. Zaiste rację ma Krzysztof Masłoń – długo, za długo, przyszło nam czekać na wyniesienie Prymasa Tysiąclecia na ołtarze.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

To wyzwanie!

„Potrzeba było miliarda lat, by powstał twój umysł. I po co?". Te słowa M.R. Kopmeyera to chyba jedno z najbardziej przykrych pytań, jakie można zadać człowiekowi. A jednak jakże często chce się je postawić! I jakże często, niestety, powinno się je stawiać! Szczególnie teraz, w dobie globalnego zagrożenia koronawirusem.

To jest czas wielkiej próby dla nas wszystkich. Lekarze proszą: „Nie lekceważcie ostrzeżeń, nie czekajcie na cud, ale sprawcie, żeby cuda się działy! Bądźcie mądrzejsi i silniejsi od epidemii, nie wychodźcie z domu, zachowujcie dystans i higienę, nie narażajcie siebie i innych". A co my na to? No różnie.

Dla mnie te restrykcje też są uciążliwe. Siedzę w wieżowcu na szóstym piętrze, idę sporadycznie po najpotrzebniejsze zakupy i tęsknię za lasem, do którego chodziłam codziennie na ośmiokilometrowe spacery. Nie spotykam się z przyjaciółmi, unikam ludzi. I jest mi z tym źle. Ale to przecież nie koniec świata!

Nie traktuję koronawirusa jak dopustu Bożego, ale jak wyzwanie. Wiem, że muszę stawić mu czoło. Nie poddawać się, bo w końcu coś musi się załamać, więc jeśli nie ja, to... No właśnie. Taką postawę obserwujemy u narażających swoje zdrowie i życie lekarzy, pielęgniarek, ratowników oraz pozostałego personelu opieki medycznej. I chwała im za to!

Stanisław Lec stwierdził przed laty: „Wolę napis »Wstęp wzbroniony« aniżeli – »Wyjścia nie ma«. Ja też tak wolę. I dlatego stawiam, również sobie, sformułowane na wstępie pytanie: I po co?

Ano po to, żeby dawać sobie radę z życiem. W końcu – jak twierdzą uczeni – mamy do dyspozycji 60 bln komórek. I to każdy tak ma! Niestety, jak widać, nie wszyscy z nich korzystamy. Wielka szkoda! [...]

Pozdrawiam
Danuta z Torunia

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Prezes „piwotalna”

Pani Małgorzata Gersdorf zaskoczyła swoich zwolenników: odwołała zaplanowane na 21 kwietnia głosowanie, w którym wybrani mieli zostać kandydaci do następstwa po niej na stanowisku I prezesa Sądu Najwyższego. Oficjalnym powodem jest, jak łatwo się domyślić, stan zagrożenia epidemiologicznego. Wielu jednak w to nie wierzy – można było przecież przeprowadzić zebranie i głosowanie zdalnie. Pojawiły się nieoficjalne wyjaśnienia, że prezes Gersdorf ma już dość przeciągającego się konfliktu z władzą i chce spokojnie odejść na zasłużoną emeryturę. Bo zgodnie z literą prawa, jeśli owych wyborów nie przeprowadzi ona, to przeprowadzi je ktoś wskazany przez urzędującego prezydenta, a to znowu znaczy, że także ktoś wskazany przez urzędującego prezydenta zostanie gładko następcą pani Gersdorf w Sądzie Najwyższym.

Co to oznacza dla sędziowskiego rokoszu i prawników, którzy się weń zaangażowali, nie trzeba chyba wyjaśniać. Prezes Gersdorf ściągnęła więc na siebie tą decyzją falę słabo skrywanej wściekłości. Ponadto ona sama ma pełne prawo twierdzić, że „totalna opozycja”, mówiąc potocznie, zostawiła ją na lodzie, przyjmując za wytyczną swej strategii niedopuszczenie do wyborów prezydenckich w konstytucyjnym, majowym terminie. Być może opozycja tego nie przemyślała, ale w tej sytuacji cała strategia rokoszu, nakierowana na odwleczenie wyboru nowego I prezesa SN, w oparciu o rekomendacje TSUE, na czas po wyborach, w nadziei, że wygra je opozycja, straciła sens.

Swego czasu w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” pani prezes przyznała z zaskakującą szczerością, że zawarła była z prezydentem kompromis co do ustaw reformujących wymiar sprawiedliwości, ale potem zerwała go, bo „przyjaciele” przekonali ją, iż jest ostatnim bastionem obrony demokracji i praworządności w Polsce. Nie budzi to szacunku dla pani Gersdorf, która, zdaje się, ma zdanie ostatniej osoby, która z nią na dany temat rozmawiała. Najwyraźniej kwarantanna sprawiła, że „przyjaciele” stracili na nią dotychczasowy wpływ. Cokolwiek powiedzieć: wygaszenie tego rokoszu byłoby dobrą wiadomością dla Polski. Ale poczekajmy, czy aby nie okaże się, że pani prezes znowu z kimś porozmawiała i znowu diametralnie zmieniła zdanie. ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Prawa nie dla wszystkich

Prawa obywatelskie to bardzo fajna sprawa. Tak fajna, że lewicowi aktywiści i środowiska lewicowo-liberalne są gotowi umieszczać je na sztandarach i przynajmniej medialnie bić się o nie do upadłego. Pod warunkiem oczywiście, że prawa obywateli nie stoją w sprzeczności z interesami tychże grup lub z rewolucyjnym światopoglądem. Wtedy jest dokładnie tak jak z międzynarodowym lewactwem i projektem ustawy zabraniającej mordowania dzieci poczętych tylko dlatego, że mogłyby urodzić się one z pewnym stopniem niepełnosprawności. Projekt trafił do Sejmu, bo zgodnie z polskim prawem mija już czas, po którym powinien być procedowany, i ależ się gwałt podniósł.

Lewicowa Human Rights Watch zaatakowała polski rząd, że wykorzystuje – uwaga! – koronawirusa i próbuje ograniczyć prawa obywateli. O tym, że projekt jest właśnie obywatelski, nie rządowy czy poselski, już lewicowi aktywiści – zarówno zagraniczni, jak i ci polscy z czarnego protestu – milczeli, nie pasowałoby to do politycznej narracji.

Polityka odegrała w całej sprawie istotną rolę. Znacznie większą niż rzeczone prawa obywatelskie, bo kwestia antyaborcyjnego projektu została już wykorzystana do próby rozpętania w Polsce kolejnej wojny światopoglądowej. Feministki wyszły, co prawda w dwumetrowych odstępach, na ulice, a Małgorzata Kidawa-Błońska, ta sama, która to nie prowadzi kampanii wyborczej, nagrała wyborczy filmik, w którym atakując prezydenta Dudę, przekonywała, że ona sama zawsze była przeciwko zaostrzeniu antyaborcyjnych przepisów.

Cóż, jeśli nie ma się nic do powiedzenia w sprawach gospodarczych i społecznych, to zawsze można uruchomić ideologiczny front. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O solidarności w czasach zarazy

Piękne słowo „solidarność", w które świeży sens tchnęli Polacy 40 lat temu, wróciło do lamusa. Wydobywają je stamtąd czasem cyniczni politycy, politykierzy i spece od propagandy, by ozdobić swoje przemówienia. Chyba jedyną osobą na naszej planecie, która może po nie sięgnąć, nie narażając się na zarzuty o oportunizm i hipokryzję, pozostał papież. Zrobił z niego użytek w orędziu wielkanocnym.

Warto przypomnieć: „Dziś Unia Europejska stoi przed epokowym wyzwaniem, od którego zależeć będzie nie tylko jej przyszłość, lecz także przyszłość całego świata. Nie można stracić okazji, by dać kolejny dowód solidarności, także poprzez uciekanie się do rozwiązań innowacyjnych". Dodał, że alternatywą jest egoizm, który stanowi zagrożenie dla pokoju.

W czwartek 23 kwietnia rozpocznie się telekonferencja przywódców państw unijnych. Nie wiem, czy słusznie, ale wielu mądrych ludzi sądzi, że będzie to jeden z najważniejszych szczytów w historii wspólnoty. Pesymiści obawiają się, że egoizm zwycięży i piękny sen o europejskim braterstwie przepoczwarzy się w koszmar Włochów i Hiszpanów, a w końcu całej Unii. Przestrzegają, że jeśli przywódcom zabraknie wyobraźni i serca, te obrady będą de facto gwoździem do unijnej trumny.

Kwestia jest bardzo prosta, mimo że utytłana w pustosłowiu polityków, mediów i unijnym newspeaku. Bogate państwa Unii nie chcą bezinteresownie pomóc biednym, choć zdają sobie sprawę, że brak takiej pomocy może skończyć się tragedią. Dlaczego? Idiotyzm tłumaczeń jaśnie oświeconych wzbudza pusty śmiech. Tyle że w Italii nikomu do śmiechu nie jest. Były premier Włoch, obecnie unijny komisarz ds. gospodarki, Paolo Gentiloni żołnierskim językiem wyłożył sprawę swoim rodakom w telewizji: rządy Niemiec i Niderlandów nie mogą bezinteresownie pomóc, bo jeśli pomogą, to władzę tam przejmą nacjonaliści i będzie koniec Unii, euro i świata. Brakowało tylko apelu, by Włosi poświęcili siebie i swoje państwo dla dobra wyższej sprawy. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wyrzec się złych emocji

Jak budować wspólnotę w trudnych czasach pandemii? Może zaczynając od przepracowania narodowych traum? „Dziesięć lat smoleńskiej wojny domowej wystarczy. Wyrzec się złych emocji i zacząć na nowo budować wspólnotę – to byłby najlepszy hołd złożony wszystkim ofiarom katastrofy. Spróbujmy" – zaproponował Donald Tusk. Na jego apel szybko odpowiedzieli samorządowcy. „Rozmawiałem z przedstawicielem Ambasady USA w Polsce [...]. Szczerze odpowiedziałem, że obecnie mamy dwa problemy: walkę z koronawirusem i nieodpowiedzialne zachowanie władzy, która jest w rękach psychopaty" – zdradził Jacek Jaśkowiak.

Drogą wyrzekania się złych emocji podążył również były szef PO. „Kompetencje, mocarstwowość i dalekowzroczność pisowskich kadr w pigułce: LOT odstąpił od zakupu niemieckich linii lotniczych Condor. Czy ci, którzy jeszcze kilka tygodni temu nieśli sztandar gospodarczej propagandy sukcesu, ujawnią, ile polski podatnik zapłaci za zerwanie umowy?" – zapytał Grzegorz Schetyna. A że w międzyczasie doszło do paraliżu ruchu lotniczego, natomiast umowa została zerwana ze względu na braki formalne strony niemieckiej... cóż.

Do budowania wspólnoty zabrali się również tzw. wpływowi internauci. „Małgorzata Kidawa-Błońska wspomina: »Mojego ojca zawsze śmieszyło, że nasi krewni walczyli po jednej i po drugiej strony bitwy pod Grunwaldem«. A mnie bawi, że szydzi z tego prawactwo, które w rodowej genealogii nie jest w stanie sięgnąć dalej niż do trzeciego pokolenia chłopów pańszczyźnianych wstecz" – przyznał niejaki FanTomas Szary z #SilnychRazem.

Może w takim razie udałoby się nam dogadać na tle symboli, wiary i tradycji? „W Turynie pokłoniłem się jednej z najświętszych relikwii chrześcijaństwa" – napisał Radosław Sikorski, przedstawiając wizerunek z Całunu Turyńskiego. Tyle że zrobił to dwa lata temu. „Czy średniowieczny falsyfikat może zatrzymać pandemię?" – głosił już jednak kwietniowy komentarz do nadzwyczajnego wystawienia tkaniny na widok publiczny. „Atmosfera w Polsce taka, jakby cały kraj jednocześnie 5 dni temu rzucił palenie" – podsumował Michał Sznajder. I jak tu nie przyznać mu racji? ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Dług pod kontrolą

Jak pożyczać pieniądze, aby nie wpaść w poważne tarapaty? Na jakie produkty kredytowe szczególnie uważać?

Przed wybuchem epidemii koronawirusa Polacy bardzo chętnie korzystali nie tylko z kredytów hipotecznych, lecz także z kredytów konsumpcyjnych (gotówkowych, kart kredytowych, ratalnych kredytów samochodowych etc.).

Kredyty konsumpcyjne charakteryzują się bardzo wysoką marżą (istotnie wyższą niż np. kredyty hipoteczne). Ich oprocentowanie jest często zmienne. W „Raporcie o stabilności systemu finansowego" z grudnia 2019 r. eksperci NBP informowali, że kredyty gotówkowe na wysokie kwoty mogą okazać się najbardziej ryzykowne, gdy pogorszy się koniunktura gospodarcza. Natomiast w raporcie NBP ze stycznia 2020 r. pt. „Sytuacja na rynku kredytowym" zwracano uwagę, że ostatni kwartał 2019 r. był kolejnym okresem zaostrzania przez banki kryteriów udzielania kredytów konsumpcyjnych, głównie ze względu na przewidywania dotyczące przyszłej sytuacji gospodarczej.

SPIRALA ZADŁUŻENIA

W ubiegłym roku zmniejszył się popyt na pożyczki pozabankowe, których oprocentowanie bardzo często znacząco przewyższa koszty kredytu bankowego. Według opublikowanego pod koniec stycznia 2020 r. raportu Biura Informacji Kredytowej w całym 2019 r. firmy pożyczkowe udzieliły 2745 tys. pożyczek na łączną kwotę 6,821 mld zł, z czego najwięcej (38 proc.) stanowiły pożyczki do kwoty 1 tys. zł. Wartość pożyczek udzielonych przez firmy pożyczkowe spadła w 2019 r. o 3,5 proc. w porównaniu z rokiem 2018.

Część osób, które nie mają wystarczającej zdolności kredytowej, aby wziąć kredyt w bankach lub SKOK-ach, nadal może jednak interesować się ofertą pożyczek udzielanych przez parabanki. Firmy pożyczkowe przyciągają także osoby, które z uwagi na problemy ze spłatą wcześniejszych kredytów lub pożyczek nie mogą się pochwalić dobrą historią kredytową. Pożyczki „bez BIK" lub dla osób nieposiadających zdolności kredytowej są jednak zazwyczaj koszmarnie drogie. Skorzystanie z tego typu „szybkich pożyczek" przez osoby znajdujące się w trudnej sytuacji finansowej może pogłębić ich problemy i wciągnąć wprost w tzw. spiralę zadłużenia. Ta może zaś szybko doprowadzić do spotkania z komornikiem lub windykatorem, a nawet do upadłości.

W wydanym we wrześniu 2019 r. komunikacie Ministerstwo Sprawiedliwości szacowało, że ponad 2 mln Polaków ma przeterminowane długi i nie radzi sobie z nimi. O spirali zadłużenia, zwanej również pętlą zadłużenia, mówi się, gdy kredytobiorca nie jest już w stanie spłacać zaciągniętych długów, ponieważ wysokość rat np. kredytu hipotecznego, pożyczki na samochód i „chwilówki" na luksusowe wakacje zaczyna przewyższać możliwości spłaty.

Niekiedy przyczyną takiego stanu rzeczy jest nagła ciężka choroba, utrata dobrze płatnej pracy, śmierć członka

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. ADOBE STOCK

rodziny, który był jedynym żywicielem rodziny, lub zamknięcie firmy z powodu zdarzeń losowych. Czasem zaś wprost w pętlę zadłużenia prowadzą: beztroska, rozrzutność i nieprzemyślane decyzje o wzięciu kolejnych kredytów i pożyczek, niepoprzedzone właściwą analizą własnej sytuacji finansowej. W pętlę zadłużenia na całym świecie wpadają bowiem nie tylko najbiedniejsi, lecz także soby zamożne, które przez swoje błędne decyzje zaczęły spłacać np. jedną kartę kredytową kolejną kartą kredytową.

Dlatego – aby uniknąć sytuacji, w której zagrożony będzie dorobek całego naszego życia – zawsze dokładnie policzmy, czy damy radę spłacić nowy kredyt lub pożyczkę, i nie wykorzystujmy w całości naszej zdolności kredytowej. Łączna wysokość rat za posiadane kredyty i pożyczki nie powinna przekraczać 30–40 proc. naszych dochodów. Ostrożnie korzystajmy również z karty kredytowej czy limitu zadłużenia w rachunku osobistym. Szczególnie dotyczy to osób, które nie potrafią radzić sobie ze złudnym wrażeniem dodatkowych pieniędzy do wydania, co w rezultacie może prowadzić do szybkiego wzrostu poziomu zadłużenia.

Jeśli już wpadliśmy w spiralę zadłużenia, to zachowajmy spokój i nie

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. ADOBE STOCK

podejmujmy pochopnych decyzji. Często osoby, wokół których pętla długów zaciska się coraz mocniej, w celu uregulowania posiadanych już zobowiązań zaciągają kolejne, przeważnie coraz droższe, przez co wpadają w coraz większe tarapaty. Tymczasem w razie kłopotów z regularnym opłacaniem rat lepiej nie brać kolejnych kredytów ani „szybkich pożyczek", ale pilnie skontaktować się z kredytodawcą i powiadomić go o swoich kłopotach. Bank lub SKOK może wówczas zaproponować tzw. wakacje kredytowe (czyli okresową przerwę w płaceniu rat) lub podpisać aneks, który np. wydłuży okres spłat, przez co doprowadzi do zmniejszenia comiesięcznej raty. Kredytodawca może się też zgodzić na to, aby przez określony czas spłacać tylko odsetki. Jeżeli mamy więcej wierzycieli, to sporządźmy ich dokładną listę (wraz z określeniem wysokości długu) i skontaktujmy się z każdym z nich. Tym dłużnikom, których przygniotła duża liczba drobnych kredytów i pożyczek, banki mogą zaoferować kredyt konsolidacyjny, który umożliwia połączenie kilku różnych zobowiązań w jedno, za to z istotnie niższą ratą, niż gdyby nadal wszystkie kredyty i pożyczki spłacać osobno. Dużo tańszy od kredytów gotówkowych może być również kredyt konsolidacyjny zabezpieczony hipoteką na nieruchomości. Negocjować warunki spłaty warto wtedy, kiedy dług został już sprzedany firmie windykacyjnej.

Osoby znajdujące się w spirali zadłużenia powinny nie tylko przestać zaciągać nowe pożyczki, lecz także do minimum ograniczyć wszystkie wydatki, znaleźć dodatkowe źródła dochodu, opracować budżet domowy i poszukać bezpłatnej pomocy prawnej oraz porady specjalisty, z którym ustalą plan wyjścia z zadłużenia. W skrócie: trzeba jak najszybciej zacząć oszczędzać, ciąć wydatki, gdzie tylko to możliwe (np. rezygnując z telewizji kablowej), do sklepów chodzić tylko z listą zakupów, sprzedać te elementy majątku trwałego, które nie są niezbędne, a uzyskane w ten sposób pieniądze przeznaczyć na zmniejszenie zadłużenia. Aby zyskać motywację do mocnego zaciśnięcia pasa, za pierwsze oszczędności można spłacić najmniejszy kredyt i w ten sposób pozbyć się pierwszego z wierzycieli. Po wyjściu z długów trzeba zaś zacząć jak najszybciej budować „osobisty fundusz bezpieczeństwa finansowego", czyli po prostu własne oszczędności, aby nigdy więcej nie musieć się zadłużać.

OSTROŻNIE Z PARABANKAMI

Dla uniknięcia poważnych problemów finansowych zawsze dokładnie sprawdzajmy, od kogo pożyczamy pieniądze. Mimo obowiązywania tzw. ustawy antylichwiarskiej na rynku pozabankowym wciąż można trafić na oszustów.

Warto także pamiętać, że chociaż terminy „kredyt" i „pożyczka" często bywają traktowane jak synonimy, to z punktu widzenia prawa określają różne produkty. Kredytodawcami mogą być jedynie banki lub SKOK-i, a zasady udzielania kredytów ściśle reguluje Prawo bankowe. Przedmiotem umowy kredytowej zawsze są więc pieniądze, udzielenie kredytu jest odpłatne, a umowa musi mieć formę pisemną i zawierać informacje m.in. o zasadach i terminach spłaty kredytu, a także pobieranych odsetkach, opłatach czy prowizjach.

Natomiast pożyczkodawcami mogą być nie tylko instytucje finansowe, lecz także parabanki, firmy pożyczkowe, a nawet osoby prywatne (np. rodzina czy znajomi). Do kwoty tysiąca złotych umowa pożyczki może mieć dowolną formę. Dopiero powyżej tej kwoty musi być sporządzona na piśmie. Pożyczkobiorca nie musi się tłumaczyć, na co potrzebuje pieniędzy.

Pożyczki wiążą się zazwyczaj z mniejszymi formalnościami. Trzeba jednak mieć świadomość tego, że w przeciwieństwie do banków czy SKOK-ów działalność firm pożyczkowych nie jest ściśle nadzorowana przez Komisję Nadzoru Finansowego (KNF). Zgodnie z prawem KNF sprawuje bowiem nadzór nad sektorem bankowym, rynkiem kapitałowym, ubezpieczeniowym i emerytalnym, nadzór nad instytucjami płatniczymi i biurami usług płatniczych oraz nad instytucjami pieniądza elektronicznego. Celem nadzoru KNF jest m.in. zapewnienie prawidłowego funkcjonowania rynku finansowego, zaufania do rynku finansowego, a także zapewnienie ochrony interesów uczestników tego rynku. Jednym z ważniejszych działań instytucji jest licencjonowanie działalności banków – bez jej zgody nie może rozpocząć działalności żaden nowy bank. KNF sprawdza m.in., czy dana instytucja zgromadziła odpowiedni kapitał, analizuje plan działania banku etc. Pracownicy KNF mają też możliwość prowadzenia kontroli wybranych podmiotów i sprawdzania jakości ich aktywów, stopnia wypłacalności czy płynności finansowej. KNF nie kontroluje tzw. parabanków, ale publikuje na swojej stronie (www.knf.gov.pl) listę ostrzeżeń publicznych, na której możemy znaleźć nazwy firm, z którymi nie należy zawierać transakcji finansowych.

Jeśli więc decydujemy się zaciągnąć zobowiązanie finansowe – zwłaszcza wysokokwotowe – to lepiej skorzystać z usług sprawdzonych instytucji finansowych, regularnie nadzorowanych przez KNF. Jeżeli zaś mimo wszystko pożyczamy od parabanku (czyli podmiotu niebędącego bankiem, który oferuje usługi i produkty finansowe podobne do bankowych), to najpierw sprawdźmy wiarygodność wybranej przez nas firmy pożyczkowej. Trzeba pamiętać, że wśród niektórych parabanków lub pożyczkodawców działających w Internecie może trafić się oszust, który pożyczkę tylko obieca, a po wpłaceniu opłaty za rozpatrzenie wniosku np. przestanie odpowiadać na nasze próby kontaktu.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Maksymalna wysokość odsetek wynosi obecnie 8 proc. w skali roku. To jednak nie oznacza, że taki będzie całkowity koszt pożyczki. Ograniczenie to nie dotyczy bowiem dodatkowych kosztów, np. prowizji czy ubezpieczenia

Gdy znajdziemy już solidnego pożyczkodawcę, policzmy dokładnie, jaki będzie całkowity koszt pożyczki.

Zgodnie z polskim prawem oprocentowanie pożyczek i kredytów nie może być wyższe od dwukrotności sumy stopy referencyjnej Narodowego Banku Polskiego i 3,5 punktu procentowego. Maksymalna wysokość odsetek wynosi więc obecnie 8 proc. To jednak nie oznacza, że taki będzie całkowity koszt pożyczki. Wspomniane ograniczenie nie dotyczy bowiem dodatkowych kosztów pożyczki, np. prowizji czy wymaganego przez pożyczkodawcę ubezpieczenia. Dlatego warto zawsze sprawdzić nie tylko nominalną stopę oprocentowania, lecz także wysokość opłat dodatkowych i prowizji, a także rzeczywistą roczną stopę oprocentowania (RSSO). W firmach pożyczkowych wynosi ona czasem ponad sto, a w niektórych przypadkach nawet ponad tysiąc procent. Ostrożnie podchodźmy do wszelkich kredytów „0%" (nie zawsze są one rzeczywiście bezpłatne, a niekiedy prowizja za ich udzielenie sprawia, że kosztują więcej niż zwykły kredyt gotówkowy), a także do „darmowych pożyczek" (nawet jeśli pierwsza taka pożyczka spłacona w terminie rzeczywiście mogłaby być darmowa, to firmy pożyczkowe oferują swym klientom możliwość prolongaty spłaty, za co pobierają już sowite opłaty). Sprawdźmy także dokładnie, jakiego zabezpieczenia umowy pożyczki żąda pożyczkodawca.

Gdy poznamy już warunki i uznamy, że są dla nas korzystne i damy radę im sprostać, bardzo dokładnie przeczytajmy umowę. Niby to truizm, a jednak mimo wielu powtarzanych w mediach ostrzeżeń wciąż zdarzają się osoby, które chcąc jak najszybciej dostać pieniądze do ręki, nie czytają dokładnie warunków, przez co fundują sobie poważne kłopoty na wiele lat. Zarówno w przypadku kredytów, pożyczek, jak i inwestycji warto pamiętać też o innej prostej zasadzie: nie rozumiesz, nie podpisuj. Weźmy bowiem pod uwagę, że przed sądem liczyć się będzie to, co jest napisane w umowie, a nie trudne do udowodnienia słowa nieuczciwego sprzedawcy.

Pamiętajmy, że „nasz doradca finansowy" to często przedstawiciel banku lub firmy pożyczkowej, który może „nie stać po naszej stronie", a jego zadaniem jest sprzedaż produktu, a nie wybór najkorzystniejszego rozwiązania z punktu widzenia klienta.

W razie wątpliwości skonsultujmy umowę ze specjalistą. Bezpłatną pomocą w takich sytuacjach służą m.in.: miejscy lub powiatowi rzecznicy konsumentów, eksperci Federacji Konsumentów, a także Stowarzyszenia Konsumentów Polskich i Fundacji Konsumentów.

PRZYBYWA UPADŁOŚCI

Osoby, które znalazły się w najtrudniejszej sytuacji finansowej, mogą wnioskować o ogłoszenie upadłości konsumenckiej. Ma ona dwa cele. Pierwszy to oddłużenie niewypłacalnego konsumenta poprzez umorzenie całości lub części długów. Drugi to doprowadzenie do odzyskania przez wierzycieli chociaż części należnych im pieniędzy.

Liczba upadłości konsumenckich systematycznie rośnie. Od 1 stycznia 2015 r. łącznie ogłosiło ją już 26 595 osób. Według danych Centralnego Ośrodka Informacji Gospodarczej (COIG) na koniec grudnia 2019 r. w „Monitorze Sądowym i Gospodarczym" opublikowano 7944 upadłości konsumenckie, co oznacza wzrost w stosunku do roku 2018 o 20,91 proc. W 2020 r. liczba oficjalnych upadłości może gwałtownie wzrosnąć (eksperci COIG szacują, że może się ona zbliżyć nawet do 20 tys.). Od 24 marca 2020 r. obowiązuje znowelizowane prawo upadłościowe, które upraszcza procedurę upadłości konsumenckiej i umożliwia jej ogłoszenie również tym osobom, które same przyczyniły się do swojej niewypłacalności. Zgodnie z nowymi przepisami ogłoszenie upadłości konsumenckiej będzie jednak dopiero wstępem do właściwego postępowania upadłościowego. Jeżeli sąd uzna, że dłużnik z winy umyślnej lub przez rażące niedbalstwo doprowadził do takiego poziomu zadłużenia, z którego nie jest się już w stanie wykaraskać, to będzie mógł zobowiązać dłużnika do spłaty swoich długów przez okres od trzech do siedmiu lat. Jeżeli jednak dłużnik będzie w stanie udowodnić, że upadłość jest wynikiem przyczyn niezależnych – np. choroby lub niespodziewanej utraty pracy – to po 36 miesięcach spłacania zadłużenia będzie już „wolny od długów".

Zgodnie ze znowelizowaną ustawą od 2020 r. obowiązuje również poszerzone pojęcie „upadłości konsumenckiej". Ze ścieżki przewidzianej dotychczas wyłącznie dla osób prywatnych mogą również korzystać osoby prowadzące indywidualną działalność gospodarczą. Trzeba jednak pamiętać, że ogłoszenie upadłości dłużnika w dalszym ciągu jest traktowane jako ostateczność i zasądzane w sytuacjach, gdy konsumenci czy samozatrudnieni wpadli w tak poważne tarapaty finansowe, że są nie tylko niewypłacalni, lecz także nie są w stanie porozumieć się z wierzycielami i opracować skutecznej metody restrukturyzacji długów.

W ubiegłym roku najmłodsza osoba, która ogłosiła upadłość konsumencką, miała zaledwie 16 lat, a najstarsza 94 lata. Najczęściej upadłość ogłaszają osoby w wieku 40–49 lat oraz 60–69 lat. W 2019 r. najwięcej upadłości ogłoszono w województwach: mazowieckim, śląskim oraz kujawsko-pomorskim.

Niekiedy szybko rosnących długów i związanych z nimi życiowych tragedii można by było uniknąć, gdyby osoby pożyczające pieniądze korzystały z usług sprawdzonych instytucji finansowych, nadzorowanych przez KNF. Zawsze zaś dużo tańsze od pożyczania pieniędzy, jest regularne oszczędzanie. Dlatego najlepiej unikać kredytów i pożyczek, które służą jedynie doraźnej konsumpcji (np. na wystawne święta lub drogie wakacje), a nie osobistym inwestycjom (np. kupno mieszkania, budowa domu, zakup przydatnych w pracy urządzeń, które mogą zwiększyć przychody gospodarstwa domowego). Zasada ta dotyczy również osób najmniej zamożnych – jeśli bowiem kogoś stać na spłatę kredytu lub pożyczki, w której poza kapitałem często trzeba spłacać też niemałe odsetki, to przy właściwej motywacji i samodyscyplinie bez trudu można samodzielnie odłożyć konkretną kwotę np. na zakup nowej pralki czy zmywarki.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

NA POHYBEL FAKTOM!

Polskie celebrytki gremialnie oburzyły się na projekt, który trafił do Sejmu, a który zaostrza obecnie obowiązującą ustawę aborcyjną. Co prawda żadna z nich projektu ustawy nie przeczytała i nie bardzo ogarnia, że to projekt obywatelski, a nie rządowy, ale co tam. Najważniejsze jest święte oburzenie, a akurat w tym znudzone kwarantanną i brakiem rozgłosu celebrytki są dobre. – Niestety po raz kolejny musimy walczyć o nasze zdrowie, bezpieczeństwo i godność. Nie wiem, czy wiecie, ale pani Godek chce, abym umarła podczas porodu i zostawiła osierocone dziecko. Pani Godek chce, abyś Ty, zgwałcona, nie miała wyboru i była zmuszona urodzić dziecko gwałciciela – oburza się modelka Anja Rubik, choć próżno szukać takich zapisów w projekcie ustawy. Na to samo oburza się także aktorka Barbara Kurdej-Szatan, która na koniec informuje, że pod swoim wpisem wyłącza komentarze. – Nie mam ochoty czytać patokatolskich (bo to nie są prawdziwi, wierzący, dobrzy ludzie) nieuświadomionych, skrajnych pseudowypowiedzi – stwierdziła. Nic dziwnego. Jeszcze mogłyby być oparte na faktach i popsuć zabawę w protest. Po co ryzykować?

FOT. PAWEŁ GROMADA

ŁZY KINGI

Tymczasem Kinga Rusin rozpłakała się na wizji, opowiadając tuż przed świętami Wielkiejnocy o tym, że w tym roku po raz pierwszy będzie musiała spędzić te święta sama w domu. – Będę płakać. Pierwszy raz chyba w życiu będę spędzała te święta sama. Bo my bardzo poważnie podchodzimy do tych obostrzeń. I muszę chronić moją mamę, która jest w grupie ryzyka. Ona jest sama, moje córki są same, ja jestem sama, no i to będzie trochę przykre – mówiła, siedząc na rowerku stacjonarnym i zanosząc się płaczem (nadawała z domu). Gdyby nie ten rowerek, który nieco psuł wzniosłą atmosferę, można było się naprawdę wzruszyć! Tak, w czasach pandemii wzrusza nas nawet Kinga Rusin. Zaczynamy się bać, że za chwilę zacznie nas śmieszyć Filip Chajzer. Gorzej już być nie może.

TYLKO MIŁOŚĆ

Święta Wielkiejnocy natchnęły także dawno niewidzianą i niesłyszaną Edytę Górniak, która postanowiła zabrać głos i złożyć swoim fanom życzenia. Oczywiście we właściwy sobie, uduchowiony sposób. Zamieściła więc na Instagramie upozowane zdjęcie z dłońmi złożonymi jak do modlitwy i metafizycznym wręcz podpisem. „Miłość jest najczystszą i najwyższą wibracją istoty ludzkiej. Jest naszym rdzeniem, korzeniem i połączeniem z Bogiem. Połączeniem między nami także" – napisała Edzia. „Tego połączenia wam i sobie życzę najbardziej na świecie. Nie potrzebujemy naprawdę niczego więcej. Tylko Miłość" – oznajmiła. Akurat Edzi przydałoby się jeszcze trochę rozumu, ale rozumiemy, że jest realistką, więc życzymy tylko miłości.

NOTATKI Z ODWYKU

Eksmodelka Ilona Felicjańska, która otwarcie i chętnie opowiada o swojej walce z uzależnieniem alkoholowym (popełniła na ten temat parę książek poradnikowych, a także thriller erotyczny, który pisała, przebywając na odwyku), poinformowała, że dobrowolnie znów znalazła się w szpitalu psychiatrycznym, by walczyć z nawrotem choroby. „Wszystko, co się działo w moim życiu, było po to, żeby doprowadzić mnie do miejsca, w którym teraz jestem. A jestem szczęśliwa, choć bywają w nim trudne i bolesne chwile. Tak, jestem szczęśliwa, bo szczęście to stan świadomości. Wszystko, co się wydarzyło, doprowadziło do tego, że jestem teraz w tym, a nie innym momencie życia i niczego z niego nie żałuję" – zapewnia Ilona. „To, że teraz jestem w nawrocie choroby, też ma swój ważny i głęboki sens. Uczy mnie nowego, tego ukrytego, tego,

FOT. VIPHOTO/EAST NEWS

na co nie byłam gotowa wcześniej. Dziękuję jej za to. I wiem, że zrobię z tym najlepsze, co jest możliwe. Dziękuję za moją chorobę, tak wiele mnie uczy [...]. Uczy mnie, kim naprawdę jestem, a kim już na pewno nie chcę być. Dziękuję, że jestem" – pisze Felicjańska. Jeszcze parę takich entuzjastycznych, pełnych uniesienia wpisów, a wszyscy zaczniemy zazdrościć jej tego odwyku! ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w ostatnim czasie sporo było słychać głosów o policji, która zatrzymywała spacerowiczów czy osoby jeżdżące na rowerach. Powstał nawet wzór dokumentu, który miał chronić osobę obywatela przed restrykcjami ze strony mundurowych prześladowców. My go nie czytaliśmy, ale uznaliśmy, iż po naszej stronie jest Konstytucja.

I rzeczywiście, kiedy tylko wieczorem wyszliśmy całym kolektywem na spacer wokół osiedla, zaczepił nas patrol prewencji z wyraźną intencją wlepienia nam mandatu. Na szczęście mieliśmy przy sobie egzemplarz Konstytucji, który w milczeniu unieśliśmy w wyciągniętej w górę ręce. Nasze spojrzenia były jasne i czyste, a policjanci wpatrywali się na przemian w nas i w naszą świecką biblię, aż wreszcie skinęli tylko głowami w naszą stronę, w ich oczach dojrzeliśmy łzy, i zapraszającym gestem zachęcili nas do dalszego spaceru.

Tak więc kochani, nie trzeba żadnych oświadczeń, wystarczy, iż chcecie i macie Konstytucję, a cały wszechświat będzie sekretnie wam sprzyjał.

Strasznie była żenująca ta historia z największym samolotem na świecie, który przywiózł do tego kraju ileś tam ton różnego towaru potrzebnego do walki z koronawirusoosobą.

Nas of kors najmocniej denerwuje megalomania decydentów, którzy nie dość, że postanowili, aby transport odbył się drogą lotniczą (już z litości nie wspomnimy o śladzie węglowym i zanieczyszczeniu atmosfery), to jeszcze wybrali taki samolot, iżby zrobić wrażenie na przeciętnym januszu. Bo wiecie, samolot największy i jedyny taki na świecie.

Nie dość więc, iż to straszny ekskluzywizm zapraszać tego typu samolot, to jeszcze hołdowanie niskim, typowo polskim instynktom, iż wszystko musi być największe i najlepsze. A można było skromniej, tanimi liniami albo pociągiem, albo nawet komunikacją miejską. I byłoby taniej, i bardziej ekologicznie.

W czasie pandemii można za to przynajmniej odpocząć od sportu, iż nie ma żadnych rozgrywek, w tym międzynarodowych. Nie ma więc ryzyka rozbudzenia demonów nacjonalizmu przez to, iż Lewandowski strzeli gola, a Piątek pokaże swoje pistolety.

Zmartwiła nas więc informacja, iż niektóre ligi piłkarskie poważnie przymierzają się do wznowienia rozgrywek. To spowoduje wzrost zainteresowania piłką nożną na świecie, iż ludzie zamknięci w domach będą chcieli coś sobie pooglądać w telewizji.

I teraz powiedzcie sami – czy bez piłki nożnej da się żyć? Może to jest sygnał dla społeczności międzynarodowej, iżby zdelegalizowała wszystkie rozgrywki. Tak zostawiamy temat pod rozwagę. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Przez zaparowane okulary

Halo, co pan robi? Niech pan uważa trochę, jak pan łazi!
Jaki pan? Ja kobietą jestem! Marszałkiem Sejmu! Niech pan uważa!
Ela?
Radek? Nic nie widzę, okulary mi zaparowały.
No właśnie mnie też. Ciągle tak mam, od kiedy muszę w tej cholernej maseczce chodzić.
Mam to samo. A zdjąć nie można, bo zaraz zrobią zdjęcie, że bez maseczki jestem. Masz na to jakiś patent?
Ja tak... o... fuuu... fuuu... Tak dmucham i czasem trochę odparowują, ale nie za bardzo, bo maseczka mi usta zasłania i dodmuchać się nie mogę.
Ja po prostu zdejmowałam i przecierałam, ale mnie na tym pismaki złapały i potem było, że twarzy dotykam.
Mam nawet gorzej, bo zarost mi tu dodatkowo blokuje.
Jak wczoraj prowadzenie obrad przejęłam, to akurat jakiś poseł mówił strasznie długo i bez sensu. Ja mówię: „Panie pośle, wystarczy, odbieram głos!". Bo myślałam, że to Grupiński. A to Ryszard był.
Oj... Chyba sobie kupię taki kieszonkowy wentylator na bateryjkę. Tu, od góry będę dmuchał, powinno odparowywać.
Dla mnie też zamów. Na koszt Sejmu. Tylko fakturę weź. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Wywieście chociaż czarne pranie".

KRYSTYNA JANDA *na Facebooku w apelu do kobiet o wzięcie udziału w feministycznym proteście*

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

dwaj panowie g

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

No i stało się. PiS zakneblował wszystkim usta. Znaczy zamknął. Znaczy owinął. Znaczy zamaseczkował. Cholera, sami nie wiemy, jakiego strasznego słowa użyć. Ta dyktatura jest po prostu nie do wytrzymania. Musimy skonsultować się z jakimś wielkim językoznawcą i zarazem wielkim dyktaturoznawcą. Tylko gdzie takich szukać, kiedy Czerska nie odbiera telefonów?

Okrutni PiS-owcy wykorzystali maseczkową dyktaturę do ocieplania wizerunku Kaczafiego. Przebiegła Małgorzata Gosiewska sprezentowała mu maseczkę z kotem (nieważne, że czarnym). Wiadomość od razu podbiła Internety, tak jak swego czasu foto Kaczafiego czytającego w Sejmie atlas kotów. Czekamy na odpowiedź Eine Totalopposition. Co na maseczce będą mieli Borysław Budka albo Kidawa-Błońska? Proponujemy konstytucję. Zwłaszcza że wynika z niej jak byk, że wybory powinny być 10 maja.

Wiewiórki z rządu opowiedziały nam, dlaczego nakaz noszenia maseczek został wprowadzony dopiero w miniony czwartek, choć zapowiedziano go tydzień wcześniej. Jeden powód był praktyczny, drugi medyczny. Praktyczny to taki, że trzeba było dać sobie czas na ściągnięcie do Polski odpowiedniej liczby maseczek. Powód drugi, medyczny, dowodzi, że władza nie do końca jest przekonana, że Polacy zdają egzamin.

Już tłumaczymy. Chodzi o to, że podejrzewano (słusznie), iż spora część obywateli zignoruje apele o pozostanie w domu na Święta Wielkanocne i sobie pojedzie do rodziny. Wirusa da się wykryć po pięciu dniach. Więc wszyscy zarażeni powinni byli zacząć charczeć i gorączkować w okolicach czwartku po świętach. Dzięki nakazowi nie zarażają innych dopóty, dopóki się ich nie wyłapie. Na wcześniejsze zarażanie niestety nikt jeszcze dobrego sposobu walki nie wymyślił. Gdyż jak nie ma objawów, nie wiadomo, co zwalczać.

Apropos ściągania ze świata maseczek. Trochę nam smutno z powodu wizyty największego samolotu transportowego świata An-225 Mrija. Nie, nie dlatego że przywiózł tony sprzętu do walki z pandemią. Ale dlatego, że odleciał pusty, a przecież uskładałoby się w Polsce przynajmniej 80 ton idiotów, których mógłby zabrać na pokład. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

Na pytanie: „Dokąd samolot miałby zabrać te 80 ton idiotów?" też mamy odpowiedź. W Rosji również otwarto izolatoria. Tyle że tam to bardziej takie psychuszki, w których zamykają ludzi złapanych na ulicy bez bumagi pozwalającej na chodzenie luzem w czasach zarazy. Tak sobie myślimy, że dwa tygodnie w putinowskim izolatorium mogłoby pokazać niektórym, czym różni się dyktatura prawdziwa od wyimaginowanej przez Żakowskich i Wrońskich.

Kosiniak-Kamysz odkrył receptę na przegonienie w sondażach Kidawy-Błońskiej. Stara się mówić to, co PiS, tylko wcześniej

Są w Polsce miejsca szczęśliwe. Tam samorządy dbają o to, by seniorzy dostawali do domu jedzenie, strażacy rozdają pod sklepami pakiety z maseczkami i ze środkami dezynfekującymi, a czasem nawet okazuje się, że można po prostu wszystkim mieszkańcom fundnąć maseczki, co ma sens, bo jest w interesie wszystkich. W Warszawie Rafcio Trzaskowski nie ma pieniędzy na maseczki, ale za to, jak wywęszyły pismaki, ma 37 mln ziko na „dialog społeczny, badanie opinii publicznej i komunikację społeczną".

Mamy w związku z powyższym do Rafcia prośbę. Warszawa liczy 1,7 mln mieszkańców. Z prostego rachunku wynika, że Rafcio ma do wydania na dialog z każdym mieszkańcem kwotę 21,70 zł. Żeby oszczędzić urzędnikom i Rafciowi czas, prosimy o wypłacenie nam naszej działki w gotówce. Opinię na temat rafciowej komunikacji społecznej i funkcjonowania stolicy pod jego rządami znaleźć można przecież i tak na bieżąco w naszej rubryce.

Tymczasem w Peezelu. KKK (Kandydat Kosiniak-Kamysz) odkrył cudowną receptę na przegonienie w sondażach Małgorzaty Kidawy-Błońskiej. Stara się mówić to, co PiS, tylko dwa tygodnie wcześniej, i czeka, aż mówiącej wprost przeciwnie Kidawie będzie spadać. To działa. KKK stoi w miejscu, a Kidawa spadła już za jego plecy.

Jesteśmy po lekturze wzruszającego wywiadu z żoną Władka KKK przeprowadzonego przez polskojęzyczny portal o nazwie kończącej się na „-eria". Paulina, żona Władka, zapowiada, że nawet jak KKK zostanie prezydentem, to ona mu będzie robiła kanapki. Wyznanie to wprawiło w zachwyt publikę i komentatorów. Cóż, przypomniało nam się, jak niejaki Szymon Majewski szydził sobie z Marii Kaczyńskiej, że przynosi Lechowi w reklamówce kanapki i jajka na twardo (żarcik był kłamliwy, w torbie było ubranie). Nigdy za wiele lekcji na temat „Jak to się robi w III RP".

Z życia gwiazd. W odpowiedzi na apel Krystyny Jandy, by aborcjonistki w ramach czarnego protestu czasów zarazy „wywiesiły chociaż czarne pranie na balkonie", Justyna Pochanke ubrała się na czarno, żeby poprowadzić „Fakty" w tefauenach. Nie do końca jesteśmy pewni, czy dobrze rozumiemy metaforę. Jeśli Tefauen to balkon, czy to znaczy, że pranie wisiało na sznurze? ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

DO V EDYCJI KONKURSU

ZAPRASZA PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

100% polski produkt

POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Z Jarosławem Gowinem, byłym wicepremierem, prezesem Porozumienia *o terminie wyborów i nie tylko rozmawia Marcin Makowski*

Pierwszy termin to sierpień

MARCIN MAKOWSKI: Gdy rozmawiałem z panem w grudniu o politycznych planach i drodze, jaką dochodził pan do bycia wicepremierem, nic nie zapowiadało obecnego rozwoju sytuacji. Ten wywiad, z przyczyn technicznych musiał poczekać, ale wracamy do niego po miesiącach [drukujemy go pod tą rozmową – przyp. red.], jak do zapowiedzi obecnych wydarzeń. Jednym z nich była pana dymisja. Złośliwi mówią, że Jarosław Gowin się skończył...

JAROSŁAW GOWIN: Słyszałem to wiele razy, gdy siedem lat temu odchodziłem z Platformy. Od tego czasu przez cztery i pół roku byłem wicepremierem i pewnie pozostałbym nim przez kolejne trzy lata, gdybym sam nie podał się do dymisji.

Czyli pogłoski o pana politycznej śmierci są mocno przesadzone?

Wiem, że składanie dymisji przez wicepremiera nie jest rzeczą standardową. Ale tak jak powiedziałem zaraz po niej – to nie był tylko gest moralny, lecz także element planu politycznego.

Tylko czy do pana planu politycznego – bo o nim rozmawialiśmy w grudniu – od początku należało wystąpienie z rządu, a de facto wycofanie się z aktywnej polityki pierwszoplanowej?

Epidemia wszystko zmieniła. Dawne plany, nie tylko moje, lecz także zapewne wszystkich polityków na świecie, wzięły w łeb. Natomiast to, że zrezygnowałem z zasiadania w Radzie Ministrów, nie oznacza wycofania się z aktywności, którą pan nazywa „polityką pierwszoplanową". Pozostaję liderem jednej z trzech partii współrządzących Polską. Tydzień po tygodniu będę przedstawiał kolejne propozycje walki z epidemią i „rozmrażania" gospodarki.

Jeszcze przed pandemią mówił pan, że chciałby być „kingmakerem". Osobą, która wprowadzi do polskiej polityki nowe pokolenie liderów. Jak to zrobić w sytuacji, w której nawet w Porozumieniu są osoby otwarcie kwestionujące pana stanowisko np. odnośnie do niemożliwości przeprowadzenia majowych wyborów?

To, że w Porozumieniu o wszystkich sprawach dyskutujemy i nie ma „jedynie słusznego" stanowiska, jest dowodem na jego demokratyczny charakter. Prezentowania stanowiska odmiennego niż moje w najmniejszej mierze nie traktuję jako nielojalności. Jestem przekonany, że gdy przyjdzie czas próby, wszyscy staną na wysokości zadania. Podtrzymuję również tezę, że w polskiej polityce najciekawsze pokolenie 30-, 40-latków jest w szeregach mojego ugrupowania.

FOT. DAREK GOLIK/FORUM

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Mówi pan, że to nie koniec pańskiego apetytu i nie koniec politycznej gry. Wiele osób pyta jednak: O co się ona toczy? Co jest stawką?

Dzisiaj gram w to samo, w co grałem jako minister – „W Polskę". Decyzję o dymisji podjąłem dlatego, że z jednej strony nie zgadzam się na wybory 10 maja i jestem pewien, że historia przyzna mi rację, a z drugiej strony nie chcę doprowadzać do sytuacji, w której na katastrofę zdrowotną i zapaść gospodarczą nałożyłby się jeszcze kryzys polityczny polegający na powstaniu rządu mniejszościowego. Moje intencje trzeba traktować jako wypadkową tych dwóch motywów. Jak powiedziałem przed chwilą, w najbliższych tygodniach Porozumienie będzie bardzo aktywne. Niedawno przedstawiliśmy „plan Sośnierza", czyli model skutecznego przejścia do drugiej fazy walki z epidemią. Zaproponowaliśmy także nowe rozwiązania stymulujące gospodarkę. To elementy strategii, o której mówię od momentu złożenia dymisji.

A czy w tej strategii mieści się również scenariusz, w którym pańska partia, albo jej część, głosuje przeciwko wyborom w maju, w konsekwencji czego rozpada się rząd? Mówi pan, że chciałby tego uniknąć, ale może uniknąć się tego nie da?

Odpowiedzialność za większościowy charakter rządu spada nie tylko na Porozumienie. My zrobiliśmy krok wstecz – moja dymisja jest wyrazem dążenia do kompromisu. Liczę, że teraz gotowością do kompromisu wykażą się nasi koalicjanci.

To bardzo dyplomatyczne, ale ja pytam o konkrety. Jeśli wybory majowe będą odrzucone również głosami posłów Porozumienia, to może nie być środka na kompromis. Co wtedy?

Odmienne głosowanie w jednej sprawie – w której zresztą nigdy nie uzgodniliśmy stanowiska – to nie powód do zrywania koalicji.

W jednym z naszych dawnych wywiadów powiedział pan: „Jeśli prawica przegra, to sama ze sobą". Ma pan wrażenie, że te słowa się dzisiaj spełniają?

Robię wszystko, by się nie spełniły. Taki był cel mojej dymisji.

Gdyby do tego jednak doszło, widzi się pan w roli premiera rządu technicznego? Czy rozmawia pan na ten temat z opozycją?

Nie rozmawiam na ten temat z nikim. Jedyny naprawdę stabilny rząd możliwy w tej kadencji to rząd Zjednoczonej Prawicy.

Niedawno obchodziliśmy 10. rocznicę katastrofy smoleńskiej. Zapewne oglądał pan jej obchody w telewizji. Czy coś pana zaniepokoiło? Czy forma składania honorów tragicznie zmarłym pokazała – jak twierdzi wielu komentatorów – nieprzestrzeganie przez władzę nakazów, których przestrzegania wymaga ona od reszty społeczeństwa? Czy PiS utracił „słuch społeczny"?

Katastrofa smoleńska była tak wielką tragedią, że nie czuję się moralnie w prawie oceniać zachowań kogokolwiek.

Napisał pan w liście otwartym do członków swojej partii, że majowy termin wyborów jest dyskusyjny ze względów zdrowotnych również dla premiera Mateusza Morawieckiego oraz ministra Łukasza Szumowskiego. Szef resortu zdrowia zdystansował się wobec pańskich słów i poprosił, aby „nie wciągać go w gry polityczne".

Bardzo szanuję ministra Szumowskiego i nie będę komentował jego słów. Ja sam w oparciu o dziesiątki ekspertyz, które trafiły do moich rąk, a są to prace czołowych polskich uczonych, nie widzę możliwości przeprowadzenia w tym terminie wyborów, nawet korespondencyjnych, w sposób bezpieczny dla Polaków. Dla jasności: jestem zwolennikiem przeprowadzenia wyborów korespondencyjnych, ale po starannym ich przygotowaniu. Pierwszy realny termin to sierpień.

Czy dzisiaj, z perspektywy czasu, coś zrobiłby pan inaczej?

W swoich działaniach nie zmieniłbym niczego. Być może mniej ufałbym pewnym politykom.

Na przykład?

To zostawiłbym do pamiętników, których jednak nie zamierzam pisać.

Ta część wywiadu odbyła się w zeszłym tygodniu.

Poniżej rozmowa przeprowadzona w grudniu 2019 r. i autoryzowana przed epidemią koronawirusa w Polsce. W wielu miejscach niejako zapowiada ona przyszłość polityczną naszego rozmówcy oraz – być może – następne kroki, które podejmie na partyjnej scenie.

MARCIN MAKOWSKI: Politycznie – wicepremier, minister, szef partii. Intelektualnie – doktor filozofii. Skąd się to u pana wzięło?

JAROSŁAW GOWIN: Zainteresowania filozoficzne to cecha rodzinna. Filozofię kończyła bratanica, doktorem filozofii jest siostrzeniec, doktorat robi także syn. Dorastaliśmy w atmosferze stawiania sobie fundamentalnych pytań i szukania na nie odpowiedzi.

A od nich krótka droga do chęci zmieniania rzeczywistości?

To druga rodzinna pasja – polityka. Rodzice służyli w zrzeszeniu Wolność i Niezawisłość, ojciec siedział w więzieniu stalinowskim. Rodzice przekazywali czworgu dzieciom szczerą nienawiść do komunizmu i przekonanie, że PRL jest sowiecką kolonią, ale robili to przez dziwną osmozę. Przemilczenia, nieuczestniczenia w pewnych publicznych wydarzeniach, bierny opór. Dzięki temu wcześnie przestałem pojawiać się na obowiązkowych pochodach 1 maja. Przynależność do PZPR była w naszej rodzinie nie do pomyślenia. Dużo o polityce – w dosyć radykalny sposób – opowiadał mi natomiast dziadek, który jako 14-letni wolontariusz brał udział w bitwie pod Warszawą. Dosłużył się nawet medalu od marszałka Piłsudskiego.

Dlaczego „radykalny"?

Dziadek nienawidził komunizmu, na Związek Sowiecki patrzył jak na śmiertelnego wroga i dawał temu bardzo dobitnie wyraz. O nastrojach panujących w naszym domu niech świadczy pewna anegdota. Gdy chodziłem do I klasy szkoły podstawowej (był rok 1968), moja wychowawczyni – nawiasem mówiąc, moja pierwsza miłość (śmiech) – wezwała rodziców do szkoły i z życzliwością radziła, aby uważali, co przy mnie mówią. Ponoć wyskoczyłem jak filip z konopi i na lekcji stwierdziłem, że „wojna w Wietnamie to wina Ruskich, bo napuszczają Egipcjan na Żydów". Jak widać, moja wiedza geopolityczna miała pewne uszczerbki, ale ówczesna polityczna żarliwość była efektem opowieści dziadka.

Niektórzy do dziś nazywają pana filosemitą.

To znowu coś, co wyniosłem z domu. Chociaż nikt ani z bliższej, ani z dalszej rodziny nie miał w sobie krwi żydowskiej, a rodzina ma walijskie korzenie, jako chrześcijanie patrzyliśmy na Żydów jako na starszych braci w wierze, a jako ludzie i Polacy mieliśmy naturalne współczucie dla narodu dotkniętego Holokaustem. Nie było w tym żadnej pogłębionej wiedzy, ani teologicznej, ani historycznej, raczej prosta intuicja moralna. W domu po wybuchu wojny arabsko-izraelskiej nastawienie było wyraźnie proizraelskie, a filoizraelic-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

kość pozostała mi do dziś. Uważam, że obowiązkiem Polski i świata zachodniego jest wspieranie państwa Izrael, aby nie powtórzył się Holokaust. Poza tym ten kraj to enklawa Zachodu w środku strefy wpływu islamu.

Po wykładach o geopolityce w podstawówce poszedł pan na studia na Uniwersytet Jagielloński. Jak wspomina pan ten okres?

Jako najpiękniejszy czas w życiu. Nienawidziłem szkoły, z trudem dopuszczono mnie do matury, w ogóle dziwię się, że dostałem się na jakąkolwiek uczelnię. W końcu byłem słabym absolwentem prowincjonalnego liceum w Jaśle. Na filozofię na UJ przyjmowano wtedy po 10 osób – głównie dzieci profesorów, laureatów olimpiad. Furtką okazały się egzaminy pisemne i ustne. Najpierw napisałem jakiś esej o Camusie, który do dziś jest jednym z moich ukochanych pisarzy, i dostałem za niego bardzo wysoką ocenę. Na egzaminie ustnym dostałem natomiast pytanie z okresu, który uwielbiałem, czyli z Młodej Polski. Już miałem odpowiedzieć i… zatkało mnie. Kompletna pustka w głowie. Zacząłem coś bezładnie mówić i wyszedłem przekonany o porażce. Byłem szczerze zdumiony, gdy okazało się, że uzyskałem piąty wynik wśród kandydatów. Potem dowiedziałem się, że zadecydowała opinia jednego z egzaminatorów, prof. Bronisława Łagowskiego, który napisał przy nazwisku: „coś w nim jest". To pokazuje, jak inne były wtedy uczelnie. W naszej 10-osobowej grupce wszystkie zajęcia odbywały się w formie tutorialu, prowadzący spędzali z nami często pięć–sześć godzin na dyskusjach o myśli starożytnych Greków, metafizyce czy metodologii nauki.

Co w panu z tych dyskusji zostało?

Tradycja arystotelesowska i fascynacja filozofią polityki. Alexis de Tocqueville, Ortega y Gasset i Friedrich von Hayek – klasyczni konserwatywni liberałowie – stali się moimi mistrzami 40 lat temu i nigdy od tej pory nie zmieniłem poglądów. Duży wpływ wywarli na mnie wykładowcy, wspomniany prof. Łagowski, młody wówczas dr Ryszard Legutko. Czytywaliśmy pasjami zdeklarowanego wolnorynkowca, Mirosława Dzielskiego. Bardzo ważne było również nieformalne seminarium prowadzone w krakowskim klasztorze Dominikanów przez o. Andrzeja Kłoczowskiego. Wiele zajęć prowadził br. Maciej Zięba – tam dyskutowaliśmy o styku katolickiej nauki społecznej i gospodarczego liberalizmu.

Z tego miejsca trafił pan do świata mediów?

Poniekąd – te środowiska się w końcu przenikały. Wcześnie zacząłem publikować w „Tygodniku Powszechnym" i „Znaku". W 1985 r. ukończyłem studia na UJ, ale mimo że miałem najwyższą średnią, pracy w Instytucie Filozofii – co było moim największym marzeniem życiowym – nie dostałem ze względu na brak etatów. Zaczepiłem się w Wyższej Szkole Pedagogicznej, czyli dzisiejszym Uniwersytecie Pedagogicznym. Wiedziałem jednak, że nie jestem w stanie pogodzić utrzymania rodziny z pracą filozoficzną na wysokim poziomie, i przeszedłem ze świata akademickiego do pracy redaktorskiej. Zostałem sekretarzem redakcji, potem naczelnym „Znaku".

To był chyba jeden z ciekawszych okresów intelektualnych współczesnego Krakowa.

Bez dwóch zdań. Kraków II poł. XX w. to miasto pasjonujące mimo mroków komunizmu. Kraków tego okresu zapisze się w historii polskiej kultury jako złota era – Ingarden, Wojtyła, Tischner, Szymborska, Miłosz, Heller, Życiński, Stary Teatr i Świnarski. Działała Piwnica pod Baranami, pisał Lem, częściowo Herbert, tworzył Kantor, wielu malarzy. Śpiewali Grechuta, Demarczyk. Dzisiaj pod tym względem Kraków jest duchowo wyjałowiony. Ostały się wąskie przestrzenie, w których skupiała się wolna kreacja. Gdy upadł komunizm, wielu moich znajomych poszło w biznes, politykę, dyplomację. Kulturę zastąpił outsourcing.

Wspomniał pan o ks. Józefie Tischnerze, jednym z pana mistrzów. Jak rozpoczęła się ta przyjaźń?

To złożona historia. W czasach studiów odnosiliśmy się z niechęcią do Tischnera z epoki „Polskiego kształtu dialogu" i szukania chrześcijańskiej myśli społecznej na styku z marksizmem. Wolnorynkowcy patrzeli na to z ukosa. Był moment, w którym ks. Tischner odtworzył nielegalnie seminarium z Hegla. Za oknem przejeżdżały czołgi, część kolegów siedziała internowana, z innymi drukowaliśmy ulotki, sam się przez jakiś czas ukrywałem jako działacz NZS, a ksiądz profesor przyszedł, zamyślił się i powiedział: „Hegel miał rację, logika pracy zwycięża". Przeżyłem dysonans poznawczy. Gdzie tutaj logika pracy? Wyszedłem i powiedziałem sobie, że więcej moja noga na jego zajęciach nie postanie. Słowa dotrzymałem. Spotkaliśmy się kolejny raz po 1989 r. i dopiero wtedy stał się dla mnie autorytetem, zwłaszcza jeśli chodzi o relacje religii i polityki. Przenikliwa była jego ówczesna krytyka Kościoła, który po pokonaniu komunizmu osiadł na laurach. „Nieszczęsny dar wolności" to była wielka, przenikliwa, choć gorzka diagnoza schorzeń duchowych, z którymi wyszliśmy po czasach komunizmu.

To wtedy również zaczął pan spoglądać w kierunku Wiejskiej, Warszawy?

W pewnym sensie moja aktywność polityczna była rzeczą ciągłą. Niezależne Zrzeszenie Studentów, potem podziemie, uczelnia i nielegalna Solidarność. Był moment, w którym przy Wyższej Szkole Pedagogicznej ujawniono 10 przedstawicieli Solidarności – wśród nich mnie. Trzeba było, chcąc nie chcąc, wejść w życie społeczne. Później mocno przeżyłem szok porażki Mazowieckiego. W tym okresie związany byłem z Aleksandrem Hallem, ale nie z Unią Wolności czy Unią Demokratyczną. W latach 90. nie byłem członkiem żadnej partii, a od udziału w kampanii Tadeusza Mazowieckiego zaangażowałem się w politykę tylko raz – w ruch Trzech Czwartych, który skupiał młodych ludzi próbujących powstrzymać – bezskutecznie, jak wiadomo – wybór Aleksandra Kwaśniewskiego. Postkomunista prezydentem wolnej Polski?! Nie mogłem się z tym pogodzić, czułem się, jakby ktoś mnie z tej odzyskanej wolności ograbił. O prawdziwym wejściu do polityki zadecydowałem dopiero w 2004 r. po śmierci Jana Pawła II. Miałem poczucie osierocenia i tego, że w tę pustkę po niezwykłym człowieku muszą wejść tysiące aktywnych ludzi, których intelektualnie wychował. Dopiero wtedy wyrwę po nim uda się zapełnić. Postanowiłem być jednym z nich.

Były jeszcze jakieś inne punkty zwrotne?

Drugi kluczowy moment to afera Rywina. Wtedy kurtyna się podniosła, maski opadły, a polska demokracja okazała się wydmuszką. Z dala od oczu obywateli jakaś tajemnicza „grupa trzymająca władzę" podejmowała niedemokratyczne decyzje. Poczułem bunt, tak jak w 1995 r., ale tym razem postanowiłem, że nie będę już bierny. W 2005 r. równocześnie Jan Rokita, mój dawny szef z NZS, a wówczas kandydat na „premiera z Krakowa", i działacze krakowskiego PiS zaproponowali mi kan-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

dydowanie do Senatu. O tym, że wybrałem Platformę Obywatelską, zadecydował przypadek – po prostu Rokita zgłosił się tydzień wcześniej. W tych czasach, tak jak wielu, byłem typowym PO-PiS-owcem. W kampanii senackiej 2005 r. startowały cztery osoby popierane zarówno przez PO, jak i PiS: Radosław Sikorski, Ryszard Legutko, Bogdan Borusewicz i ja. Ciekawie się od tego czasu zmieniła polityka, prawda? To, że nie doszło do zawiązania koalicji PO-PiS, było kolejnym wstrząsem moralnym. Traktowałem to jak osobistą porażkę.

Mimo wszystko nie zdecydował się pan wstąpić do partii.

Wolałem pozostać bezpartyjnym senatorem, byłem jednak członkiem Klubu Parlamentarnego PO. Już wtedy zdarzało mi się krytykować Donalda Tuska i wchodzić z nim w konflikt. Kiedy w 2007 r. upadł pierwszy rząd PiS, Tusk postawił weto w sprawie mojego dalszego startu. Miałem wrócić do życia akademickiego. Byłem rektorem Wyższej Szkoły Europejskiej im. ks. Józefa Tischnera. Wtedy jednak wydarzył się nieprzewidziany obrót koła fortuny, których w polityce jest pełno – Nelly Rokita została doradczynią prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Zaskoczony tym faktem jej mąż wycofał się z kandydowania i niespodziewanie powstał sejmowy wakat. Donald Tusk wezwał wtedy parlamentarzystów z Krakowa do siebie na pilną naradę. Jechałem do Warszawy z przekonaniem, że usłyszę decyzję o definitywnym wycofaniu mnie z listy wyborczej. Ku mojemu zdumieniu otrzymałem propozycję, bym otwierał listę sejmową. Stoczyłem wyrównany pojedynek ze Zbigniewem Ziobrą. On miał czwarty, a ja piąty wynik w Polsce. Później sprawy potoczyły się szybko. Po wygranych przez koalicję PO-PSL wyborach Donald Tusk zaproponował, abym został ministrem edukacji. Zapytałem, czy będę mógł zlikwidować Kartę nauczyciela. Rozmowa trwała nie dłużej niż pięć minut. Po tym, co usłyszałem, zrezygnowałem i tak zakończyło się moje pierwsze podejście do funkcji ministra (śmiech).

Nie żałuje pan z dzisiejszej perspektywy, że wtedy „wskoczył" w miejsce po Rokicie? Byłby pan rektorem, wiódł spokojne życie, nie słuchał o „kręgosłupie z gumy".

Nie żałuję. Starożytni porównywali politykę do wojny, a na wojnę można patrzeć z dwóch perspektyw. Z daleka wygląda jak wielka gra strategów. To bitwy decydujące o losach świata, heroizm i poświęcenie. Z bliska to jest fetor trupów, chrzęst kości rozrywanych przez bagnety, smród ciągnący się za armią, gwałty, głód. Pytanie, która wizja wojny jest prawdziwa?

Obie?

Tak samo jest z polityką. Widziana z daleka oczami filozofa to rozumna troska o dobro wspólne. Widziana z bliska to strefa brutalnej walki, gdzie – tak jak na wojnie – wszystkie chwyty są dozwolone. Liczy się nie pokonanie przeciwnika, ale przeżycie. Cała sztuka uprawiania polityki to sztuka, aby w tym grzęzawisku codziennej walki znaleźć punkt oparcia. Jakieś wartości i wspólnotę, która jest czymś trwałym. Z lektury Platona zapamiętałem zdanie, że polityki nie da się uprawiać bez przyjaciół. Starałem się tworzyć wokół siebie grono przyjaciół, którzy w razie potrzeby osłonią mnie własnym ciałem przed ciosem nożem w plecy, ale za którymi i ja pójdę w ogień. I takich przyjaciół znalazłem. To choćby Jadwiga Emilewicz, Piotr Dardziński i wielu innych ludzi, którzy od 4,5 roku robią dużo rzeczy ważnych dla Polski. Dlatego uważam, że podjąłem dobrą decyzję.

PO była ciekawym projektem politycznym, ale podlegającym szybkiej degrengoladzie przez decyzje Donalda Tuska

A żal panu czasami Platformy Obywatelskiej? Z jakichś powodów przecież przez lata działał pan pod jej sztandarami.

PO była ciekawym projektem politycznym, ale podlegającym szybkiej degrengoladzie przez decyzje – zaskoczę pana tym, co teraz powiem – wybitnego polityka na skalę europejską, czyli Donalda Tuska. On miał dobrze przemyślaną filozoficzną koncepcję polityki – był skrajnie sceptyczny co do jej możliwości sprawczych. To dlatego postanowił przekształcić PO w bezideową maszynkę wyborczą. Ciepła woda w kranie to zamiatanie problemów pod dywan. Rodzaj abdykacji z ambitnej polityki. Odszedłem również przez skręt w lewo. To nie była już partia Rokity, Macieja Płażyńskiego czy Zyty Gilowskiej. Tusk usuwał z szeregów konserwatystów. W pewnym momencie zostałem konserwatywnym ostatnim Mohikaninem.

Jednak z teką ministra sprawiedliwości. To dosyć wygodna pozycja do hamletyzowania.

Nie sądzę. To przede wszystkim ryzykowny stołek. Poza tym dlaczego mówi pan o hamletyzowaniu? Kiedy zostałem ministrem, zobaczyłem, jak wiele można zdziałać dobrego, mając władzę, ale zobaczyłem też, że Tusk w pełni świadomie wyrzeka się tego narzędzia. Zrozumiałem, że Platforma Tuska jest partią władzy dla samej władzy. Nie chciałem w tym uczestniczyć. Postanowiłem odejść z zamiarem stworzenia partii, która stanie się koalicjantem dla PiS. Ktoś powie, że dorabiam legendę.

A nie dorabia pan?

Nie. Jeszcze przed dymisją spotkałem się na prywatnej rozmowie z Jarosławem Kaczyńskim i powiedziałem mu o swoim zamiarze. Nasza współpraca – jak na standardy polityki dość harmonijna – wynika z tamtego spotkania w 2013 r. Wiedziałem, że za wyjście z PO zapłacę wysoką cenę. Maszynie propagandowej partii udało się odmalowanie mnie w szatach zdrajcy i karierowicza. Przypomnę więc, że odchodziłem z formacji posiadającej prezydenta, premiera, 16 marszałków wojewódzkich, a sondaże wskazywały, że będzie ona rządzić przez następną kadencję. Nie poszedłem też na gotowe, czyli do PiS, tylko stworzyłem własną partię. Proszę mi uwierzyć, że bez pieniędzy i bez poparcia mediów – a przeciwnie: przy ich zmasowanej krytyce – nie jest to zadanie proste.

To prawda. Polska Razem okazała się formacją nietrwałą i samodzielnie niewybieralną.

Poniosłem porażkę w wyborach europejskich, ale potrafiłem wyciągnąć wnioski. Wraz z Jarosławem Kaczyńskim i ze Zbigniewem Ziobrą zawiązaliśmy obóz Zjednoczonej Prawicy. Dopiero w takim układzie zadziałał efekt synergii. Prawo i Sprawiedliwość nie odnosiłoby obecnego pasma zwycięstw, gdyby nie wsparcie Solidarnej Polski z prawej flanki oraz Porozumienia w centrum.

Kim dla pana jest Zbigniew Ziobro?

Pod względem poglądów sytuujemy się na przeciwległych biegunach, ale polityka to wypadkowa poglądów i interesów. A te częściowo mamy wspólne, zwłaszcza gdy przychodzi nam negocjować miejsca dla

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

naszych ludzi z Jarosławem Kaczyńskim (śmiech). Niedawno przeczytałem ciekawą uwagę Cycerona, że kiedy władzę podzieli się między trzech, efektem jest równowaga. Oczywiście w trójkącie Zjednoczonej Prawicy jest wierzchołek wyraźnie sytuujący się ponad dwoma pozostałymi. Ale układ z dwoma skrzydłami zapewnia nam wewnętrzną stabilność.

A jak by pan scharakteryzował lidera tej „większej partii", Jarosława Kaczyńskiego?

Jarosław Kaczyński to największy wizjoner polskiej polityki. Z dużą częścią jego wizji się jednak nie zgadzam. Współczesna Polska jako strefa wpływu postkomunizmu – zaczerpnięta z prac Jadwigi Staniszkis – to diagnoza, moim zdaniem, nietrafna. Osobiście bardziej przekonuje mnie formuła prof. Zdzisława Krasnodębskiego, opisująca Polskę jako demokrację peryferii. Bezrefleksyjnie czerpiącą inspiracje z metropolii, czyli starych krajów Unii Europejskiej. Chęć nadania Polsce podmiotowości w relacjach międzynarodowych to coś, co bardzo silnie łączy mnie z Jarosławem Kaczyńskim. Szanuję go też za to, że – w przeciwieństwie do Donalda Tuska – władza nie jest dla niego celem samym w sobie, tylko narzędziem zmieniania rzeczywistości na lepsze, do głębokiej przebudowy Polski. Jak nasz kraj przebudowywać – tu się często spieramy. Ale co do tego, że taka przebudowa jest konieczna, nie mam żadnych wątpliwości.

A na czym polegają różnice co do kierunku zmian?

Co do kierunku i co do metody. Czasami w rozmowach z prezesem Kaczyńskim żartuję, że jest prawicowym jakobinem. Opowiada się za zmianami szybkimi, radykalnymi i narzucanymi centralnie. Ja, jako konserwatysta, bardziej ufam tym oddolnym, ewolucyjnym, zdecentralizowanym. Te różnice zdań nie miną. Bez dwóch zdań to jednak Jarosław Kaczyński wyznaczył kierunek, którym obecnie idzie cały obóz.

Za wejście do polityki płaci się też cenę, często środowiskową. Po dołączeniu do PiS zaczęli się od pana odwracać dawni znajomi. Wyrzucono pana ze „Znaku".

Wykluczenie mnie z zespołu redakcyjnego „Znaku" przyjąłem wzruszeniem ramion. Obecna redakcja ma niewiele wspólnego z Hanną Malewską czy Bohdanem Cywińskim – wielkimi mistrzami dawnego „Znaku". Owszem, przeklejenie łatki tego, który głosuje, ale się nie cieszy, to wysoka cena, którą zapłaciłem za politykę.

Jarosław Kaczyński to największy wizjoner polskiej polityki. Z dużą częścią jego wizji się jednak nie zgadzam

To po co pan głosował, skoro się nie cieszył?

Ponieważ kierowałem się koniecznością zachowania jedności obozu Zjednoczonej Prawicy, dla którego alternatywą był blok opozycyjny. Nie mam wątpliwości, że pod względem jakości rządzenia Polską byłaby to zmiana zdecydowanie na gorsze. Poza tym duża część środowisk składających się na obóz opozycyjny promuje wartości, które uważam za antykulturę czy – mówiąc językiem Jana Pawła II – cywilizację śmierci. Gdybym w 2013 r. nie wystąpił jako minister sprawiedliwości i nie stwierdził, że trzy ówczesne projekty instytucjonalizacji związków partnerskich są niezgodne z konstytucją, mielibyśmy od lat tzw. małżeństwa homoseksualne i bylibyśmy w fazie dyskusji o możliwości adoptowania przez nie dzieci. Porażka Zjednoczonej Prawicy byłaby porażką wartości.

Ale oczywiście w polityce ważną rolę odgrywa też pragmatyka. Gdybym zerwał koalicję rządową, partia, którą tworzę, i ludzie, którzy mi zaufali, zostaliby zmarginalizowani. Skoro porównałem politykę do wojny, to podczas wojny podstawowym obowiązkiem każdego przywódcy jest zapewnienie przetrwania własnej wspólnoty. Wymaga to wielu kompromisów, czasami poruszania się ruchem węża. Wiem, że wielu wyborców tego nie zrozumiało albo zrozumiało, ale nie zaakceptowało. Dzisiaj, z perspektywy np. powstrzymania płacenia powyżej 30-krotności składki ZUS, wierzę, że warto było tę cenę zapłacić. Jesteśmy jedynym środowiskiem konserwatywno-wolnorynkowym, które od szeregu lat ma realny wpływ na kształt państwa i polityki. I jeśli kiedyś takie środowiska będą w stanie sięgnąć po władzę, wówczas zrobią to ludzie wywodzący się z Porozumienia. Nie sądzę, abym jako polityk tego doczekał, ale ziarno zostało zasiane.

A czego w polityce chciałby pan jeszcze doczekać?

Chciałbym dokończyć reformę szkolnictwa wyższego, wspierać działania liberalizujące polską gospodarkę – ograniczające etatyzm – oraz przyłożyć rękę do rozwoju samorządności. Samorząd jest dla mnie wyrazem organicznego pojmowania polityki. Najważniejszym długofalowym celem jest jednak skupienie wokół mnie pokolenia 30-, 40-latków, którzy za 10 lat przejmą pałeczkę i władzę w Polsce. Nie będę królem, ale może kingmakerem (śmiech)?

Ma pan przy tym wszystkim czas na życie prywatne?

Nawet pracując jako minister, staram się czytać i słuchać muzyki, głównie hiszpańskiego baroku. Literacko staram się regularnie obcować z prozą Faulknera i Máraiego. Czytam też wielu współczesnych pisarzy, takich jak Jaume Cabre, José Antonio Muñioz Molina, Patrick Deville. W tej chwili kończę wspaniałą powieść Johna Wiliamsa „August", traktującą o czasach cesarza Oktawiana Augusta. Równolegle robię notatki z „Polityki wiary i polityki sceptycyzmu" Michaela Oakeshotta. Przymierzam się też do nowego tomu mojego ulubionego historyka Nialla Fergusona. Oprócz tego staram się w miarę regularnie kibicować Wiśle Kraków. Pewnie pan nie wie, że jestem byłym piłkarzem. Bardzo wiele się nauczyłem na boisku.

Co z tego przydało się w Sejmie?

Gryzienie trawy do ostatniej minuty – nawet gdy porażka jest przesądzona. Umiejętność gry zespołowej i przekonanie, że nie wolno odstawiać nogi. Trzeba grać twardo.

Mało mówi pan publicznie o rodzinie.

Taką decyzję podjąłem zaraz po wejściu do polityki. Moi bliscy płacą wysoką cenę za to, że jestem politykiem. Chcę im oszczędzić dodatkowego stresu.

I już na koniec. Czego nauczyła pana czysta polityka?

Pokory. Wobec oporu materii. Wobec złożoności ludzkich losów. Wobec własnych ograniczeń. Wobec tragizmu decyzji politycznych, gdy często wybór jednej wartości dokonuje się za cenę zniszczenia innej. Ale Arystoteles miał rację: polityka to prawdziwa sztuka, nadająca godność życia wolnemu człowiekowi.

Ta część wywiadu odbyła się w grudniu 2019 r.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

#AByrazem – przyłącz się do walki z COVID-19

Najlepszy w Polsce respirator, kolejne urządzenia w dostawie, do tego sprzęt elektroniczny i AGD, a nawet artykuły spożywcze. Grupa AB pokazuje, jak mądrze pomagać i zachęca do wspólnego działania.

Zbudowana przez Andrzeja Przybyło dolnośląska Grupa AB to największy w regionie Europy Środkowo-Wschodniej dystrybutor IT i elektroniki użytkowej, a ponad 9 mld zł rocznego obrotu daje jej ósme miejsce w skali całej Europy. Źródło sukcesu? Wsłuchiwanie się w potrzeby partnerów.

– To rzeczywiście nasz fundament. I stosujemy go również poza biznesem. Od wielu lat wspieramy wartościowe inicjatywy społeczne, realizujemy marzenia chorych dzieci, pomagamy ubogim rodzinom i dzieciom z domu dziecka. W obliczu pandemii koronawirusa mocno zintensyfikowaliśmy działania, bo mamy świadomość, że służba zdrowia w żadnym kraju nie mogła być przygotowana na coś takiego – mówi Andrzej Przybyło, prezes Grupy AB.

– Potrzeby są szerokie i nie chodzi tylko o maseczki czy kombinezony, ale również o elektronikę i sprzęt AGD czy butelkowaną wodę i określone artykuły żywnościowe. Tu również jesteśmy aktywni. Przekazaliśmy laptopy dla lekarzy, a smartfony trafiły do pacjentów-seniorów, aby nie byli w totalnej izolacji. Finalizujemy właśnie przygotowania do akcji dostaw lodówek, mikrofalówek, kuchni, czajników czy pralek dla placówek medycznych rozsianych po Polsce. Medycy, którzy są przecież bohaterami walczącymi na pierwszym froncie, coraz częściej będą musieli wręcz zamieszkać w pracy, izolować się od swoich rodzin – dodaje prezes Przybyło.

Prof. Waldemar Goździk z Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu przy ultranowoczesnym respiratorze podarowanym przez Grupę AB

W międzyczasie zespół AB walczy o respiratory, aby polscy lekarze nie musieli – w przeciwieństwie do na przykład włoskich kolegów – dokonywać dramatycznych wyborów, kogo podłączyć do urządzenia, a komu nie da się pomóc. Dzięki determinacji udało się osiągnąć sukces w postaci respiratorów dla szpitala jednoimiennego we Wrocławiu, które powinny zostać dostarczone w najbliższych dniach.

– Grupa AB prezentuje postawę obywatelską godną odnotowania i naśladowania. Zdajemy sobie sprawę, jak właściwie niemożliwe jest obecnie dokonanie nowego zamówienia respiratorów, gdyż to nie pieniądze są obecnie problemem, ale fizyczny brak ich dostępności. Będzie to już zresztą kolejna darowizna od AB, odpowiadająca potrzebom szpitala w czasie obecnej pandemii. Dziękujemy za wysiłek organizacyjny oraz finansowy, gdyż mamy świadomość, iż fala zachorowań wciąż wzbiera – wskazuje Jan Mularczyk, zastępca dyrektora Wojewódzkiego Szpitala Specjalistycznego im. J. Gromkowskiego.

Z kolei 10 kwietnia br. do innego szpitala trafił zakupiony przez AB respirator nowej generacji – najnowocześniejsze urządzenie tego typu w Polsce, przygotowane na najcięższe przypadki. Co ważne, respirator został dostarczony z obszernym zestawem akcesoriów i 5-letnią ochroną gwarancyjną. Urządzenie posiada szereg unikalnych rozwiązań, pozwalających m.in. na tryb wentylacji dwupoziomowej z gwarancją objętości, najdokładniejsze i najszybsze pomiary tlenu, obrazowanie stanu płuc pacjenta i najbezpieczniejszy dobór nietraumatyzujących parametrów wentylacji.

– To bardzo zaawansowany respirator do diagnostyki i obrazowania procesu wentylacji mechanicznej pacjenta. Dzięki darowi Grupy AB jesteśmy lepiej przygotowani do działania w tym szczególnym czasie pandemii – wskazuje prof. Waldemar Goździk, kierownik Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii Uniwersyteckiego Szpitala Klinicznego we Wrocławiu.

W ramach akcji #AByrazem Grupa AB pozyskuje partnerów, aby zwiększyć skalę efektywnego wspierania walki z COVID-19. Każdy może pomóc – organizacyjnie i/lub finansowo.

– Doświadczenia zespołu AB chociażby z udanej walki o wały na Odrze w 2010 roku pokazują, że my Polacy potrafimy razem dokonać wielkich rzeczy. Tego zjednoczenia wysiłku potrzebujemy teraz kolejny raz – podkreśla prezes Andrzej Przybyło.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Rozmrażanie paniki

Rafał A. Ziemkiewicz

Restrykcje nie mogą trwać zbyt długo ani zbyt krótko. A opozycja tylko czeka na załamanie systemu opieki medycznej, który mógłby przynieść jej polityczny sukces

FOT. ADOBESTOCK

Stare powiedzenie głosi, że wojnę jest dużo łatwiej zacząć, niż skończyć. Dotyczy to także wojny z koronawirusem. W tym konkretnym przypadku zakończenie wojny może być nawet trudniejsze niż kiedykolwiek, bo ta wojna prowadzona jest na oślep, a o przeciwniku wciąż wiadomo bardzo niewiele.

Na dodatek cała wojna od samego początku jest jedną wielką improwizacją, u nas może jeszcze bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie. Na szczęście jak na razie obozowi rządzącemu Polską wszystko zdaje się sprzyjać.

Przede wszystkim podjęta stosunkowo szybko decyzja o wprowadzeniu surowych restrykcji okazała się dobrym wyborem. Z początku wcale nie było to oczywiste. Większość krajów, na czele z tymi najbogatszymi, dała się przekonać, że nowy wirus nie jest aż o tyle bardziej zjadliwy od zwykłej sezonowej grypy, żeby zrywać rutynę życia codziennego. Środki podejmowane w lutym i na początku marca były raczej symboliczne i – tak jak mierzenie temperatury podróżnym na lotniskach – miały raczej dać obywatelom krajów zachodnich poczucie, że władza „coś robi", niż rzeczywiście zapobiec rozprzestrzenieniu się infekcji. Niektóre rządy wprost mówiły o potrzebie jak najszybszego wyrobienia „stadnej odporności", co okazało się taktyką samobójczą. Dzisiaj zrzucają one winę na chybione wytyczne Światowej Organizacji Zdrowia, padają nawet – m.in. ze strony USA – oskarżenia o świadome dezinformowanie przez WHO Zachodu w interesie Chin, celowo dążących do przekształcenia lokalnej epidemii w pandemię.

STRACH, A NIE PLAN

Byłoby miło wierzyć, że nasz rząd okazał się bardziej przenikliwy od tylu innych i od razu poznał się na chybionym optymizmie prognoz ze stycznia i z lutego. Prawda wydaje się jednak bardziej prozaiczna. W przeciwieństwie do rządów zachodnich, wysoko oceniających możliwości swojej służby zdrowia i dufnych w jej możliwości, nasi politycy obawiali się, że polski system usług medycznych może łatwo ulec załamaniu. Wiedzieli też, że jeśli do tego dojdzie, opozycja zrobi wszystko, by doprowadzić do odwrócenia sprzyjających dotąd PiS nastrojów.

Co do tego, że opozycja obstawiła taki właśnie scenariusz – szybkie załamanie szpitali, dantejskie sceny, przerażające statystyki zgonów – nie można dziś już mieć chyba najmniejszych wątpliwości po tym, jak nie mogąc się doczekać katastrofy, całymi tygodniami usilnie ją Polakom wmawiała. Jednak to, że minister Szumowski dostał zielone światło dla radykalnych zarządzeń raczej z powodów politycznych niż medycznych, nie zmienia oczywistego faktu, że na koronawirusowej ruletce Polska obstawiła właściwy numer.

Niestety, jednorazowa wygrana nie gwarantuje, że sukces będzie trwały. Ani nawet dwukrotna – za drugą wygraną można uznać to, że polskie finanse i gospodarka w chwili wybuchu epidemii

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

znajdowały się akurat w bardzo dobrym stanie. Dzięki temu kolejne agencje ratingowe utrzymują wysoką ocenę polskiej wiarygodności kredytowej, a to w chwili, gdy cały świat będzie się zadłużał, by ratować kredytem swe gospodarki, jest okolicznością niezwykle korzystną.

Problemem jest to, że restrykcje mające powstrzymać zarazę nie były wprowadzane według żadnego przemyślanego planu ani przygotowanej zawczasu procedury, stanowiły, jako się już rzekło, wielką improwizację. Nie jest to zarzut, bo trudno mieć o to pretensje, zwłaszcza że decyzje trzeba było podejmować w chaosie dezinformacji i sprzecznych opinii ekspertów – jednak niektóre z restrykcji były zwyczajnie nielogiczne, co zawsze skutkuje brakiem zaufania i skłonnością do lekceważenia przez społeczeństwo.

Ta ostatnia może się objawić szybko i intensywnie. Przykładem dość powszechnie znanym, dzięki Internetowi, stał się „czarny rynek" usług fryzjerskich. Fryzjerzy – a to samo dotyczy także innych usług z segmentu „beauty" – przeważnie znając swych klientów i mając ich telefony, zaczęli się po prostu umawiać po domach. Z każdym tygodniem będą to robić coraz bardziej masowo. W takiej sytuacji rząd będzie miał dwie możliwości: albo uruchomić jakąś specjalną policyjną akcję „Fryzjer", polegającą na urządzaniu prowokacji, zwabianiu golibrodów na lewiźnie do mieszkań operacyjnych, a złapanym urządzaniu pokazowych procesów, nagłaśnianych w mediach, albo uznać, że od fryzjera czy kosmetyczki w salonie państwo może przynajmniej wyegzekwować spełnianie norm higienicznych, nie wspominając o pobieraniu podatków. Oczywiście jest też wariant trzeci – jak najdłużej udawać, że się nic nie dzieje.

To drobny przykład pokazujący, przed jakim problemem stoi obecnie rząd. Rzecz może dotyczyć wielu branż, może dojść do szybkiego pojawienia się rozległej „koronawirusowej szarej strefy". Od ponad miesiąca Polacy żyją, wstrzymując oddech – wciąż jeszcze trochę w nadziei, którą na początku marca miała także władza, że „to" niebawem się skończy, że wirus – tak jak dzieje się to z grypą – straci na zjadliwości, gdy zrobi się cieplej, albo uda się skutecznie przeciąć łańcuchy epidemiologiczne. Ta nadzieja jest jednak coraz słabsza. Wygląda na to, że do życia z zagrożeniem wirusowym trzeba przywyknąć. Zresztą cokolwiek by mówili eksperci, nie można wstrzymywać oddechu w nieskończoność.

Sama władza niemądrze zachęciła Polaków do nieposłuszeństwa obchodami smoleńskimi i odruch jej kibiców, by brnąć w obronę Jarosława Kaczyńskiego, że nie było w odwiedzaniu grobów ani składaniu wieńców żadnego nadużycia, jest zupełnie pozbawiony sensu

Czynnik strachu, który dotąd powstrzymywał Polaków przed masowym nieposłuszeństwem i skłaniał ich do tolerowania dyskusyjnych niekiedy zakazów i kuriozalnych czasami sposobów ich egzekwowania przez policję, zaniknie. Sama władza zresztą niemądrze zachęciła do tego obchodami smoleńskimi i odruch jej kibiców, by brnąć w obronę Jarosława Kaczyńskiego, że nie było w odwiedzaniu grobów ani składaniu wieńców żadnego nadużycia, jest zupełnie pozbawiony sensu. Rzecz nie w nadużyciu, tylko w wysłaniu do obywateli sygnału, że zagrożenie w istocie nie jest takie wielkie, jak je władza na wszelki wypadek maluje, skoro ona sama się przebywania w zgromadzeniach powyżej dwóch osób nie boi.

Tymczasem dla powodzenia całej walki z pandemią najważniejsze staje się właśnie to, jak długo Polacy będą wierzyć, że ponoszone wyrzeczenia są naprawdę konieczne i rozłożone sprawiedliwie. Jeśli stracą takie przekonanie, to zaczną kombinować i obchodzić je na potęgę – a jeśli Polacy kombinują, to żadna władza nie jest w stanie ich od tego odwieść mandatami ani represjami, komuniści dysponowali pod tym względem przewagą nieporównywalną, a też nie dali rady.

SZUKANIE WĄSKIEJ ŚCIEŻKI

Restrykcje nie mogą więc trwać zbyt długo, bo wtedy żadne apele ani mandaty nie powstrzymają Polaków przed ich łamaniem. A to może z kolei doprowadzić do nagłej zmiany w uspokajających w tej chwili statystykach i do realizacji scenariusza załamania służby zdrowia, obstawianego przez opozycję, tyle że o kilka miesięcy później. Może to mieć tym groźniejsze skutki, że jeśli w jakikolwiek sposób odbędą się w końcu wybory, to media opozycji każdy wzrost liczby zachorowań powiążą z nimi. Jak na razie cały ich propagandowy dyskurs idzie w próżnię i nawet histerycznie antypisowskie środowiska celebryckie wydają się zniechęcone. Nastroje społeczne mogą się jednak bardzo szybko zmieniać.

Zarazem restrykcje nie mogą trwać zbyt krótko, bo to także może doprowadzić do niekontrolowanego wzrostu zachorowań i w konsekwencji do paniki. Trzeba znaleźć drogę między skrajnościami, tak żeby krzywa zakażeń pozostawała w miarę płaska i mieściła się w jednorazowych możliwościach szpitali, które wprawdzie dostają coraz więcej sprzętu i dzięki nabranemu doświadczeniu zapobiegają zakażeniom coraz skuteczniej, ale ich już w chwili wybuchu epidemii nie dość liczny personel coraz bardziej się wykrusza.

Jak jednak znaleźć tę wąską ścieżkę, kiedy opinie utytułowanych specjalistów i ciał eksperckich nie dają jasnych wskazówek, w jaki sposób powstrzymywać zakażenia? Nawet w podstawowych kwestiach: jedni utrzymują, że zarażają praktycznie tylko ci, którzy mają objawy, inni wręcz przeciwnie, że źródłem infekcji może być każdy, nie podejrzewając wcale, że jest nosicielem. Przybywa profesorskich głosów, że liczba takich bezobjawowych zakażonych jest wielokrotnie większa, niż dotąd sądzono, co zresztą wiedzie do demobilizującego wniosku, iż skoro i tak prawie wszyscy już tego wirusa złapaliśmy, a chorują tylko ci, którzy mają chorować, to wszystkie te ograniczenia w ogóle nie mają sensu.

Udało się uniknąć niszczącej wszystko lawiny zachorowań, ale jak teraz „odmrozić" państwo i od którego końca zacząć je „odmrażać", żeby wirus – a za nim panika – nie uderzył w nas ze zdwojoną siłą wtedy, gdy inne kraje będą już z epidemii wychodzić. I żeby szkody wywołane walką z epidemią nie okazały się większe niż te, które wywołała ona sama. Nie ma co udawać, że ktoś nam podpowie właściwe rozwiązania. Można tylko mieć nadzieję, że szczęście nadal zechce Polsce i rządzącym nią sprzyjać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Prawo i pięść

Łukasz Zboralski

Filmiki sprzed lat, nagrania jedynie części interwencji – sieć zalał atak na policjantów interweniujących z powodu łamania zakazów związanych z pandemią. W ten sposób powstaje obraz opresyjnej służby. Na ile jest on prawdziwy?

Milicja, zbrojne ramię PiS, opresyjna rządowa służba – to o sobie mogą przeczytać ostatnio w Internecie policjanci. Włącznie z sugestiami nawiązującymi do interweniowania w interesie PRL-owskiej władzy w czasie stanu wojennego.

Ludzi rozwścieczyło upominanie i karanie w sprawach związanych z nakazem pozostawania w mieszkaniach ze względu na próbę ograniczenia rozprzestrzeniania się pandemii COVID-19 w Polsce.

NIE JESTEŚMY WYJĄTKIEM

Przyglądając się tej sprawie, trzeba zauważyć, że koronawirus zaskoczył wszystkie kraje na świecie. Wszyscy więc naprędce próbują minimalizować wpływ choroby na życie ludzi i gospodarki. Nie ma leku, nie ma szczepionki, a o samym wirusie nie wiadomo jeszcze wszystkiego (wciąż odkrywane są nowe fakty naukowe, np. to, jak potrafi przenosić się nie tylko poprzez kropelki po kichnięciu, lecz także przez samo wdychanie powietrza podczas mowy; czy to, że część jego cząsteczek pozostaje nadal aktywna i groźna nawet przy potraktowaniu ich temperaturą sięgającą 60 st. C).

Jedynym sposobem uchronienia się przed zakażeniem pozostała ludziom tzw. izolacja społeczna. Stosują ją wszyscy na świecie, choć w różnym stopniu. Ci, którzy przegapili początkowy moment, tak jak Włosi czy Hiszpanie, wprowadzają potem izolację znacznie ściślejszą.

I wszędzie istnieje problem z częścią ludzi, którzy żadnym zaleceniom ani nakazom nie chcą się podporządkować. Jak na ironię problem ten nadal jest chyba największy w krajach borykających się z najwyższą liczbą zgonów w okresie pandemii. Tylko w dwa dni w ubiegłym tygodniu włoska policja wystawiła 23 tys. mandatów za łamanie przepisów mających na celu powstrzymywanie rozprzestrzeniania się choroby. Jeszcze w marcu Włosi szybko podnosili wysokość grzywny dla tych, którzy naruszają zakazy poruszania się po kraju, z maksymalnej w wysokości 206 euro do 3 tys. euro (czyli w przeliczeniu ok. 13,5 tys. zł).

Nad powstrzymaniem najbardziej niesubordynowanych mieszkańców pracują policjanci w każdym kraju. W Hiszpanii tylko w marcu nałożyli w sumie 127 tys. mandatów w tej sprawie. Za złamanie zakazu przemieszczania się w Norwegii – po apelach lokalnych władz – kara wynosi 15 tys. koron (czyli ok. 6 tys. zł).

Polska na tym tle nie jest wyjątkowa. Policja może nakładać grzywnę do 5 tys. zł. Jednocześnie przy najgroźniejszym dla zdrowia innych łamaniu zasad skierowanie sprawy do sanepidu może skończyć się nałożeniem kary w wysokości nawet 30 tys. zł.

TE NIEZNOŚNE ZASADY

Gdy policja w Polsce zaczęła egzekwować przepisy, na funkcjonariuszy wylała się fala hejtu. Nie pomogło w tym oczywiście niezbyt precyzyjne prawo dotyczące tego, jak i gdzie można wychodzić, a gdzie nie wolno (rząd musiał na stronach internetowych pisać wyjaśnienia do rozporządzeń). Jednak trzeba też zauważyć, że pojawiło się mnóstwo osób, które nie chciały zrozumieć, że np. rekreacyjna przejażdżka rowerem nie należy do czynności niezbędnych życiowo, a więc pozwalających na opuszczenie mieszkania, gdy kraj chce opóźnić falę zachorowań.

Dodajmy, że w Polsce to zjawisko dość typowe. Gdy w innych krajach przepisy formułowane są raczej ogólnie, nad Wisłą wszyscy domagają się precyzji posuniętej do absurdu. Przykład? Prawo dotyczące przechodzenia po pasach przez jezdnię. W regulacjach innych krajów ogólnie kierowca ma ustąpić pieszemu już wtedy, kiedy zauważy, że ten ma zamiar przejścia. W przypadku problemu to, jak został zrealizowany obowiązek przepisów, rozstrzygają sądy. W Polsce przy próbie wprowadzania tych regulacji pojawiało się mnóstwo pomysłów na to, jak szczegółowo zapisać wyrażanie zamiaru przez pieszego (np. podniesienie ręki). Padały też propozycje wyznaczenia odmierzonej strefy od krawężnika na chodniku (a nawet jej wymalowania), w której pieszy będzie nabywał swoich praw.

Tymczasem zbytnie precyzowanie zapisów prawnych prowadzi jedynie do

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. POLICJA LUBELSKA

tego, że – ponieważ nie da się tak ująć wszelkich możliwych w życiu okoliczności – powstają dziury, które można wykorzystać na swoją korzyść.

W Polsce często ludzie odczuwają złość i frustrację, gdy są przyłapani na łamaniu zasad. Aż nazbyt dobrze można to zobaczyć w każdym programie telewizyjnym, który pokazuje interwencje drogówki. Kierowcy łamiący prawo czują raczej, że uczestniczą w grze „złapie/nie złapie". Nierzadko złoszczą się na to, że w ich mniemaniu oni tylko „lekko" naruszyli przepis, a inni obok nich zrobili to poważniej i nie zostali ujęci.

Dopiero w takim kontekście możemy lepiej zrozumieć to, co oglądamy teraz, gdy w imię zabezpieczenia ludzi przed chorobą policja dostała zadanie skutecznego dopilnowania izolacji społecznej i dostała do tego solidne narzędzia.

DRUGIE DNO

Internet rozgrzewają więc nagrania rzekomo opresyjnych zachowań funkcjonariuszy. Pierwszym najgłośniejszym była interwencja w Olsztynie. Zatrzymana tam 22-latka na rowerze wrzuciła do sieci zarejestrowaną końcówkę interwencji, gdy funkcjonariusze używali siły. Policja w oświadczeniu opisała kulisy. Zatrzymali podróżującą rowerem – jak się potem okazało, zawodniczkę sztuk walk – bo uznali, że może łamać zasady przemieszczania się (i mieli rację, bo dziewczyna jechała na „trening"). Kobieta nie chciała pokazać dowodu osobistego, który zdaniem funkcjonariuszy mogła przy sobie mieć. Przyjechał więc patrol samochodem, by ewentualnie przewieźć ją na komendę. Gdy funkcjonariusze chcieli skontrolować jej plecak, wyrwała go z im rąk. Wówczas zaczęli podejrzewać, że może mieć w nim przedmioty, które usiłuje ukryć. Postanowili ją zatrzymać i ostrzegli, że jeśli nie będzie zachowywać się adekwatnie, wówczas użyją siły. Nie poskutkowało. Kobieta została więc obezwładniona, zatrzymana i osadzona w areszcie. W jej plecaku policja znalazła woreczek z marihuaną.

Inne głośne nagranie to film z Mikołowa. Po jego obejrzeniu w sieci można odnieść wrażenie, że nadgorliwi policjanci każą okazywać paragony ludziom, którzy przyjechali zakupić jedzenie w barze na wynos. Tymczasem – jak wyjaśniła potem policja – ludzie omijają tam zakaz rekreacji i przychodzą posiedzieć oraz łowić ryby, twierdząc, że oczekują na zamówienie z baru. Podczas sfilmowanej interwencji funkcjonariusze zastali na rybach dwóch mężczyzn. Jeden z nich twierdził, że czeka na jedzenie, ale czekał na nie... 2,5 godziny. Policjanci uznali, że kłamie. Mężczyzna nie tylko nie pokazał paragonu, lecz także nie potrafił odpowiedzieć na pytanie, jakie danie zamówił. Funkcjonariusze sporządzili wniosek do sądu – możliwa grzywna to 5 tys. zł, ewentualna kara od sanepidu – do 30 tys. zł.

W Internecie pojawił się nawet film z interwencji policji sprzed lat, choć sugestia mogła wskazywać, że chodzi o brutalność w egzekwowaniu obecnych przepisów.

PRZECIW „WŁADZY"

Oczywiście zapewne nie jest tak, że policjanci się nie mylą, że nie bywają nadgorliwi. Zdarzają się nawet sprawy tak okropne jak pobicie Igora Stachowiaka (za co skazano czterech byłych policjantów na więzienie). I te sprawy należy nagłaśniać oraz wyjaśniać w interesie społecznym.

Trudno jednak nie mieć wrażenia, że publikując tylko pół prawdy o interwencjach podczas pandemii, poważnie podważa się zaufanie do służby i zupełnie bezpodstawnie. Czasem ze zwykłego rozżalenia, że zostało się przyłapanym na łamaniu zasad. Czasem jednak – publikując interwencje sprzed lat – celowo. Jaki sens ma próba negatywnego nastawiania społeczeństwa do policjantów, mających chronić nas przed tymi, przez których więcej osób może zachorować i ostatecznie umrzeć? Trudno zrozumieć.

Niewykonywanie poleceń i niestosowanie się do próśb policjanta, z czego obecnie są dumne np. osoby związane z ruchami opozycyjnymi i co pokazują chętnie w Internecie, trudno też uznać za postawę obywatelską, do której same namawiają. Recytowanie konstytucji podczas próby sprawdzenia przez policję, czy ktoś ma rzeczywisty powód do poruszania się po ulicach, to raczej pieniactwo.

Tymczasem im więcej chaosu i sprzeciwu, tym trudniej ludziom zrozumieć problem pandemii i tego, jak z tygodnia na tydzień będziemy musieli się do tego przystosować. A fałszywe wiadomości rozprzestrzeniają się dziś niezwykle szybko. Dobrze pokazał to ostatnio Paweł Borys, szef PFR. Podczas wywiadu o Tarczy Antykryzysowej zapytany został o oferowanie Polakom korzystnego oprocentowania, bo w bankach jest dziś 900 mld zł depozytów. Borys odpowiedział, że myśli o takich obligacjach i mogłaby to być korzystna dla ludzi forma gromadzenia oszczędności. Jego słowa szybko wykorzystano jednak do sformułowania – najpierw na Twitterze – nieprawdziwej informacji o tym, że rząd chciałby zabrać Polakom bankowe oszczędności. Wiadomość przekształcała się dalej, podawana m.in. przez portal Wieści24. Poseł Artur Dziambor z KORWiN na Twitterze stwierdził: „Jutro banki będą otwarte. Warto zastanowić się nad wypłaceniem swoich oszczędności i ulokowaniem ich, nie wiem, w ogródku. W każdym razie gdzieś, gdzie rząd ich nie dorwie". Dalej wiadomość podawały już całkiem poważne portale.

Mamy prawo oczekiwać, że urzędnicy państwowi także w obliczu pandemii będą reagować sprawnie i precyzyjnie, również w obszarze prawa – po to ich wybieramy i za to im płacimy. Jednak czy myśląc o obywatelskim społeczeństwie i kraju, nie powinniśmy wreszcie zacząć wymagać też od siebie przestrzegania reguł, które mają chronić nas i innych?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. MAREK BERESZOWSKI/REPORTER

Fiasko projektu „Hołownia”?

Wojciech Wybranowski

To miał być zaskakujący projekt polityczny z nowymi twarzami, wielkimi pieniędzmi i przebojowymi pomysłami. Po kilku miesiącach polityczny projekt Szymona Hołowni wydaje się bez szans na sukces

Nawet jeślibym wygrał wybory, to i tak złożyłbym wniosek o ich unieważnienie – ogłosił Szymon Hołownia, jeden z kandydatów na prezydenta RP, podczas internetowego spotkania z potencjalnymi wyborcami nazwanego „Wirtualna sztafeta Szymona”. – Gdyby wybory przeprowadzono, byłyby fałszerstwem, byłyby nielegalnymi wyborami, wyborami sfałszowanymi od samego początku. Również od strony ustrojowej – stwierdził.

Zaskakująca deklaracja publicysty i gwiazdy emitowanych na antenie stacji TVN programów „Mam talent” i „Mamy Cię!” wywołała falę krytycznych komentarzy internautów. Nic dziwnego. Kilka miesięcy po deklaracji o starcie w wyborach prezydenckich jest on równie daleko od prezydenckiego stołka, jak był na jej początku. Jak wynika z niedawnego sondażu pracowni Estymator dla portalu DoRzeczy.pl, Hołownia zajmuje obecnie piąte miejsce na 12 kandydatów z zaledwie 4,9 proc. poparcia. Identyczny wynik zdobył Hołownia w sondażu IBRiS dla „Rzeczpospolitej” badającym, na kogo głosowaliby wyborcy, gdyby ich kandydat pierwszego wyboru wycofał się ze startu w wyborach.

– Projekt „Hołownia na prezydenta” był od samego początku skazany na porażkę. To, co wydarzyło się w kampanii kandydata, jak ona wygląda – brak pomysłu, chaos, niespójna narracja – potwierdzają tylko, że już od samego początku brakowało dobrego pomysłu na kreację kandydata. Dzisiaj w jego szanse mogą wierzyć tylko najbardziej zagorzali zwolennicy – ocenia dr Jacek Kloczkowski, politolog z Ośrodka Myśli Politycznej.

KASA, LUDZIE I...

Jeszcze jesienią polityczny start-up Hołowni zapowiadano jako wielki projekt. Wśród dziennikarzy krążyły plotki, podkręcane także przez PR-owców kilku wielkich agencji, o rzekomym fenomenalnym pomyśle na kampanię, wielomiesięcznej pracy nad projektem, badaniach opinii publicznej, dokładnym programie wyborczym i cyklu przygotowywanych spotkań z wyborcami. A przede wszystkim – o dużych pieniądzach, które miały na ten projekt zostać przeznaczone. Media prześcigały się w spekulacjach na temat tego, kto je wyłożył. Szeptano, że ma za tym stać koncern ITI bądź rodzina Kulczyków. „W związku ze spekulacjami medialnymi na temat mojego rzekomego zaangażowania materialnego w kampanię wyborczą pana Szymona Hołowni oświadczam, że pozostając wrażliwą na sprawy społeczne, nie angażuję się ani nie zamierzam angażować się w żadne działania o charakterze politycznym” – dementowała potem w oświadczeniu Dominika Kulczyk. Hołownia mówił w rozmowie z „Tygodnikiem Powszechnym”, że początki kampanii sfinansował sam. „Z własnych środków – przez ostatnie

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

miesiące naprawdę dużo pracowałem, by zarobić na ten projekt, poza tym kilkanaście osób wsparło mnie darowiznami w wysokości 4,9 tys. zł – na tyle pozwala prawo osobom, które nie są ze sobą spokrewnione. Wśród tych osób nie ma milionerów, polityków, lobbystów, to moi przyjaciele od lat" – mówił kandydat na prezydenta.

Środki na kampanię wyborczą Hołownia zbierał od donatorów m.in. za pomocą strony internetowej. I tu pojawiły się pierwsze wątpliwości. Jak bowiem wskazał Patryk Hałaczkiewicz, działacz Bezpartyjnych Samorządowców, część z wpłat na konto komitetu wyborczego Hołowni dokonywana jest za pomocą mikropłatności. Tymczasem zgodnie z Kodeksem wyborczym wpłaty na rachunek komitetu muszą być dokonywane przez osoby fizyczne, a system mikropłatności PayU może utrudniać wykazanie, kto tak naprawdę przekazał pieniądze. Aby nie doszło do nieprawidłowości, Hołownia musiałby ponad wszelką wątpliwość wykazać, od kogo każdy z otrzymanych przelewów pochodzi.

„Spieszę uspokoić, że KW SH [Komitet Wyborczy Szymona Hołowni – przyp. red.] prowadzi zbiórkę wyłącznie w formach dozwolonych Kodeksem wyborczym, nie ma możliwości przyjęcia przez Komitet darowizny wykonanej niezgodnie z przepisami, regulaminem gromadzenia środków finansowych oraz instrukcjami – nad tym czuwa pełnomocnik finansowy" – przekonywał Michał Kobosko, rzecznik sztabu Hołowni, w rozmowie z Wirtualnemedia.pl.

Staraliśmy się sprawdzić, jak wygląda to w praktyce. Dziennikarz „Do Rzeczy" zadeklarował na stronie komitetu Hołowni wolę wpłaty na jego konto. Wypełnił dane i został przekierowany do własnego konta bankowego, z którego miał dokonać przelewu. Gdyby pieniądze wyszły, sztab Hołowni dysponowałby faktycznymi danymi donatora. Przelew nie został jednak zrealizowany, a mimo to nasz dziennikarz otrzymał na swój e-mail podziękowania za dotację oraz zaczął cyklicznie otrzymywać newsletter przeznaczony dla osób, które dokonały wpłaty. Pytaliśmy też o to Krajowe Biuro Wyborcze. Usłyszeliśmy, że sprawa będzie ewentualnie wyjaśniana, ale najwcześniej trzy miesiące po wyborach.

– Organy wyborcze nie dokonują ocen w tych sprawach w trakcie kampanii wyborczej, gdyż przepisy Kodeksu wyborczego nie upoważniają ich do sprawowania bieżącej kontroli – odpowiedział na pytania „Do Rzeczy" Krzysztof Lorentz, dyrektor Zespołu Kontroli Finansowania Partii Politycznych i Kampanii Wyborczych.

OD SASA DO LASA

Michał Kobosko, pełnomocnik sztabu wyborczego Hołowni, dziennikarz, publicysta, były redaktor naczelny tygodnika „Wprost", to jedno z głośnych nazwisk, które zaangażowały się w kampanię Szymona Hołowni. Szefem sztabu został Jacek Cichocki, były szef Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i zaufany człowiek Donalda Tuska. Z kolei Stanisław Zakroczymski odpowiada w nim za koordynację spraw programowych, a specjalnym doradcą ds. bezpieczeństwa narodowego został gen. Mirosław Różański, znany z krytycznego stanowiska w sprawie rozmieszczenia baz NATO w Polsce. Doradcą ds. edukacji został Przemysław Staroń, wykładowca, zwolennik ideologii LGBT. Po tym, jak związał się ze sztabem Hołowni, został usunięty z grona znajomych przez również związanych z ruchem LGBT Roberta Biedronia i Krzysztofa Śmiszka. Ze sztabem Hołowni rozstał się już natomiast ekonomista Piotr Kuczyński, analityk rynków finansowych, co przez część komentatorów została uznana za symboliczny początek końca „projektu Hołownia".

Znane nazwiska nie przyniosły jednak celebrycie skoków procentowych punktów poparcia, okazały się politycznie i medialnie zużytymi twarzami. Pomysły na kampanię, spoty i promocję kandydata zarówno w czasie pandemii koronawirusa – która, jakkolwiek to zabrzmi, powinna być „żywą wodą" politycznej kreatywności – jak i te wcześniejsze okazały się na poziomie topornych kampanii z pierwszej połowy lat 90. Słabymi ogniwami są jednak i sam Hołownia oraz jego nagrania umieszczane w mediach społecznościowych.

– Na pewno z dołka sondażowego nie wyciągnie go jego kampania, która jest coraz bardziej chaotyczna, dziwna. Człowiek, który swoimi zachowaniami, gestykulacją, minami odcina się zupełnie od tego, co przez lata o nim wiedzieliśmy z jego publicznego wizerunku – ocenia dr Kloczkowski. – Nowe oblicze, które próbuje prezentować, nie dodaje mu wiarygodności także z racji tego, jak on na tych nagraniach wypada. Kreuje się na buntownika politycznego, ale nie widać w nim iskry Bożej, która zmieniłaby go w fightera politycznego – uważa politolog.

Zaczęło się od wpadki ze spotem inaugurującym kampanię prezydencką Hołowni. Padły tam słowa: „Będziemy walczyć o każde drzewo. Nie tylko o jedno", a wypowiedzi kandydata towarzyszył wizerunek brzozy i przelatującego papierowego samolociku, co wśród komentujących zostało powszechnie odebrane jako ironiczne nawiązanie do katastrofy smoleńskiej. W efekcie Hołownia wycofał spot ze swoich materiałów wyborczych.

Nie mniej krytyki wzbudziło inne nieudolnie zrealizowane nagranie, na którym sprawiający wrażenie roztrzęsionego kandydat krytykował plany wyborów PiS. Emocji i agresji jest zresztą w jego wystąpieniach sporo – zarówno pod adresem Zjednoczonej Prawicy, jak i rywali z opozycji. Oberwało się też zwolennikom, którzy krytycznie komentowali jego wystąpienia. – Wszyscy mądrzy po prostu. Krawat nie taki, garnitur nie taki, skarpetki nie takie, nie tak patrzysz, za szybko mówisz, za wolno mówisz, mówisz za głośno, mówisz za cicho, za dużo emocji, za mało emocji. Ludzie! Ja tutaj próbuję wybory wygrać, tak? – mówił rozemocjonowany Hołownia w rozmowie z internautami w formie „live chat".

Niektórzy zastanawiają się, czy jeśli Szymon Hołownia zostałby prezydentem, to byłby w stanie panować nad emocjami. Maurycy Seweryn, ekspert zajmujący się mową ciała, w rozmowie z TVP Info zwracał uwagę, że były dziennikarz TVN podchodzi do kampanii zbyt emocjonalnie i przyjął pozycję głównego krytyka konkurentów. „W tych trzech nagraniach ani razu nie powiedział o swoich propozycjach. Wyłącznie skoncentrował się na czarnym PR" – komentował ekspert.

Obóz liberalny od lat ma problem z diagnozą nastrojów i emocji społecznych. Wariant ukraiński, zakładający wypromowanie wzorem Ukrainy kandydata apolitycznego, rozbił w proch sam Hołownia, wchodząc w buty bardziej polityka niż polityka. Efekt? Projekt, który miał być zaskakujący, okazał się niewypałem. I wydaje się, że szybciej zrozumieli to autorzy scenariusza niż jego główny bohater.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Klementyna Suchanow podczas demonstracji przed IPN w 2018 r.

FOT. PAWEŁ WIŚNIEWSKI/EAST NEWS

Własny świat feministek

Agnieszka Niewińska

Aktywistka Strajku Kobiet Klementyna Suchanow w swojej książce przeciwników aborcji łączy i z meksykańską sektą, i z Putinem. Na usługach Kremla ma być nawet jasnogórski obraz

W Barze Studio w Pałacu Kultury i Nauki przygasły światła. Zamilkł nawet ekspres do kawy, by lepiej było słychać specjalną „gościnię" Klementynę Suchanow. Pisarka, feministka i aktywistka Strajku Kobiet (zasłynęła tym, że podczas protestów sądowych wymalowała na elewacji Sejmu napis „Czas na sąd ostateczny") na początku marca w PKiN promowała swoją najnowszą książkę „To jest wojna. Kobiety, fundamentaliści i nowe średniowiecze". W spotkaniu towarzyszyły jej aktywistki Strajku Kobiet.

– To petarda – ekscytowała się publikacją Suchanow prowadząca spotkanie Paulina Reiter z „Wysokich Obcasów" (dodatku do „Gazety Wyborczej"), twierdząc, że tak właśnie określa książkę wiele feministek. Dla autorki książki „petarda" to jednak za mało. Mówi, że to „dynamit", choć jak na razie wzbudziła głównie zainteresowanie lewej strony ideowego sporu i mediów z grupy Agora. Książka ukazała się bowiem nakładem Wydawnictwa Agora, należącego do grupy wydającej „Wyborczą". – Ciągle jestem pytana, czy jest już pozew – mówiła

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Suchanow, dodając, że jeden ze znajomych wyraził nawet żal, że w związku z książką nie ma ani pozwu, ani medialnej afery.

A potencjał ku temu jest. Teorie Suchanow, której książka przedstawiana jest jako dziennikarskie śledztwo – i to międzynarodowe! – to opowieści nie z tej ziemi. Na 600 stronach konserwatywne organizacje, ruchy pro-life łączy z sektami z Ameryki Łacińskiej. Donosi, że werbunku dokonywały już w 1991 r., i to w Częstochowie na Światowych Dniach Młodzieży. W dodatku pojawiające się w przestrzeni publicznej postulaty „chrześcijańskich fundamentalistów" czy, jak mówi, po prostu „złych ludzi", którzy chcą odebrać niezbywalne prawa człowieka (a do tych według niej należy aborcja), to rosyjska intryga. Wedle Suchanow na pasku Kremla chodzą polscy biskupi, a w moskiewską akcję zaprzęgnięty został nawet obraz Matki Boskiej Częstochowskiej pielgrzymujący po Rosji i krajach Europy Zachodniej.

Kreml, według Suchanow, chce zniszczyć geopolityczny układ sił na świecie, m.in. przez kreowanie Rosji na światowego obrońcę chrześcijańskich wartości, i w tym celu działa poprzez ludzi współpracujących z oligarchami z kręgu Putina. Suchanow lansuje swoją tezę, nie zważając nawet na to, że w rządzonej przez Putina od 20 lat Rosji aborcja jest legalna i wykonywana w ramach ubezpieczenia medycznego, a dokonać może jej nawet nastolatka.

KATALOG ZŁYCH LUDZI

Na kartach swojej książki Suchanow tłumaczy, że po strajku kobiet wywołanym procedowanym w Sejmie obywatelskim projektem ustawy „Stop aborcji" zaczęła zauważać, że konserwatyści zwani przez nią fundamentalistami dochodzą do głosu także w innych krajach – w Argentynie, USA czy Rosji. „Przypadek czy skoordynowane działania? Zbyt wiele było podobieństw między tymi ruchami i ich działaniami, by uznać to za dzieło przypadku. A jeśli nie są przypadkowe, to czy ktoś całą tę akcję koordynuje?" – pyta Suchanow.

Chociaż na początku spotkania jego uczestniczki mówią o „pewnej organizacji", szybko pada nazwa Ordo Iuris. Suchanow proszona jest o wskazanie „tych najbardziej złych ludzi", na których „trzeba mieć baczenie":
– Bolsonaro, Putin, Kaczyński – wylicza. – Trump jest bardzo złym człowiekiem. Są i pomniejsi. Pan Kwaśniewski [Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris – przyp. red.], perfidny człowiek. Jak ktoś tu jest z Ordo Iuris, to może mu to powtórzyć, albo sama napiszę to na Twitterze – rzuca buńczucznie w stronę publiczności.

Do Ordo Iuris uczestniczki spotkania odwołują się jeszcze wielokrotnie. Utyskują na to, że prawa strona jest dobrze przygotowana prawnie, coraz częściej inicjuje pozwy wobec lewicowych aktywistów. Twierdzą nawet, że dysponuje dużymi pieniędzmi. Straszą tym, że konserwatywne organizacje ważą się na nawiązywanie międzynarodowej współpracy, choć same wręcz chwalą się kontaktami z działaczkami organizacji feministycznych z innych państw. Podkreślają zażyłość z Argentynkami, na których chcą się teraz wzorować, podnosząc temat legalnej aborcji, z Chorwatkami. – Z koleżankami z Chorwacji robimy różne rzeczy. Czasem grzeczne, czasem niegrzeczne – mówi tajemniczo Suchanow.

Suchanow przestrzega przed Hiszpanami. Działaczy konserwatywnych z tego kraju uważa za szczególnie radykalnych. – Ordo Iuris się na nich wzoruje. Są bardzo agresywni – alarmuje

Jej oburzenie budzi to, że konserwatywne NGO starają się o akredytacje przy organizacjach międzynarodowych, by mieć wpływ na decyzję zapadające w Unii Europejskiej czy ONZ. – Postanowili skolonizować UE, ONZ, żeby być wszędzie obecni – grzmi.

Nie widzi jednak problemu w tym, by w organizacjach międzynarodowych lobbowały osoby i organizacje reprezentujące bliskie jej poglądy. W swojej książce powołuje się choćby na Neila Dattę, kierującego w Brukseli Parlamentarnym Forum na rzecz Praw Seksualnych i Reprodukcyjnych. Datta, współpracujący z proaborcjonistami takimi jak Planned Parenthood, lobbuje w UE za pośrednictwem parlamentarzystów z różnych grup parlamentarnych. Datta zasłynął publikacją o Agendzie Europa – grupie organizacji konserwatywnych z Europy i Ameryki, które wymieniają się informacjami, spotykają się dorocznie, dzielą doświadczeniami i próbują wypracować wspólną strategię działania. Materiały Agendy Europa trafiły do rąk lewicowych aktywistów dzięki hakerom. Na ich podstawie Datta opracował datowany na kwiecień 2018 r. dokument „Przywracanie naturalnego porządku", straszący rzekomym fundamentalizmem Agendy Europa.

ZAPISY NA „TAJNE" SPOTKANIA W INTERNECIE

Suchanow w książce i wywiadach powtarza tezy Datty. Chociaż w mediach Agory niedopytywana przez nikogo straszy sekretnymi zjazdami Agendy Europa, na których mają zapadać wrogie ustalenia, to okazuje się, że spotkania aż takie tajne nie były. Do spotkania w Warszawie doszło w 2016 r. Jego uczestnicy jak na tajny zjazd spotkali się w miejscu niezbyt zakonspirowanym, bo w hotelu w centrum miasta, przy ul. Kruczej. – Strasznie jestem wkur...ona, że wtedy o tym nie wiedziałam, bo urządziłybyśmy im piekło – rzuca na spotkaniu autorskim Suchanow.

Tajność zasadza się najwyraźniej na tym, że do Suchanow nie wystosowano zaproszenia. Sama pisze bowiem w książce o tym, że informacja o tym „tajnym" warszawskim spotkaniu była dostępna w Internecie. Jej rozmówca, którego przedstawia jako Kowalskiego, zapisał się na nie przez Internet i je nagrywał. Ustalił m.in. tyle, że jednym ze sponsorów spotkania było Ordo Iuris. „Można było zauważyć, że Ordo Iuris jest świetne w tym, co robi. […] Przedstawiciele innych krajów zazdrościli im profesjonalizmu" – cytuje go Suchanow.

Na warszawskim spotkaniu co prawda zabrakło Rosjan, ale i to nie zniechęca Suchanow do lansowania wątku kremlowskiego spisku. Wyjaśnienie tej nieobecności jest według niej proste. „Europa Wschodnia ma swoje porachunki z Rosją" – pisze, dodając, że w polskim rusofobicznym społeczeństwie współpraca z Rosjanami byłaby poważnym obciążeniem i dlatego w Warszawie ich nie było.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Z sali pada do Suchanow pytanie, czy znalazła związek abp. Jędraszewskiego z Agendą Europa. Ta zaprzecza, ale od razu zaznacza, że w książce opisała abp. Józefa Michalika. Okazuje się, że dokonała poważnego odkrycia. Otóż abp Michalik miał zacząć używać określenia „ideologia gender" dopiero po spotkaniu z rosyjskim patriarchą prawosławnym Cyrylem, do którego doszło w sierpniu 2012 r. Suchanow stwierdza to na podstawie informacji od innej feministki, Elżbiety Korolczuk, która to datuje pojawienie się określenia „ideologia gender" na lata ok. 2010–2012.

„»Ideologia gender«, którą przywiózł w bagażu dyplomatycznym patriarcha i która zagościła w polskim episkopacie, a potem dotarła nawet do Watykanu, jest sprytnym narzędziem do uprawiania kremlowskiej geopolityki" – objaśnia czytelnikom Suchanow.

MEKSYKAŃSKA SEKTA NA ŚDM

Suchanow przestrzega przed Hiszpanami. To właśnie działaczy konserwatywnych organizacji z tego kraju uważa za szczególnie radykalnych. – Ordo Iuris się na nich wzoruje. Są bardzo agresywni. To dziwni osobnicy związani z sektą meksykańską – alarmuje.

Skąd te niebezpieczne hiszpańsko-meksykańskie związki? Śledztwo Suchanow zaprowadziło ją do – uwaga! – Częstochowy. To tam w 1991 r. odbyły się zainicjowane przez Jana Pawła II Światowe Dni Młodzieży. Wśród uczestników byli też Hiszpanie. Suchanow mówi o „wylęgarni przyszłych działaczy". – Okazało się, że są z mojego pokolenia, i było mi bardzo wstyd – ubolewa. W książce twierdzi, że to właśnie w Częstochowie Hiszpanie byli werbowani przez meksykańską organizację El Yunque – powstałą w Meksyku w latach 50., charakteryzowaną jako ultrakatolicką i radykalnie antykomunistyczną. Suchanow konsekwentnie pisze o sekcie. Skąd wie o meksykańskim werbunku w Częstochowie? Z meksykańskiej prasy, gdzie anonimowo wypowiedział się na ten temat ktoś, kto był na tamtych ŚDM.

Suchanow na tym nie poprzestaje. Powołuje się również na wywiad z żoną rzekomego hiszpańskiego działacza El Yunque Victorią Uroz. Twierdzi ona, że El Yunque szykowała ekspansję na Polskę, wydała u nas nawet jakąś książkę. Jaką? Tego nawet Suchanow ustalić się nie udało.

Meksykańska sekta to nie wszystko, bo Suchanow powtarza rewelacje sprzed kilku lat autorstwa Tomasza Piątka. Na łamach „Gazety Wyborczej" Piątek poprzez stowarzyszenie im. ks. Piotra Skargi połączył Ordo Iuris z brazylijską organizacją Tradycja, Rodzina i Własność (TFP). Brazylijscy tradycjonaliści, antykomuniści, sprzeciwiający się szerzącej się od lat 60. w Brazylii teologii wyzwolenia, to dla Suchanow kolejna sekta. Pisze o kulcie założyciela TPF, sugeruje nawet, że mógł być homoseksualistą. Lansuje teorię, jakoby to TFP mogło stać za zamachami na Jana Pawła II. Źródłem informacji jest dla Suchanow Juan Fernández Krohn – były ksiądz, lefebrysta, który w 1982 r. zranił papieża w Fatimie. Bractwo św. Piusa X, które usunęło Krohna ze swoich szeregów, jako powód podało problemy psychiczne. Po odsiedzeniu kary za zamach na papieża Krohn trafił jeszcze do więzienia za próbę zamachu na królów Belgii i Hiszpanii.

Jednak Suchanow, przedstawiającej się w mediach jako „zawodowa badaczka", to nie zraża. Szeroko cytuje opowieści Krohna o tym, że zamach na Jana Pawła II był inspirowany przez TFP, bo polski papież był, jego zdaniem, uważany przez tę organizację za… komunistę.

Tylko jak obie latynoamerykańskie organizacje, o których pisze Suchanow, tak radykalnie antykomunistyczne, miałyby teraz współpracować z Rosją Putina, który twierdzi, że największą katastrofą geopolityczną XX w. był rozpad Związku Radzieckiego? Tego paradoksu Suchanow nie wyjaśnia.

9 TYS. EURO NA OBÓZ DLA FEMINISTEK

– Jako szpieg, który wszedł na ich terytorium, powiedz, co nas jeszcze czeka – dopytuje Suchanow prowadząca spotkanie Paulina Reiter.

– Zakaz rozwodów. Na pewno to będzie – odpowiada całkiem poważnie Suchanow. Twierdzi, że Ordo Iuris się przestraszył i taki projekt, który rzekomo ma, schował, ale w końcu go wyciągnie.

Na spotkaniu w Barze Studio nie brakuje też kombatanckich opowieści z okresu ulicznych strajków, które są też integralną częścią książki. Prowadząca, nawiązując do kronikarskich zapisków Suchanow, nazywa ją nawet Chryzostomem Paskiem w spódnicy.

Zaniepokojona publiczność pyta Suchanow i towarzyszące jej aktywistki Strajku Kobiet o to, jak się czują w związku z wieloma ulicznymi protestami, w których brały udział. Panie żalą się na utracone prace, podupadłe firmy, problemy ze zdrowiem. – Dużo przeklinamy – mówi Suchanow, twierdząc, że to pomaga w trudnej sytuacji.

– Jestem bardzo zmęczona. Te ostatnie cztery lata to pasmo porażek – dzieli się z publicznością smutną refleksją Bożena Przyłuska, aktywistka Strajku Kobiet.

Marta Lempart, jedna z inicjatorek Strajku Kobiet, opowiada o braku pracy, ratach kredytu do spłacenia, problemach zdrowotnych. Zapowiada też, że dla podreperowania zdrowia feministycznych działaczek 9 tys. euro, które Ogólnopolski Strajk Kobiet dostał w nagrodę od Europejskiego Komitetu Ekonomiczno-Społecznego, zostanie przeznaczone na obóz regeneracyjny dla działaczek Strajku. Siły będą potrzebne, bo aktywistki już zainicjowały kampanię na rzecz legalnej aborcji.

Wyłowiona z widowni przez prowadzącą spotkanie Dorota Warakomska, była dziennikarka, działaczka Kongresu Kobiet, dopytuje uczestniczki spotkania, czy przygotowują się do przejęcia władzy. – W tym naszym planie wojennym jest wejście do polityki – odpowiada Przyłuska, która w ostatnich wyborach, startując z list Lewicy, nie dostała się do parlamentu. Żali się na Lewicę, która nie chciała się dogadać ze Strajkiem Kobiet, i na kobiety, które weszły do polityki, ale nie grają na inne kobiety.

– Ja już jestem gotowa do przejęcia władzy. Nie tylko nad Polską, ale i nad światem – deklaruje roześmiana Suchanow. – Żartuję sobie, ale jakby ktoś mi zaproponował bycie prezydentem, tobym to wzięła na pięć lat.

Czas straszenia sektami rodem z Ameryki Południowej, patriarchą Cyrylem z „ideologią gender" przywiezioną w walizce i polskimi „fundamentalistami", którzy lada chwila zakażą rozwodów, szybko mija. Zanim jeszcze uczestnicy spotkania z Suchanow ustawią się do wspólnego zdjęcia, a w Barze Studio znów zaczną furczeć ekspresy do kawy, Marta Lempart dzieli się z zebranymi swoimi nadziejami: – W Hiszpanii w budynkach po kościołach są dzisiaj dyskoteki. I ja na to liczę u nas.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Dla dobra całego narodu

FOT. HUBERT SZCZYPEK

„Żywy pomnik", „papieska młodzież", „żółta fala" – to charakterystyczne hasła, które niczym wizytówka przylgnęły do stypendystów Fundacji „Dzieło Nowego Tysiąclecia". Czym jest organizacja, o której św. Jan Paweł II powiedział: „Rzeczywiście jest to dzieło, które należy wspierać, dla dobra całego narodu"?

GENEZA

„Dzieło" powstało w 1999 r., tuż po najdłuższej pielgrzymce Ojca Świętego do ojczystego kraju. Oprócz nieocenionego wkładu duchowego pozostały także po wspomnianym pobycie niewykorzystane środki od sponsorów na organizację wydarzenia w kwocie 700 tys. zł. W trakcie dyskusji na temat ich wykorzystania ukuło się sformułowanie, które najlepiej odzwierciedla aktualny do dziś kierunek myślenia Konferencji Episkopatu Polski: „Żywy pomnik Jana Pawła II". Postanowiono zrealizować społeczne nauczanie papieża Polaka dotyczące „wyobraźni miłosierdzia" i solidarności z potrzebującymi.

POMOC DLA BYSTRYCH

Cel był prosty. Pomoc ambitnej młodzieży, która z powodu trudnych warunków rodzinnych lub materialnych nie była w stanie kontynuować nauki. Utworzono więc program stypendialny, a pierwsze wpłaty dotarły do podopiecznych fundacji już pod koniec 2000 r. Na początku, w ramach „pilotażu", pomoc otrzymało 500 uzdolnionych uczniów szkół gimnazjalnych wybranych z regionów, w których sytuacja społeczna była bardzo trudna (5 diecezji). W kolejnych latach program rozwijał się i w 2003 r. objął swoim zasięgiem całą Polskę. W ciągu 19 lat działalności na stypendia przeznaczono łącznie ponad 125 mln zł. Pomogło to w ukończeniu studiów ponad 4000 stypendystom.

TO NIE KONIEC...

Pieniądze to tylko jeden z filarów. Młodzi ludzie potrzebują czegoś więcej! To wspólnota, formacja i doświadczenie siły modlitwy oparte na nauczaniu ich patrona, św. Jana Pawła II. Cel ten fundacja realizuje m.in. poprzez obozy formacyjno-integracyjne dla uczniów w dużych miastach. Często właśnie w nich realizują swoje akademickie aspiracje. Obozy uczą młodzież także trudnej sztuki planowania i przygotowywania się do działania na rzecz lokalnych społeczności. Jednym z fundamentalnych założeń organizacji jest bowiem działalność wolontariacka, którą stypendyści realizują przez cały rok m.in. w hospicjach, domach pomocy społecznej, szpitalach, instytucjach kultury i nauki, więzieniach czy schroniskach. Włączają się aktywnie w organizację Dnia Papieskiego, Orszaku Trzech Króli czy pracę z bezdomnymi.

BRACI SIĘ NIE TRACI

Co dzieje się z tymi, którzy zakończą swoją przygodę z programem stypendialnym? Mają możliwość dołączenia do Stowarzyszenia Absolwentów Dzieło, które troszczy się o wzmacnianie więzi budowanych przez lata. Jak wyznała jedna z absolwentek fundacji, Marta Dywicka: „Gdy ktoś mnie pyta o to, co zmieniło moje życie, zawsze odpowiadam: Fundacja „Dzieło Nowego Tysiąclecia". Gdyby nie Fundacja, gdyby nie ta pomoc, nie miałabym naprawdę szansy na to, żeby być teraz tym, kim jestem. Za chwilę wydam swoją pierwszą płytę „Pokochaj jeszcze raz", którą przygotowujemy z fundacyjnym zespołem. To będzie opowieść o doświadczeniu Bożej miłości, którą sami otrzymaliśmy".

WDZIĘCZNOŚĆ

Wypłaty stypendiów, sfinansowanie letnich obozów czy organizowanie okresowych spotkań formacyjnych – to wszystko nie byłoby możliwe, gdyby nie wsparcie wspólnoty Kościoła: ludzi dobrej woli, darczyńców i przyjaciół fundacji, którzy decydują się podzielić własnymi środkami z papieską młodzieżą. Ta pomoc jest nieustannie możliwa. Przekazując 1% swojego podatku na nr KRS 0000150776 można wesprzeć dzieło, ważne „dla dobra całego narodu".

Paulina Worożbit

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Chopin i triumf nauki

Jerzy Miziołek

W przeciwieństwie do opinii wielu biografów Chopina interesowała go nie tylko muzyka, lecz także odkrycia naukowe i sztuka. Na tym aspekcie osobowości geniusza powinna się koncentrować planowana od kilku lat placówka

Cały Chopin – pisze Artur Rubinstein – powstał w młodości i przez całe życie czerpał, jak ze źródła, z lat spędzonych w Polsce i z jej ducha". Połowę czasów młodości, lata 1817–1827, spędził nasz poeta fortepianu w murach Uniwersytetu Warszawskiego, a kolejne trzy naprzeciwko – w pałacu Krasińskich. Już od kilku lat nie ma w tymże pałacu Saloniku Chopinów, który przyciągał miłośników muzyki z całego świata. W przeciwieństwie do pałacu Krasińskich, obecnej siedziby ASP, uniwersytecki gmach z mieszkaniem Chopinów cudem przetrwał drugą wojnę światową. Od 2010 r. dokładnie znane są jego usytuowanie i powierzchnia. Udało się ponadto odnaleźć dokładny opis tego przestronnego lokum sporządzony w dniu zasiedlenia przez rodzinę Chopinów. Mikołaj Chopin otrzymał je jako profesor Liceum Warszawskiego, umieszczonego razem z uniwersytetem na terenie dawnej willi królewskiej, znanej jako pałac Kazimierzowski. Czy powstanie tu wreszcie Dom Młodości Chopina harmonijnie współpracujący z Muzeum Chopina na Tamce?

Z okazji kolejnego celebrowania urodzin (22 lutego lub 1 marca), imienin (5 marca) i zbliżającego się konkursu pianistycznego warto pokusić się o krótką opowieść o tym mieszkaniu, uniwersyteckich latach Chopina i jego zainteresowaniach nauką.

MIESZKANIE CHOPINÓW

24 grudnia 1825 r. Chopin tak pisał do Jana Białobłockiego: „Nigdy byś nie zgadł, skąd ten list wychodzi!... Pomyślisz, że z drugich drzwi Pawilonu Pałacu Kazimierowskiego? [...]. Nie – oto z Żelazowej Woli". Był to krótki, świąteczny powrót z rodzicami do miejsca urodzenia. Wspomniany „Pawilon Pałacu Kazimierowskiego" to istniejący do dziś gmach uniwersytecki zwany Budynkiem Porektorskim. Mieszkali w nim profesorowie Liceum Warszawskiego i uniwersytetu oraz rektorzy obydwu instytucji – Samuel B. Linde i Wojciech Szweykowski. Przenosiny Chopinów z pałacu Saskiego (Chopinowie mieszkali tu od jesieni 1810 r.) na uniwersytet odbyły się wiosną 1817 r.

W budynku tym mieszkali również profesor fizyki Józef Skrodzki i profesor miernictwa Julian Kolberg z rodzinami. Oskar – jeden z synów prof. Kolberga – tak pisze w swoich wspomnieniach: „Od czasu przenosin do Warszawy zamieszkaliśmy w jednym z długich pawilonów dwupiętrowych (w tw. koszarach kadeckich, obok Liceum, Biblioteki i Uniwersytetu). Lokal nasz z czterech pokoi i kuchni był na parterze, naprzeciwko nas (przez sień) mieszkał poeta Brodziński, a na drugim piętrze (z tej samej sieni) Szopen, prof. jęz. franc., który utrzymywał pensjonariuszy, a którego syn już wówczas [w 1824 roku] uważany był jako niezwykle utalentowany muzyk".

Oskar Kolberg wrócił do kwestii lokum Chopinów na długo po śmierci Fryderyka, gdy ten był już powszechnie uznanym kompozytorem i gdy każdy fakt z jego życia poddawano skrupulatnym badaniom. W 1877 r., na prośbę jednego z badaczy, Kolberg narysował na kopercie pocztowej plan całego zespołu uniwersyteckiego, zaznaczając klarownie Budynek Porektorski i klatkę schodową prowadzącą do mieszkania Chopinów. Ten schematyczny, przechowywany w Bibliotece PAU w Krakowie rysunek (opublikowałem go po raz pierwszy w 2010 r.) rozwiązuje definitywnie problem, o który pawilon i które z jego czworga drzwi chodzi. Wejście to zachowało się szczęśliwie do naszych czasów, ale klatka schodowa, później nieco zmieniona, urywa się na pierwszym piętrze. Bez większych problemów można ją zrekonstruować.

Nie mniej cenne wspomnienie o Chopinie pozostawił Wilhelm Kolberg, brat Oskara, z którym Fryderyk chodził do tej samej klasy liceum, a potem, w 1829 r., na prywatne lekcje angielskiego: „Staje mi często na myśli jakoby wspomnienie dnia wczorajszego nasze uczone kadeckie koszary i ów długi pawilon przy Liceum, gdzieśmy mieszkali, i ćwiczenia Fryderyka przy fortepianie, i nasze na dziedzińcu, postać starego Chopina wołającego wieczorem z okna drugiego piętra swoich elewów bawiących się na dole w piłkę […]".

Bezcennym uzupełnieniem wiedzy o mieszkaniu Chopinów jest pomiar Jana Tafiłowskiego, pokazujący plany parteru i obydwu pięter Budynku Porektorskiego. W pierwszej klatce mieszkał prof. zoologii Feliks Jarocki, w drugiej mieszkanie po lewej stronie zajmowali prof. Skrodzki z synem Eugeniuszem, a mieszkanie po prawej – Chopinowie, którzy posiadali pięciopokojowy lokal i kuchnię pozwalające na utrzymywanie kilku pensjonariuszy. Cztery okna ich mieszkania wychodziły na północ, a trzy

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

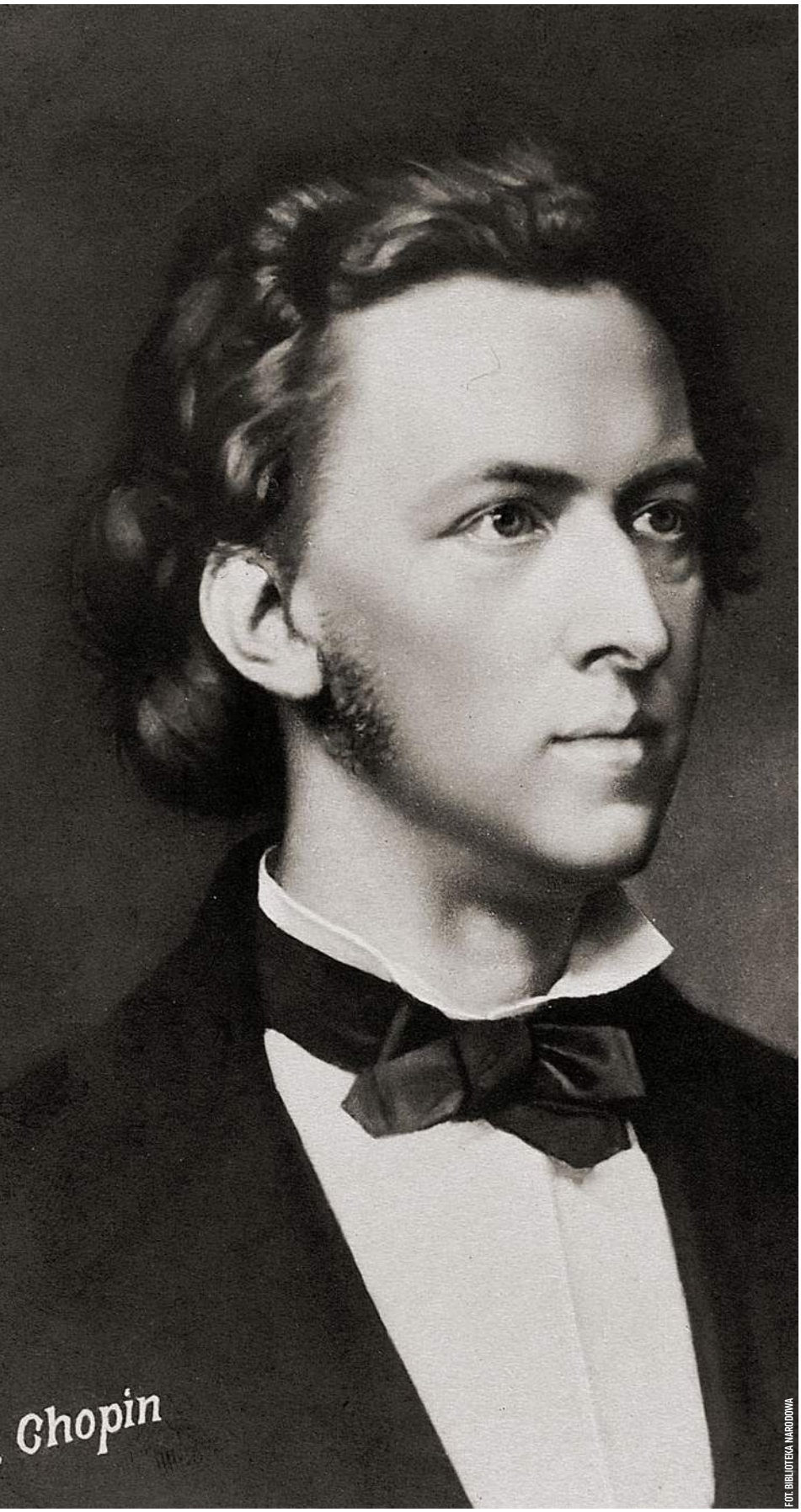

FOT. BIBLIOTEKA NARODOWA

na południe. Gdy Tafiłowski wykonał swój pomiar na jesieni 1827 r., rodzina Chopinów przeniosła się już do oficyny pałacu Krasińskich, a do ich mieszkania wprowadził się cenzor.

Michalina Glogerowa pisze we wspomnieniach: „Mieszkanie państwa Chopinostwa składało się z kilku obszernych pokojów umeblowanych skromnie, ale odznaczających się zawsze nadzwyczajną czystością i porządkiem, w którym była bardzo zamiłowana pani Justyna z Krzyżanowskich Chopinowa. Stały w pokoju »bawialnym« mebelki mahoniowe, pokryte włosiennicą w pasy, tak powszechną po wszystkich domach ówczesnych średniej zamożności, miejskich i wiejskich w naszym kraju. Z innych sprzętów pamiętam tylko bardzo długiego kształtu fortepian…”.

O życiu codziennym Chopinów i ich pensjonariuszy bezcennych informacji dostarcza również Eustachy Marylski, jeden z pensjonariuszy. Dzięki niemu wiemy, jak spędzano wieczory i że często po lekturze słynnych wówczas „Śpiewów historycznych” Juliana Niemcewicza Fryderyk „malował” je muzyką. Opowieści o takich patriotycznych wieczorach w domu Chopinów zainspirowały brytyjskiego malarza Andrew Carricka Gow, który w 1879 r. namalował obraz, obecnie w Tate Gallery w Londynie, „Muzyczna opowieść Chopina”. Marylski tak pisze o wieczornym graniu Fryderyka: „O zmroku, mając wolne chwile od nauki, opowiadaliśmy wypadki z historii polskiej, jak śmierć króla Warneńczyka, Żółkiewskiego, staczane bitwy przez wodzów naszych i to wszystko młody Chopin wygrywał na fortepianie. Nieraz popłakaliśmy się przy tej muzyce”.

Wiadomo też, że siostry Fryderyka urządzały przedstawienia teatralne i że co tydzień w domu Chopinów zbierali się liczni profesorowie uniwersytetu i artyści.

WŚRÓD UCZONYCH I ARTYSTÓW

W 1826 r. przyszedł czas na studia uniwersyteckie Fryderyka. O rozpoczęciu i zakończeniu studiów informują dwa przekazy z epoki. Jednym z nich jest list Fryderyka do Jana Białobłockiego (zapewne z 2 listopada 1826 r.), w którym czytamy: „Dowiedzże się, moje życie, przy tej okazji, że do Liceum nie chodzę. Albowiem głupstwem by było siedzieć z musu 6 godzin na dzień, kiedy mi doktorzy niemieccy i niemiecko-polscy chodzić,

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

ile możności, dużo kazali; byłoby to głupstwo drugi raz tego samego słuchać, kiedy tymczasem czego innego przez ten rok nauczyć się można. Tym końcem chodzę do Elsnera na kontrapunkt ścisły 6 godzin na tydzień; słucham Brodzińskiego, Bentkowskiego i innych, w jakimkolwiek związku będących z muzyką. Idę spać o 9-tej. Wszystkie herbaty, wieczory, baliki w łeb wzięły". Tak więc Chopin uczęszczał na przedmioty główne, związane z muzyką, ale też na ogólnouniwersyteckie wykłady z literatury (Brodziński) i historii (Bentkowski). Pod datą 20 lipca 1829 r., w raporcie z egzaminu końcowego, Józef Elsner, od 1826 r. professor ordinarius uniwersytetu, zapisał: „Trzecioletni [...] Chopin Friderik, szczególna zdatność, geniusz muzyczny".

W liście do Białobłockiego z początku października 1825 r. Chopin ukazuje zamiłowanie do sztuk pięknych: „[...] expozycje w Warszawie się zaczynają, tak w Ratuszu, jako i w salach Uniwersytetu. Nie piszę Ci, co gdzie jest, bo jeszcze nie ma co widzieć i jeszcze nie widziałem; skoro jednak moje ślepie ujrzą jakiś piękny obraz, piękny portret, piękną maszynę, dobry fortepian, dobrą sztukę i w ogóle coś znakomitego, rączka Ci moja nakreśli…". Niestety, inne listy na ten temat się nie zachowały, ale ten jedyny przekaz daje nam dobre wyobrażenie o tym, że młodość Chopina spędzona wśród artystów nie pozostała bez wpływu na jego osobowość i zainteresowania. Zapewne widział również – i to z pewnością nieraz – wystawę zorganizowaną w 1828 r., którą uwiecznił Wincenty Kasprzycki na dobrze znanym obrazie przechowywanym w Muzeum Narodowym w Warszawie. Nie dziwi zatem zupełnie, że w Paryżu również chodził na wystawy obrazów i przyjaźnił się z Delacroix.

Czasy licealne i uniwersyteckie nosił Chopin w sercu do końca życia, co nie dziwi, gdy przypomnimy tutaj, że z jednym z profesorów – Jarockim – wyprawił się do Berlina w 1828 r., z innymi – Romualdem Hube – do Wiednia rok później. W paryskim liście do Norberta Kumelskiego z listopada 1831 r. z emfazą przywołuje imię uczelni, w której murach mieszkał i studiował – pisząc o „naszym Uniwersytecie". Kilku profesorów i młodych uczonych-przyjaciół, takich jak Józef Bełza i Antoni Hann, wspominał jeszcze w listach z 1846 r. Jan Matuszyński i Julian Fontana, koledzy z liceum i uniwersytetu, byli jego najbliższymi przyjaciółmi w Paryżu.

„CO ZA TRIUMF DLA NAUKI"

W jednym z paryskich listów do rodziny Chopin opisuje najnowsze odkrycia astronomiczne: „Zapewne już wiecie dawno o planecie nowej pana Leverrier. Leverrier z obserwatorium paryskiego, uważając pewne nieregularności w planecie Uranus, przypisał to innej planecie, jeszcze nie znanej, której opisał odległość, kierunek, wielkość, słowem, wszystko, tak jak pan Galie w Berlinie, a teraz [Adam] w Londynie spostrzegli. Co za triumf dla nauki, żeby rachunkiem dojść do odkrycia podobnego! Na przeszłym posiedzeniu Akademii Nauk p. Arago proponował, żeby nową planetę nazwać Leverrier. Pan Galle pisał z Berlina, że prawo nazwania jej należy do pana Leverrier, ale proponuje nazwać ją Janus. Pan Leverrier wolałby Neptun. Ale mimo pewnej części Akademii Nauk wielu było za nazwaniem planety od imienia wynalazcy, który siłą rachunku nadzwyczajnej, niesłychanej dotychczas w dziejach astronomii rzeczy dokazał, i ponieważ są komety Vico, Hind, Uranus się zwał Herschel, czemuż nie ma być planeta Leverrier? Król zaraz go oficerem legii honorowej zrobił".

Chopin pisze o Plutonie i panu Leverrier w taki sposób, jakby sprawy astronomii interesowały go od dawna. Naszego kompozytora fascynowało również wynalezienie telegrafu i wynalazki chemików.

Nie wspomina wprawdzie w swoich listach o chemiku uniwersyteckim, prof. Kitajewskim, ale znał go zapewne dobrze – uczniowie Liceum Warszawskiego mieli zajęcia w Gmachu Chemicznym, tuż obok pałacu Kazimierzowskiego. To, że nasz kompozytor doskonale znał uczniów twórcy polskiej szkoły chemii, nie ulega najmniejszej wątpliwości; zaświadcza o tym piękny list do rodziców z 11 października 1846 r. Przywołani są w nim Antek, zapewne Antoni Hann i Józef Bełza. Najciekawsze jest wszakże to, że list ten jest pełen odniesień do spraw sztuki i nauki, w tym do astronomii i chemii. Chopin wraca w nim do swoich uniwersyteckich czasów pod wpływem rozmaitych lektur i tym samym pokazuje, jak kontakt z uprawianiem nauk w Warszawie ukształtował go na zawsze: „Zapewne wiecie o wynalazku de la poudre de coton przez pana Schönbein. Tutaj są ciekawi, ale nie widzieli jeszcze. W Londynie zaś próby w przytomności X-cia Alberta (męża królowej) potwierdziły, że siła większa, dymu nie ma, nie smoli, nie brudzi, w wodzie zamoczony nie traci mocy po osuszeniu. Eksplozja daleko prędsza jak zwyczajnego prochu, bo położone [!] na zwyczajnym l'explosion a lieu, a zwyczajny się ani zapali. Ale ja Wam scientyficzne rzeczy piszę, jak żebyście nie mieli Antka albo Bełzy. Ostatniemu życzcie szczęścia największego w nowym stanie. Mój Boże, jakby się to z tego cieszył Matusz[yński]. Nie ma dnia, żebym o nim nie myślał. Teraz nie mam w Paryżu żadnego z moich szkolnych znajomych". A więc wspomnienie o liceum, uniwersytecie, Janie Matuszyńskim i chemiku – Antonim Hannie – pozostało niezwykle żywe.

PRZYSZŁE MUZEUM

Zespół zabytkowy Uniwersytetu Warszawskiego uległ tylko niewielkiej transformacji z biegiem lat. Zachował się też w niewiele zmienionym stanie tzw. Budynek Porektorski, w którym mieszkali Chopinowie. Niemal nietknięte, poza przepruciem kilku ścianek działowych, pozostaje też ich mieszkanie, które miało 117 mkw. powierzchni. Pomimo tych okoliczności sprzyjających utworzeniu Muzeum – Domu Młodości Chopina pozostaje dotychczas w sferze marzeń tylko miłośników muzyki genialnego kompozytora i wielkiego patrioty. Obecna reforma szkolnictwa wyższego stwarza znakomitą okazję, aby wreszcie utworzyć muzeum poświęcone Chopinowi i dziejom nauki na UW.

Tak jak Muzeum – Dom Mozarta w Wiedniu, zwany Domem Figara, uniwersyteckie muzeum Chopina powinno zawierać nie tylko rekonstrukcję mieszkania Chopinów, lecz także salę muzyczno-kinową, kawiarnię i sklep z pamiątkami. Muzeum powinno zajmować cały środkowy segment Budynku Porektorskiego (od piwnicy do drugiego piętra), w którym zwiedzający będą mogli zapoznać się z kompletną opowieścią o młodości Fryderyka Chopina, środowisku i mieście, w którym wyrastał, oraz z jego muzyką z okresu warszawskiego. Istotnym elementem narracji muzealnej powinny być przyrządy naukowe i filmy z rekonstrukcjami wirtualnymi, podobne do tych zawartych w filmie „Chopin wśród artystów i uczonych". Tuż obok mieszkania Chopinów powinien też stanąć wreszcie pomnik Chopina. Może ten według projektu Mitoraja?

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

REPUBLIKA

7 lat Telewizji Republika

Czy uważasz, że osobowością roku Telewizji Republika powinien zostać Minister Zdrowia

Łukasz Szumowski?

Wyślij SMS na numer 72075 (za 2,46zł brutto) o treści: 1 (na TAK) lub 2 (na NIE)

Dochód Telewizji Republika z Smsów zostanie przekazany na zakup sprzętu medycznego przez Caritas Polska.

Organizatorem sondy jest Telewizja Republika. Regulamin na www.telewizjarepublika.pl

www.telewizjarepublika.pl

eprasa.pl 4a7b8

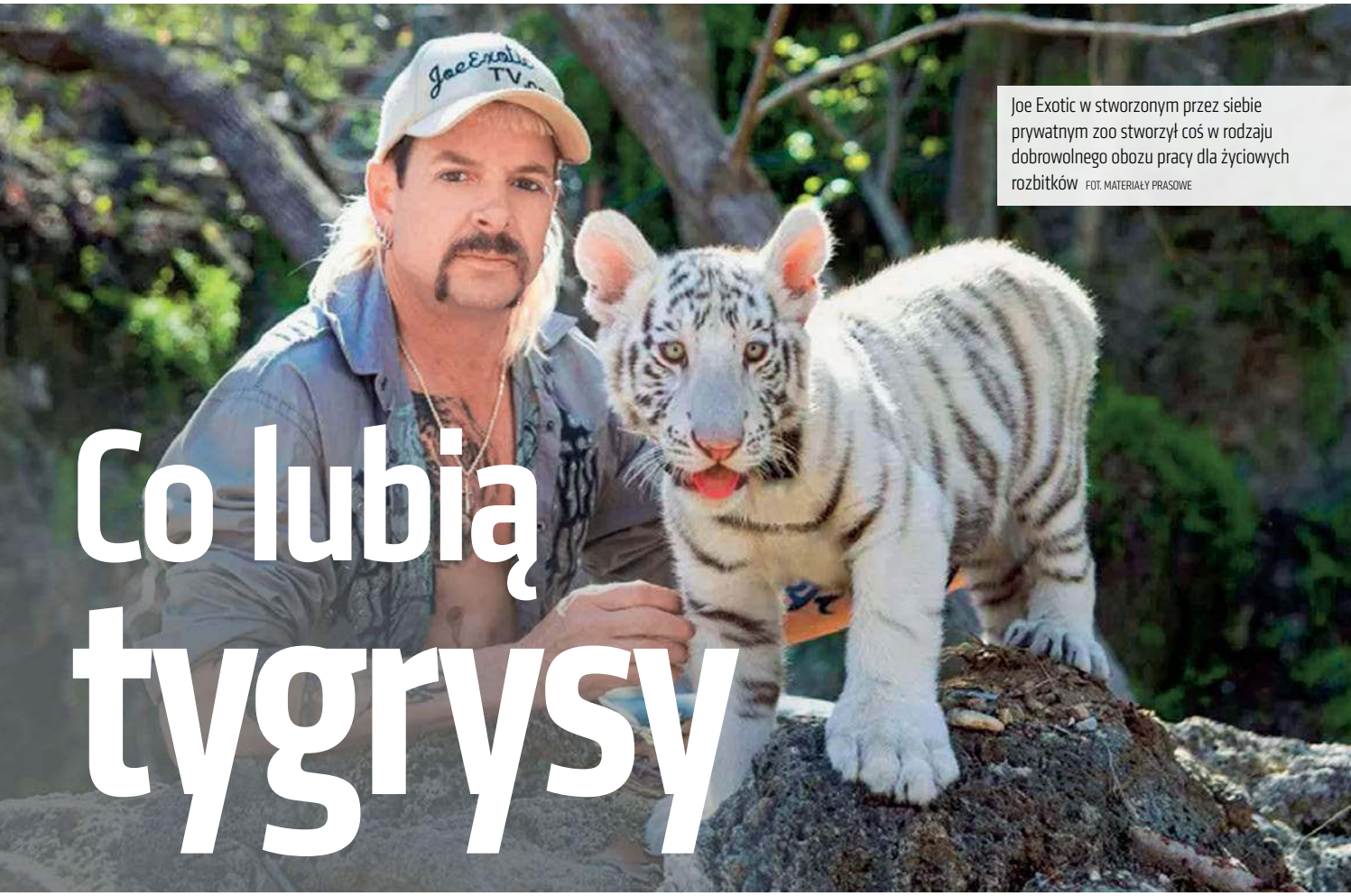

Joe Exotic w stworzonym przez siebie prywatnym zoo stworzył coś w rodzaju dobrowolnego obozu pracy dla życiowych rozbitków FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Co lubią tygrysy

Piotr Gociek

Rzadko to mówię, ale tym razem z czystym sumieniem mogę – czegoś takiego jak „Król tygrysów" nie widzieliście nigdy w życiu

Dokumentalny serial Netflixa (w oryginale zatytułowany „Tiger King: Murder, Mayhem and Madness") to wyjątkowa mieszanka komedii, tragedii, kryminału i nietypowego reality show. To ostatnie sformułowanie wzięło się z tego, że twórca serii, Eric Goode, i jego ekipa w ostatnich latach towarzyszyli z kamerą głównym bohaterom, rejestrując rozwój wypadków, co do których nie wiedzieli jeszcze sami, jak się skończą. Mieli niezwykłe szczęście – okazało się, że mają w zapisie pasjonującą historię, która jeszcze się nie skończyła, mimo że ważne wydarzenia już ją częściowo spuentowały. A kiedy piszę „ważne", mam na myśli wyroki sądu, śledztwo FBI i inne kwestie, których nie zdradzę, by nie psuć wam zabawy.

Goode zajął się sprawą przez przypadek. Śledził niegdyś działalność szmuglerów nielegalnie handlujących dzikimi zwierzętami. Jeden z ludzi, których wtedy spotkał, pochwalił mu się śnieżną panterą wożoną w budzie prywatnego samochodu. I opowiedział o innych gościach od wielkich kotów. Jest ich zadziwiająco wielu. W USA żyje w hodowlach więcej tygrysów, niż na całym świecie zostało ich na wolności.

DZIWACZNY ŚWIATEK

Towarzystwo, które prowadzi owe biznesy, okazuje się bardziej egzotyczne od samych zwierząt. Na ekranie widzimy zamknięty i dziwaczny światek ludzi dotkniętych rozmaitymi obsesjami. Szczerze mówiąc, wszyscy robią w nim wrażenie nieźle stukniętych. Najważniejsza figura opowieści, tytułowy „król tygrysów", czyli niejaki Joe Exotic (pseudonim estradowy), zarabiał pieniądze, obwożąc tygrysy po centrach handlowych oraz przedstawieniami pełnymi magicznych sztuczek, których nauczył go 12-latek. Za młodu podjął próbę samobójczą, bo rodzice nie akceptowali jego homoseksualizmu. Rehabilitacja trwała lata. W stworzonym przez siebie prywatnym zoo stworzył coś w rodzaju dobrowolnego obozu pracy dla życiowych rozbitków oraz trójkąt erotyczny z dwoma młodymi mężczyznami, których nazywał „swoimi mężami".

Jego mentor, niejaki Bhagavan Antle „Doc", przypomina przywódcę dziwacznego kultu religijnego. Żyje z gromadą „żon", opowiada, że jest przyjacielem Boga, i szczególnie chętnie zatrudnia naiwne nastolatki, które potem dziwnym trafem zakochują się w swoim guru i nie chcą już opuszczać jego posiadłości. Antle zarobił fortunę na wynajmowaniu zwierząt filmowcom z Hollywood. À propos Hollywood – Mario Tabraue, kolejny oryginał z serialu, odsiedział wieloletni wyrok za handel kokainą. Egzotycznymi zwierzętami zaczął handlować w tym samym czasie co narkotykami. Pilnie strzegący swej prywatności Kubańczyk był pierwowzo-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

rem gangstera Tony'ego Montany z filmu Briana De Palmy „Człowiek z blizną".

Lista się wydłuża, na scenę wkraczają kolejne pokręcone postacie. Zawodowy trickster działający w Las Vegas, któremu potrzebne są małe tygrysy, żeby zanęcać panienki do orgii. Hodowcy i handlarze, od których nie tylko nigdy nie kupilibyśmy używanego samochodu, lecz także ucieklibyśmy na sam ich widok. Wyrokowcy, narkomani, milionerzy – wszystko miesza się ze sobą. „Seks, przestępstwo, dzikie zwierzęta – wiedziałem, że to świetny temat" – opowiada telewizyjny reporter i producent Rick Kirkham, który trafił do świata Joego Exotica, żeby ubić interes. Rejestrował przez całą dobę życie w Greater Wynnewood Exotic Animal Park, szykując hitowy show dla jednej ze stacji telewizyjnych. (Której? Tej, która zapłaci najwięcej, kiedy praca będzie ukończona). Kirkham pomagał także Exoticowi w produkcji jego internetowego programu, w którym ekscentryczny hodowca zajmował się pokazywaniem posiadanych zwierząt, wychwalaniem własnej osoby oraz hejtowaniem tych, którzy nadepnęli mu na odcisk.

Tak docieramy do tego, co spina rozmaite wątki „Króla tygrysów". To wieloletnia nienawiść, którą Joe Exotic darzy Carole Baskin, właścicielkę Big Cat Rescue na Florydzie. Baskin od dawna walczy o wprowadzenie w USA zakazu prywatnej hodowli dużych dzikich zwierząt, szczególnie lwów i tygrysów. Przedstawia się jako aktywistka i działaczka społeczna, dla której najważniejszą sprawą jest dobro zwierząt. Sama jednak trzyma w swoim parku wielkie koty. „Tak – odpowiada – ale nie rozmnażam ich i zapewniam im lepsze warunki". Baskin, zarabiając fortunę na datkach od popleczników swej fundacji, jednocześnie wykorzystuje darmową pracę setek wolontariuszy (niektórych dłużej niż pięć lat). Zanim nawróciła się na „zwierzyzm", sama hodowała i sprzedawała futrzane importy. Jej profile w mediach społecznościowych pełne są takich samych zdjęć tygrysów czy lwów jak zwalczanych przez nią zawodowców. Ma usta pełne frazesów, lecz nigdy w życiu nie przyszło jej do głowy, żeby wyjechać poza USA i zobaczyć, jak może pomóc dzikim zwierzętom tam, gdzie najbardziej pomocy potrzebują. Baskin jest bez wątpienia hipokrytką, która uwielbia chadzać w glorii „Matki Teresy od zwierząt", a dzięki odziedziczonej fortunie może także zaszczuć pozwami sądowymi swoich przeciwników. Kiedy zaś poznacie pewną zagadkę z jej przeszłości, szczęka opadnie wam tak samo jak mnie, kiedy pierwszy raz oglądałem „Króla tygrysów".

SŁAWA I WIELKIE PIENIĄDZE

Tak naprawdę szybko odkryjecie, że w całym tym zamieszaniu los dzikich zwierząt jest akurat najmniej ważny. Na pierwszym planie mamy ambicje, żądzę sławy, wielkie pieniądze. Sto tysięcy dolarów – tyle Joe Exotic zarabia na jednym małym tygrysie tak długo, jak długo zwierzę zdatne jest do użytku. To znaczy – jak długo jest milusie i można je bezpiecznie nosić na rękach, głaskać, przytulać, robić sobie z nim słodkie fotki – wszystkich tych atrakcji dostarcza prywatny park dzikich zwierząt. Exotic w jednym czasie potrafił mieć takich zwierzaków ponad 200.

Zdaniem medioznawcy dr Hannah Yelin z Oxford Brookes University (znalazłem jej tekst w „The Independent") „Król tygrysów" pokazuje, jak bardzo widzowie lubią śmiać się z „white trash" – białej amerykańskiej biedoty, która nawet gdy zdobędzie pieniądze i rozgłos, nadal jest obrazą dla dobrego smaku. Exotic jest uosobieniem tego stereotypu: oto osobnik, który odziewa się w jaskrawe, świecące koszule jak z cyrku, ma fryzurę na czeskiego piłkarza, produkuje prezerwatywy z napisem: „For your protection, vote Joe Exotic", sprzedaje w sklepie z pamiątkami obciachowe slipy w tygrysie cętki, a pytany, czy sam takie zakłada, mówi szczerze: „Nie noszę bielizny". Osobnik ten jest także wielkim miłośnikiem broni palnej, w wolnych chwilach strzela do manekinów, a dziennikarzowi pytającemu o to, co by się stało, gdyby przeforsowano ustawę zabraniającą hodowli dużych kotów, odpowiada: „Mielibyśmy tu małe Waco" (w 1993 r. oblężenie farmy sekty Davida Koresha przez policję i FBI zakończyło się śmiercią niemal 80 osób).

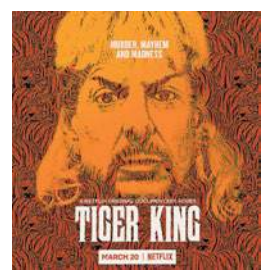

To ostatnie wyznanie jest moim zdaniem kluczem do zjawiska, które ukazane zostało w serialu Netflixa. Zarówno Joe Exotic, jak i Carole Baskin, nie wspominając już o guru Bhagavanie Antle'u „Docu", stworzyli własne zamknięte grupy wyznawców/niewolników (niepotrzebne skreślić), których bezlitośnie wyzyskują, dając w zamian coś, czego można się uczepić, w co można uwierzyć. W tej pracy nie ma wytchnienia, święta nie istnieją, 365 dni w roku, 24 godziny na dobę zwierzęta musza być karmione i leczone, klatki sprzątane, a gdy park jest otwarty dla publiki, trzeba jeszcze zająć się setkami ciekawskich. Zwierzęta były ważniejsze od nas – wspominają byli pracownicy, ale jednocześnie uważają, że to oczywiste, że tak powinno być. Harując wokół niezwykłych pensjonariuszy przybytków takich ja ten stworzony przez Exotica, mieli wrażenie, że uczestniczą w czymś wyjątkowym, niezwykłym, niedostępnym innym. Wypełniali pustkę, która – jak zobaczycie – ziała we wszystkich. Jak wielu skrzywdzonych kiedyś, połamanych, zagubionych ludzi przewija się na ekranie w „Królu tygrysów"! I jak rozpaczliwie trzymają się jedynego życia, jakie znają, które dawało im poczucie sensu. (Nie mówię oczywiście o zawodowych oszustach i bandziorach, którzy zwąchali lukratywny biznes – takich też zobaczycie). Łatwo osądzać bohaterów „Króla tygrysów". Zdecydowanej większości należy się jednak współczucie.

ŚWIATOWY HIT

Siedmioodcinkowy serial stał się światowym hitem video-on-demand – w ciągu 10 dni po premierze obejrzało go prawie 35 mln widzów. Sądzę, że dziś ta liczba pewnie dobija do 50 mln. Netflix natychmiast odpowiedział na to zainteresowanie i nakręcił odcinek ósmy (już dostępny), który jest zbiorem wywiadów z niektórymi bohaterami. Aktor Joel McHale pyta, jak emisja „Króla tygrysów" zmieniła ich życie, co teraz robią. Niektóre wyznania stawiają w nowym świetle to, co oglądaliśmy wcześniej (szczególnie pewne nowości na temat Joego Exotica). Ciąg dalszy jeszcze nastąpi, bo choć główny bohater siedzi w więzieniu, to FBI wciąż prowadzi śledztwo, a jeden z następców Exotica właśnie przegrał w sądzie apelację w sprawie własnych przewin (niemałych). Jak się wydaje, wszystko, co pokazuje Eric Goode, mogło na taką skalę wydarzyć się tylko w Ameryce, w tym specyficznym miejscu, gdzie wielkie ambicje, wielkie obywatelskie wolności oraz często bardzo dziwaczne pomysły ich wykorzystania tworzą niekiedy mieszankę wybuchową. Mimo wszystko nadal uważam, że lepiej mieć kłopoty wywołane przez nadmiar wolności niż przez jej brak.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

★★★★☆☆

DAVID SIMON, ED BURNS „SPISEK PRZECIWKO AMERYCE" („THE PLOT AGAINST AMERICA")
USA 2020

wyst. Winona Ryder, Anthony Boyle, Zoe Kazan, John Turturro

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

HBO GO

Najpierw Ameryka

Alternatywne dzieje Ameryki według powieści Philipa Rotha – w roku 1940 o prezydenturę ubiega się Charles Lindbergh, znany z ciepłego stosunku do III Rzeszy i wypowiedzi antysemickich. Jak wyglądałyby Stany Zjednoczone, gdyby to izolacjoniści wygrali?

Wiele rzeczy jest w tej miniserii (sześć odcinków) znakomitych, dbałość o detal i wiarygodność świata przedstawionego jest na takim poziomie, że gdyby każdy serial tak wyglądał, nie trzeba byłoby zanęcać widzów dodatkową atrakcją w postaci „alternatywności". Odmienną rzeczywistość obserwujemy oczami rodziny Levinów, wspinających się pomału po drabinie społecznej członków klasy średniej. Znajdziemy w niej zarówno gorących przeciwników Lindbergha, jak i tych, którzy lekceważą potencjalne skutki jego wygranej nad F.D. Rooseveltem. Jeden z Levinów wbrew oficjalnej polityce swego kraju wybiera się walczyć z nazistami, czekają go z tego powodu same kłopoty. Mocno w pamięć zapada John Turturro jako rabin gardłujący za Lindberghiem – użyteczny idiota, któremu wydaje się, że skoro przyjaźni się ze sławnym człowiekiem, to wie lepiej, jakim jest politykiem.

To, co w obrazku jest na najwyższym poziomie, podobnie jak sposób opowiedzenia historii, to zasługa Davida Simona, twórcy takich seriali jak „Prawo ulicy" czy „Kroniki Times Square". Znakomity wreszcie jest materiał wyjściowy, czyli powieść Rotha (wydana w Polsce po raz pierwszy w roku 2007). Książka znakomitego pisarza była jednak bardziej wyważona. W powieści, jak zwykle u Rotha, na pierwszym planie były rodzina i przypowieść o trudach bycia Żydem we współczesnej Ameryce. Tekst opatrzono obszernym posłowiem, z którego można było się dowiedzieć, jak wyglądały prawdziwe losy bohaterów, którym na potrzeby alternatywnej fikcji zmieniono życiorys. Widzowie serialu pozbawieni są tych informacji, łatwo więc dadzą się uwieść przekonaniu, że Ameryka owych czasów jedynie czekała na okazję, by osunąć się w otchłań nienawiści, antysemityzmu i przemocy.

Najbardziej serialowi szkodzą jednak nachalne porównania sytuacji z 1940 r. do czasów współczesnych, kolejny dowód obsesyjnego antytrumpizmu amerykańskich elit kulturalnych. Tak, to prawda, hasło „America First" było wówczas popularne, ale nie oznacza to jeszcze, że Lindbergh był drugim Hitlerem, a Trump jest drugim Lindberghiem. ©℗

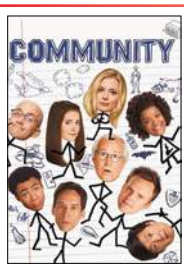

NOWE SERIALE: „COMMUNITY"

Jeden z najlepszych seriali komediowych minionej dekady to dzieło Dana Harmona, obecnie fetowanego jako twórca szalonej kreskówki „Rick i Morty". „Community" to opowieść o grupie studentów z podrzędnej publicznej uczelni. Dziwna to galeria, od rasistowskiego emeryta przez prawnika, który sfałszował dyplom, do nastolatki, która niedawno wyszła z odwyku. Jest to bardzo dobra komedia charakterów, która wykorzystuje i wykpiwa klisze popkultury, a scenarzyści nie boją się szydzić z politycznej poprawności. ©℗ *Piotr Gociek*

- ***sezony 1.–6. „Community", USA 2009–2015, wyst. Joel McHale, Gillian Jacobs, Chevy Chase, dystr. Netflix***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- ***reż. Richard Stanley „Kolor z przestworzy" („Color Out of Space"), USA 2019, horror, Cineman VOD*** CINEMAN
- ***sezon 1. „Ucieczka" („Run"), USA 2020, serial komediowy, HBO i HBO GO*** HBO GO
- ***reż. Clint Eastwood „Przemytnik" („The Mule"), USA 2019, kryminalny, Cinemax*** CINEMAX

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Kowboje z Cielo Drive

HBO GO

Uff! Tarantino pobił rekord sadyzmu, zwlekając prawie dwie godziny ze złapaniem byka za rogi. Najdłuższe intro w dziejach kina przepełnia tęsknota za złotą erą magnetofonów szpulowych i twardzieli odpalających jednego papierosa od drugiego. Nie wątpię, że Quentin bawił się jak dziecko, tworząc autorską wizję Hollywood A.D. 1969. Z McQueena zrobił plotkarza, Polańskiego zredukował do rozmiarów bawidamka, któremu psim swędem udało się zdobyć ziemskie wcielenie Wenus, czyli Sharon Tate. Wyniesienia zaznali natomiast, zrodzeni w wyobraźni reżysera, drugoligowcy – Rick Dalton, gwiazdor telewizyjnego westernu z apetytem na karierę w mainstreamie, oraz Cliff, jego dubler i brat łata.

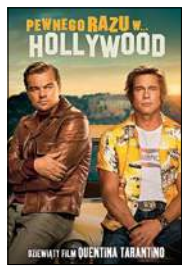

★★★★☆☆
REŻ. QUENTIN TARANTINO
„PEWNEGO RAZU... W HOLLYWOOD"
USA 219

wyst. Leonardo DiCaprio, Brad Pitt, Margot Robbie

Przyjęcie punktu widzenia fana, wierzącego, że ekranowi idole również w prawdziwym życiu potrafią być wspaniali, ma swój urok. Umacnia jednak podejrzenie, że Quentin to rewolwerowiec, który wystrzelał już wszystkie naboje. Składanie hołdu produkcjom klasy B, motyw zemsty, historyczny rewizjonizm, obowiązkowa jatka w finale, celebrowanie scen, niczego specjalnego do fabuły niewnoszących – znacie? To obejrzyjcie raz jeszcze. Pozostaje nadzieja, że w zapowiadanym ostatnim filmie Tarantino porzuci pawi ogon i spróbuje czegoś nowego. Czwartą gwiazdkę daję za prima sort aktorstwo DiCaprio i Pitta. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

SZPIEG DOMNIEMANY

player CINEMAN vod.pl

Publiczna degradacja, zrywanie dystynkcji z munduru, łamanie szabli – na takie upokorzenie trzeba zasłużyć. Major Dreyfus, jedyny Żyd we francuskim Sztabie Generalnym, zawiódł zwierzchników. Mieli nadzieję, że strzeli sobie w łeb, pozwalając uniknąć armii skandalu. Ów nieużyty człek odmówił jednak przyznania, że sprzedawał Niemcom wojskowe tajemnice. Dopiero po wyroku skazującym nowy szef kontrwywiadu, płk Picquart, dojdzie do wniosku, że szpiegiem był ktoś inny...

★★★★☆☆
REŻ. ROMAN POLAŃSKI
„OFICER I SZPIEG" („J'ACCOUSE")
FRANCJA 2019

wyst. Jean Dujardin, Louis Garrel, Grégory Gadebois

Czy reżyser utożsamia się z Dreyfusem? Raczej nie, bo to gbur, a Roman zawsze uważał się za równego gościa. W czasach belle époque też by wypłynął – zwróćcie uwagę na scenę z paryskiego salonu. Picquart jest profesjonalistą, co łączy go z Polańskim oraz Robertem Harrisem, autorem zgrabnej powieści o aferze, która przeorała nie tylko francuską scenę polityczną. Narzekającym na brak fajerwerków życzę, by mając lat 86, tworzyli dzieła na poziomie „Oficera i szpiega".

POLOWANIE NA KRÓLIKA

player

Samantha zaginęła w drodze do szkoły. Znalazła się po 15 latach, ale porywacz pozostaje nieuchwytny. Rozwiązać zagadkę próbują policyjny profiler i spocony prywatny detektyw, na co dzień specjalista od odzyskiwania długów. Z ekranu pada sentencja, że „człowiek to najtrudniejsze zwierzę do schwytania", lecz w sprawę jest również zamieszany królik z czerwonymi sercami zamiast oczu. Koncept zła infekującego ludzi niczym choroba co prawda odkrywczością nie grzeszy, lecz na ekranie często się sprawdza. Donato Carrisi – literat i reżyser – celował wyżej niż twórcy standardowych dreszczowców. Niestety, nagromadzenie dziwactw i mętnej symboliki odwraca uwagę od tego, co powinno być najważniejsze, czyli intrygi. Oparta na podobnym pomyśle „Dziewczyna we mgle" straszyła skuteczniej. Ciąg dalszy nastąpi, Carrisi ma dopiero 47 lat i wielką chęć do rozwijania idei „dzieci mroku". ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★★☆☆
REŻ. DONATO CARRISI
„W LABIRYNCIE" („L'UOMO DEL LABIRINTO")
WŁOCHY 2019, DYSTR. BEST FILM

wyst. Toni Servillo, Valentina Bellè, Dustin Hoffman

GRA TYGODNIA: „MOUNT & BLADE II: BANNERLORD"

★★★★☆☆

Jak to jest być królem? Ale nie takim, który spogląda na włości i bola bitew jedynie z góry, nie brudząc sobie rąk robotą? Wystarczy zagrać w „Mount & Blade II", sandboxowego RPG-a, w którym wyposażymy swojego protagonistę w miecz, zbroję, tarczę i hełm, równocześnie zarządzając strategiczną i gospodarczą warstwą ekspansji królestwa. Sprowadza się to w praktyce do płynnego przenoszenia się rozgrywki między mapę przypominającą serię „Total War" a prowadzone w czasie rzeczywistym bitwy, podczas których wydajemy rozkazy, wkraczając w epicentrum akcji. Tytuł ciekawy, ale nadal pełny technicznych niedoróbek. ©℗

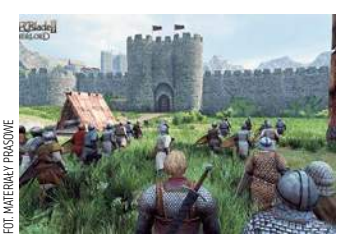

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *RPG/TPP*
- ***Platforma:*** *PC*
- ***Producent, dystrybutor:*** *TaleWorlds*
- ***PEGI:*** *16+*

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

MOJA PÓŁKA

Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz

KRZYSZTOF MASŁOŃ

Po centrum Brukseli, stolicy nie tylko Belgii, lecz także – ponoć zjednoczonej – Europy, biega świnia niczym w klasycznym już filmie Stanisława Barei. Też ściga ją policja i polski czytelnik czeka na to, by odezwała się ludzkim głosem i spytała: „Co mi zrobisz, jak mnie złapiesz?". W powieści Roberta Menasse'a pewnie jednak prędzej zanuciłaby „Odę do radości".

W finale powieści austriackiego pisarza – uhonorowanej już, a jakże, rozmaitymi nagrodami literackimi – świnia, w cieszącym się dużym powodzeniem plebiscycie na nadanie jej imienia, nazwana została Mohamedem. Po czym już o niej nie pisano, znikła z przestrzeni publicznej, pewnie w ogóle jej nie było.

O świniach jest w „Stolicy" więcej, głównie w kontekście protestów europejskich hodowców, mających pretensje do brukselskich komisarzy UE o sztuczne limitowanie produkcji rolnej, o preferowanie interesów narodowych kosztem unijnych, na co dowodem ma być niemożność uregulowania handlu z Chinami, które wygrywają animozje między państwami UE i w gruncie rzeczy decydują o tym, jak wygląda światowy rynek handlu. A handel ten wygląda marnie, skoro wylicza się, że w Europie nie może on jakoś dogonić poziomu sprzed (uwaga!) pierwszej wojny światowej.

Co w tej sytuacji robią europejscy biurokraci? Czym żyją? Na przykład jubileuszami, w których organizowaniu mają niezłą tradycję: „Nieudolne, nieprzekonujące uroczystości z okolicznościowymi przemówieniami, podsumowaniami zasług poprzednika, odrobiną kadzidła dla prekursorów UE, pięćdziesięciolecie traktatów rzymskich, sześćdziesiąta rocznica powstania Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali – kogo to interesowało? Nikogo. A co sobie obiecywano po tym, że opowie się sceptykom i przeciwnikom UE, jak pięknym wydarzeniem było powstanie EWWiS? To tak, jakby gratulować cierpiącemu na demencję dziadkowi, że kiedyś był przy zdrowych zmysłach – podczas gdy wnukowie bez zmrużenia oka od dawna robili wszystko zupełnie inaczej".

FOTO: ULRICH BAUMGARTEN/GETTY IMAGES

W Unii liczą się silni, to znaczy bogaci. Przykładowo po niemal bankructwie państwa greckiego (premiera powieści odbyła się w roku 2017 – przyp. K.M.) i uchwaleniu kosztownego pakietu ratunkowego, Grecy znaleźli się na samym dnie prestiżowej hierarchii w Brukseli, o czym boleśnie przekonują się bohaterowie „Stolicy" reprezentujący tę akurat nację. Jeśli chodzi o Polaków, to wprawdzie autor bredzi nieco, przedstawiając sylwetkę tajemniczego polskiego agenta, który prawdopodobnie dokonuje w stolicy Belgii zamachu, strzela jednak nie do tej osoby, na którą otrzymał zlecenie, a w końcu okazuje się, że niekoniecznie było tak właśnie, jak się nam przez większą część lektury wydawało. Z innych polskich akcentów warto wspomnieć o kosmicznym pomyśle uczynienia z Auschwitz stolicy Europy, takiej prawdziwej, a nie tylko siedziby groteskowych instytucji jednoczących wszystkie niemal kraje w niechęci, a niekiedy i nienawiści do siebie. Na szczęście podobne dziwactwa rekompensuje przepiękne i jakże dla nas miłe porównanie kościoła Mariackiego w Krakowie do paryskiej katedry Notre Dame.

Powieść Roberta Menasse'a, choć nie brakuje w niej elementów satyrycznych ukazujących unijną Brukselę w krzywym zwierciadle, jest w istocie apelem o jedność naszego kontynentu i jego prawdziwe zjednoczenie, czemu na przeszkodzie stają – nie, nie europejscy biurokraci, których wpływy można ograniczyć [jak, tego się nie dowiadujemy – przyp. K.M.], lecz, naturalnie, wstrętni nacjonaliści.

Niemniej jednak, w tej fragmentami mocno naiwnej, a w obecnej rzeczywistości koronawirusowej wręcz abstrakcyjnej książce znajdziemy fragmenty zaskakująco niepoprawne. Ot, choćby taką refleksję o Brukseli: „W tysiąc dziewięćset czternastym roku, jak opowiadał mu dziadek, Bruksela była najpiękniejszym i najbogatszym miastem na świecie – potem trzy razy przyszli tamci, dwa razy w wysokich butach i z karabinami, na koniec w trampkach i z aparatami fotograficznymi".

No dobrze, a co ze świnią? „Ta świnia nie przybyła przecież do Brukseli jako turystka, samolotem, i poszła pospacerować sobie po centrum. Musi mieć jakiegoś właściciela, któremu uciekła albo który ją tu przywiózł". Czyżby była to świnia z Niemiec? Zresztą trudno być pewnym czegokolwiek w mieście, w którym tradycyjnie żydowska dzielnica Anderlecht [tak, ten sam, znany fanom futbolu – przyp. K.M.] niemal błyskawicznie stała się dzielnicą muzułmańską. Może więc zdarzyć się i świnia imieniem Mohamed… ©℗

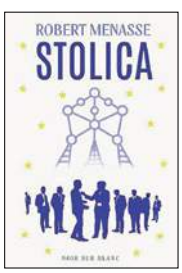

★★★★☆

ROBERT MENASSE „STOLICA"
NOIR SUR BLANC, WARSZAWA 2019

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Rany zbyt głębokie

Wszystko, co zostało pominięte w skrótowym i połowicznie udanym filmie „Tolkien" w reż. Dome Karukoskiego, znajdziecie w tej bogatej w szczegóły książce. Każdego czytelnika zainteresowanego biografią twórcy „Władcy Pierścieni" wprawi w ekstazę. Chociaż tytułem Garth wyraźnie zakreśla ramy pracy, to śmiało poza nie wykracza. Tak naprawdę otrzymujemy opowieść o młodym Tolkienie z czasów, kiedy kształtował się nie tylko jego naukowy warsztat filologa, lecz także to, co najważniejsze w jego wyobraźni. Rzucony w piekło wojny Tolkien nie zamilkł, w jego głowie powstawały opowieści, nad którymi pracował nieraz do końca życia, a przede wszystkim zręby mitologii i fikcyjnej historiografii, które dały początek całemu literackiemu Śródziemiu.

Garth zastrzega, że nie szuka prostych przełożeń horroru z okopów na wypadki i bohaterów z późniejszych książek, rozsądnie zauważa jednak, że trudno życiowe doświadczenie pisarza i jego spuściznę traktować rozłącznie. Rozpoczyna historię od spokojnych przedwojennych czasów, kiedy Tolkien nawiązuje przyjaźnie, zakochuje się w swej późniejszej żonie, podejmuje studia nad kolejnymi językami. Widzimy młodego człowieka nad wiek dojrzałego, o mocnym moralnym kręgosłupie. Wraz z przyjaciółmi służbę w obronie kraju uważa za oczywistość. Po latach powie: wojna zabrała mi wszystkich przyjaciół, prócz jednego.

Korzystając z odtajnionych niedawno dokumentów armii brytyjskiej, Garth szczegółowo rekonstruuje dzień po dniu przebieg służby wojskowej Tolkiena, jego udział w bitwie nad Sommą. Batalion, w którym służył, został unicestwiony niemal w całości. Pisarz uniknął śmierci, bo wcześniej z powodu choroby trafił do szpitala. Mimo traumatycznych doświadczeń późniejszy twórca „Hobbita" nie zamienił się w zgorzkniałego weterana. To, co widział, przełożyło się raczej na przekonanie, że nie tylko są rzeczy warte poświęcenia, lecz także że cena, którą się płaci za walkę w ich obronie, jest niesłychanie wysoka. I że ci, którzy powracają, nigdy nie będą już tacy sami. W końcu, tak jak we „Władcy Pierścieni" mówił Frodo opuszczający Śródziemie: „Za głębokie są moje rany. Starałem się uratować Shire i uratowałem, ale nie dla siebie. Często tak bywa, Samie, gdy jakiś skarb znajdzie się w niebezpieczeństwie: ktoś musi się go wyrzec, utracić, by inni mogli go zachować". ©℗

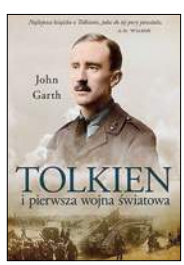

★★★★★☆
JOHN GARTH „TOLKIEN I PIERWSZA WOJNA ŚWIATOWA"
ZYSK I S-KA 2020

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

„Stosunki międzynarodowe w Azji od czasów Czyngis-chana" – zatem rządy Czyngisydów, dzieje dynastii Ming, państwo Mandżurów, sprawa Tybetu, rola Japonii, potęga Chin. Przeszłość daje klucz do zrozumienia współczesności.

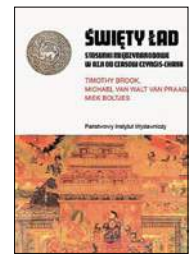

TIMOTHY BROOK I INNI „ŚWIĘTY ŁAD" PIW

Skończył się koszmar, zaczęła się walka o życie tych, którzy przetrwali. Doktor Józef Bellert po wyzwoleniu Auschwitz stworzył wielki szpital polowy, w którym leczono tysiące wycieńczonych więźniów. Oto jego historia.

SZYMON NOWAK „LEKARZ Z AUSCHWITZ" ZONA ZERO

„Dlaczego i jak twój pies cię kocha" – zastanawia się psi behawiorysta, który bada i opisuje niezwykłą więź łączącą ludzi i zwierzęta. Wynne jest założycielem Canine Science Collaboratory na uniwersytecie Arizony.

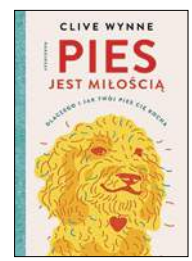

CLIVE WYNNE „PIES JEST MIŁOŚCIĄ" MARGINESY

Kolejna niezwykła książka niestrudzonego badacza sztuki religijnej. Nowy tom cyklu to wspaniale zilustrowana opowieść o sztuce bizantyjskiej ocalałej na terenie Macedonii, Serbii i Bułgarii oraz jej wpływach do 1415 r. ©℗

poleca Piotr Gociek

ANDRZEJ HERMANOWICZ „MISTYCZNE PODRÓŻE V" KSIĘGARNIA ŚW. JACKA

KOMIKS TYGODNIA: „OKP DOLORES"

Skrót „OKP" oznacza w tym przypadku „Okręt Konfederacji Piratów". „Dolores" to niespodziewany spadek, który czeka na 18-letnią siostrę Mony po opuszczeniu zakonu, gdzie wychowywano ją od niemowlęcia. Piękna, niewinna i zupełnie nieprzygotowana do życia w prawdziwym świecie dziewczyna trafia w sam środek międzyplanetarnych wojen, poszukiwań niezwykłego skarbu i innych barwnych przygód. Dużo tu motywów pożyczonych jeśli nie z „Gwiezdnych wojen", to ze „Strażników galaktyki", ale całość ma własny oryginalny smak. Nowej serii dobrze robi też dyskretny humor. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

LYSE TARQUIN, DIDIER TARQUIN „OKP DOLORES. TOM 1. ŚCIEŻKA NOWYCH PIONIERÓW" EGMONT 2020

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. MIKOŁAJ STARZYŃSKI/UGLA/FACEBOOK

Sowie opowieści

Kwartet Ugla miesza inspiracje muzyką ludową z elektroniką, loopingiem, akustycznymi instrumentami i dużą dawką improwizacji. Teksty oparte są na przekazach ludowych. – Czerpiemy ze źródeł i tradycji, ale nie wprost. Inspirujemy się tradycyjną muzyką, ale nie korzystamy bezpośrednio z cytatów ani muzycznych, ani tekstowych. Inspiruje nas bardziej sposób myślenia: ta powtarzalność, pętle rytmiczne i melodyczne, transowość i medytacyjność – mówiła Magdalena Sowul na antenie Czwórki.

Magda to serce tej grupy. To spod jej pióra wychodzą teksty piosenek, to ona komponuje muzykę. Jest wokalistką i klarnecistką, laureatką 47. Festiwalu FAMA 2017 w kategorii Wokaliści. Oprócz niej Uglę od początku, czyli od 2017 r., tworzą także Sebastian Świąder (skrzypce, efekty) oraz Maciej Wróbel (perkusja). Muzyków połączył wspomniany festiwal FAMA, gdzie się poznali, oraz improwizacja, która dopiero z czasem przekształciła się w pracę nad muzycznymi konkretami. Skład rozrósł się do kwartetu, gdy do zespołu dołączył kontrabasista Michał Mościcki.

Ugla ma na koncie udane festiwalowe występy (m.in. III nagroda na Festiwalu Impresje Artystyczne Śpiewające Obrazy w Mrągowie, I nagroda w konkursie Wilk Music Battles, finaliści Festiwalu Folkowego Polskiego Radia Nowa Tradycja) oraz debiutancką płytę „Linienie". – Cały czas jednak ważne jest dla nas granie ze sobą na wyczucie – mówiła Magdalena Sowul w rozmowie z portalem gloskultury.pl. – W naszym założeniu utwory składają się z fragmentów zaaranżowanych, ale zawierają również elementy niezaaranżowane. W formę utworu wpisany jest moment niedookreślony, przestrzeń na improwizację. Dzięki temu każdy koncert jest inny, nie wiemy przed nim do końca, co się wydarzy – dodała.

Sami swoją twórczość opisują jako muzykę „z pogranicza snu i baśni", „opowieść przenoszącą w krainę liści, mchu i lasu, wypełnioną narracją pełną symbolicznych znaczeń". Nazwa zatem musiała być odpowiednia, jak podkreśla Magdalena Sowul – wyśniona. – Historia tego słowa jest taka, że po prostu mi się przyśniło. Jakieś 10 lat temu – twierdzi. „Ugla" to po islandzku sowa. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Miłe zaskoczenie

Album „Is This It?" z 2001 r. krytycy przyjęli jako zbawienie i drogowskaz dla muzyki gitarowej. „Nowy nienormalny" jest najlepszą płytą The Strokes od czasu debiutu.

The Strokes pojawili się dekadę po starcie Nirvany i z miejsca obwołano grupę przywódcą nowego ruchu rockowego – Yes New York. Początek wieku przyniósł bowiem prawdziwą eksplozję nowojorskich zespołów garażowych.

Debiutancka płyta okazała się jednorazowym wystrzałem. Prawie 20 lat później, po czterech nieudanych płytach, The Strokes wrócili do formy. Poza singlowym „Bad Decision" mało jest na płycie typowych dla debiutu zwięzłych rockowych kawałków. Dominują dłuższe niż dawniej, ponure piosenki o porzuceniu, samotności, manipulacji i tlącej się nadziei. W „Brooklyn Bridge to Chorus" Julian śpiewa: „Chcę nowych przyjaciół / Ale oni mnie nie chcą".

Nie jest to jednak ponury album. Gitarowe granie zostało wzbogacone o klawiszowe riffy, syntezatorowe pasaże i nostalgiczne brzmienia z lat 80. Dzięki Rickowi Rubinowi, cenionemu producentowi, płyta daleka jest od retropodróży, o czym świadczy choćby świetny „Eternal Summer". ©℗

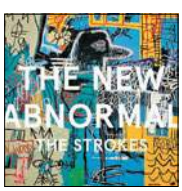

★★★★☆

THE STROKES
„THE NEW ABNORMAL"
RCA

★★★★★☆

THUNDERCAT
„IT IS WHAT IT IS"
BRAINFEEDER

Wirtuoz gitary basowej i wzięty sideman na czwartym albumie żegna zmarłego przyjaciela. Wyciszone funk-jazzowe kompozycje jednocześnie oparte na tanecznych rytmach zachwycają wysmakowanymi aranżacjami.

★★★☆☆☆

THE WEEKND
„AFTER HOURS"
REPUBLIC

Sterylny europop połączony z R&B. Podopieczny Drake'a, Abel Tesfaye, przejmująco śpiewa o toksycznych związkach, samochodach i sławie. Nastolatkowie są wniebowzięci, a konto kanadyjskiego Etiopczyka puchnie od zer. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

V EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER GŁÓWNY

ORLEN

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Polska, czyli

Z Grzegorzem Braunem, posłem Konfederacji
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Grzegorz Braun, przechadzając się po korytarzach sejmowych, odbiera telefon i odpowiada dzwoniącemu: „No jak to gdzie jestem?! W kondominium rosyjsko-niemieckim pod żydowskim zarządem powierniczym". Memy o takiej treści krążyły po Internecie, gdy został pan posłem.

GRZEGORZ BRAUN: To znak, że moja działalność polityczna zyskuje nieco szerszy rezonans. Jako reżysera natomiast cieszą mnie takie przejawy wolnej, niedotowanej, nieinspirowanej przez państwo twórczości.

Polska nie może sobie pozwolić na brak suwerenności, który wyraża się w nietrafionych inwestycjach zbrojeniowych, w otwarciu na działalność obcych służb

No właśnie: gdzie jest granica pomiędzy Grzegorzem Braunem-politykiem, a Grzegorzem Braunem-reżyserem? Na ile pańska działalność polityczna jest przemyślaną kreacją artystyczną?

Roztropnie pan postępuje, nie snując dywagacji na mój temat, jak to jest zwyczajem większości pańskich kolegów, ale dzwoni pan do mnie i szuka odpowiedzi u źródła. Jestem gotów wytłumaczyć wszelkie niejasności.

Zapytam inaczej: czy z tym „kondominium" to tak na poważnie?

Podczas kampanii prezydenckiej w 2015 r. zwracałem uwagę na niesuwerenność polskiej polityki. Już wówczas dowodziłem, że w istocie dostęp do władzy realnej, a przynajmniej do jej zewnętrznych znamion, mają w Polsce agentury – przede wszystkim rosyjska, niemiecka, żydowska. Tę ostatnią możemy dziś określić mianem amerykańsko-żydowskiego zarządu powierniczego.

Sam pan często jest oskarżany o działalność agenturalną. Doskonale zatem zdaje pan sobie sprawę z tego, jak ciężkie są to oskarżenia. Jakie ma pan dowody na to, że w Polsce rządy sprawuje obca agentura?

Przecież stojący dziś na narodu czele wielokrotnie zdążyli nam się pochwalić swoimi specjalnymi stosunkami czy to z Moskwą, czy to z Berlinem, czy to z Tel Awiwem. Jako kapitał założycielski formacji postkomunistycznej posłużyły pieniądze rosyjskie. Pamięta pan z pewnością konszachty „Zdradka" Sikorskiego czy całożyciowy romans polityczny nieboszczyka Bartoszewskiego z Niemcami. Obce ośrodki opinii i wpływu współtworzyły łże-autorytet obozu „Gazety Wyborczej". Na pewno pamięta pan też publiczną wypowiedź śp. Lecha Kaczyńskiego o tym, że specjalne relacje z Izraelem pozostaną priorytetem polityki Warszawy, niezależnie od tego, kto aktualnie będzie przy władzy. Ostatnie lata to przede wszystkim festiwal afiszowania się przez rządzących specjalnymi relacjami z Waszyngtonem. Prezydent Rzeczypospolitej z autentycznym, jak się zdaje, wzruszeniem w głosie opowiadał o swojej rozmowie w cztery oczy z amerykańskim gen. Hodgesem. Być może Andrzej Duda nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, jak żałosne i potencjalnie

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

niebezpieczne jest odbywanie rozmów sam na sam z generałami obcych armii. Ten brak ostrożności i zabezpieczenia kontrwywiadowczego w relacjach obecnej głowy państwa z amerykańskim dowódcą oceniam równie krytycznie jak specjalne stosunki łączące wcześniej prezydenta-rezydenta Komorowskiego z postsowiecką generalicją reprezentowaną przez niejakiego Patruszewa.

Przecież jest jednak podstawowa różnica. Sowieci nas okupowali, postsowiecka Rosja to nasz geopolityczny rywal, natomiast Amerykanie to nasi sojusznicy.

Tak pan mówi, bo tak panu mówią pańscy mocodawcy, a pan czuje się zobowiązany po nich powtarzać.

Nie. Proamerykańska i antyrosyjska zarazem orientacja jest dominująca w polskiej opinii publicznej. Co do tego panuje niemal pełna zgoda, ponad podziałami. Sojusz z USA może nie gwarantuje naszego bezpieczeństwa, ale je znacząco wzmacnia.

Pan może oczywiście tak uważać, ale ja należę do pokolenia, które pamięta bazy obcych wojsk na terytorium RP…

Armia sowiecka stacjonowała nad Wisłą w zupełnie innym charakterze niż obecnie Amerykanie.

To pan tak twierdzi. Obecność wojsk sowieckich skutkowała uzależnieniem polskiej polityki zagranicznej i gospodarki od interesów imperium. Podobnie jest dziś, tylko wektor się zmienił. Nie przypominam sobie, by jakiekolwiek inne środowiska, poza żydowskimi, występowały do Polski z opiewającymi na astronomiczne sumy roszczeniami finansowymi, których spełnienie musiałoby skutkować nową transformacją ustrojową. Nie przypominam sobie, aby jakiekolwiek inne, poza Izraelem, państwo, prowadziło wobec Polski tak jawną, zmasowaną operację zniesławiania. Notabene w Izraelu właśnie odsłania się pomniki wdzięczności Armii Czerwonej, której weterani paradują tam rokrocznie 9 maja w pełnej gali orderowej. Bardzo dziękuję, ale ja nie jestem zainteresowany takimi relacjami sojuszniczymi.

Na razie Polska nie wypłaciła ani grosza. Strach przed roszczeniami żydowskimi wciąż nie znalazł uzasadnienia.

To może niech pan zadzwoni do MSZ i zapyta o raport na temat stosunków polsko-żydowskich, który resort przedstawił Amerykanom. Niestety, ale warszawska elita polityczna ciągle chowa głowę w piasek.

Bilans sojuszu z USA wciąż jest dla nas dodatni. W obecnej sytuacji geopolitycznej nie możemy sobie pozwolić na całkowitą neutralność i niezależność.

Polska nie może sobie pozwolić właśnie na brak suwerenności, który wyraża się w nietrafionych inwestycjach zbrojeniowych, w otwarciu na działalność obcych służb, ze szczególnym uwzględnieniem służb państw, działających na naszym terenie, a właściwie grasujących bezkarnie pod pretekstem „specjalnych relacji sojuszniczych". Potrzebujemy przede wszystkim silnej polskiej armii, silnych polskich służb. Żadnych innych. Nasi sojusznicy doskonale to pojmują. Mieliby sto tańszych, łatwiejszych w realizacji sposobów na to, by wspierać potencjał obronny Rzeczypospolitej, bez koniecznego, a realnie niczego w bilansie geostrategicznym niezmieniającego instalowania eksterytorialnych baz na naszym terenie. Po te sposoby nie chcą jednk sięgać. Stąd moja obawa, że cele deklarowane nie w pełni odpowiadają celom realnie zamierzonym.

Zostawmy już Waszyngton, przejdźmy na Stary Kontynent. Politycy Platformy często wypowiadają się na łamach zachodnioeuropejskich mediów, krytykując obecny polski rząd za rzekome łamanie demokracji, konstytucji czy wolności obywatelskich. Czy tego typu skargi mieszczą się w pańskiej definicji „działalności agenturalnej"?

Tego typu skargi oceniam bardzo negatywnie. Zdrada stanu pozostaje zdradą stanu niezależnie od tego, kto tej zbrodni dokonuje. Natomiast politycy PO nieustannie ocierają się o tę kategorię kodeksową. Donosicielstwo samo w sobie nie jest przestępstwem. Nie możemy nic poradzić na to, że niektórzy mają taką skazę charakterologiczną. Możemy natomiast potępić tę antypolską postawę.

Pan też krytykował polskie władze na łamach zagranicznych mediów. Udzielił pan niedawno – po raz kolejny – wywiadu Sputnikowi. Czy komentowanie działań polskiego rządu w rozmowie z organem propagandy Kremla nie jest ocieraniem się o zdradę stanu?

Z zasady nie oczekuję, by zgłaszali się do mnie wyłącznie dziennikarze, z którymi wchodzę w jakiś serdeczny kontakt. Jak pan widzi, rozmawiamy wciąż, mimo że nie zaczęliśmy naszej znajomości od ustalenia, w jakim stopniu łączy nas

„kondominium"

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

komunia dusz. Proszę śmiało cytować, co się panu w tym wywiadzie nie podoba.

„Problematyczny jest sam tryb stanowienia tego prawa, które przecież było pisane i wnoszone do Sejmu w czasie nadzwyczajnie krótkim, zdaniem przynajmniej części posłów niespełniającym wymogów regulaminowych, prawnych, ba, nawet konstytucyjnych. A tu wybory już za kilka tygodni" – tak komentował pan w rozmowie ze Sputnikiem ustawę o głosowaniu korespondencyjnym.

A może pan jeszcze zacytuje, że w tym samym wywiadzie upominam się o zwrot wraku tupolewa? Może wspomni pan, że również na łamach Sputnika krytykuję niestandardowość procedur stanowienia prawa w Rosji?

To wszystko prawda. Miałem o to zapytać, dobrze, że mnie pan ubiegł. Nie zmienia to faktu, że na łamach organu propagandy agresywnego imperium komentuje pan stan prawny w Polsce. Może lepiej przyjąć zasadę „ze Sputnikiem rozmawiać nie wypada"?

Szanowny panie redaktorze, jak rozumiem, dysponuje pan czarną listę tytułów, które chciałby pan obłożyć embargiem. Chętnie bym się z nią zapoznał. Proszę jednak nie oczekiwać, że będę respektować takie salonowe sądy kapturowe, których pan zdaje się być rzecznikiem. Proszę mi wierzyć, że nie wszyscy moi wyborcy wyłącznie pozytywnie oceniają gazetę, w której pan pracuje.

Uważa pan, że Sputnik to medium jak każde inne?!

Media mają to do siebie, że wpisują się w rozmaite trendy propagandowe.

Oczywiście, media kreują różne opinie. Jednak Sputnik to medium realizujące politykę informacyjną obcego, agresywnego mocarstwa.

Jeśli pan zechce, to poświęcę czas, zrobimy przegląd ostatniego tylko rocznika wydań „Do Rzeczy" i wskażę teksty, których wymowa jest, w moim przekonaniu, sprzeczna z polskim interesem narodowym.

To tylko pańska interpretacja. Porównuje pan wydawany w Polsce tygodnik z organem obcego państwa.

„Gazeta Polska" i „Gazeta Wyborcza" też są wydawane w Polsce, a jednak całkiem jawnie reprezentują obce interesy.

Sam pan krytykował polityków Platformy za to, że skarżą na Polskę w mediach zachodnich. A Grzegorz Braun może skarżyć na Polskę w mediach rosyjskich?

Sejm w tej chwili nie realizuje obowiązków przypisanych tej izbie z mocy prawa. Pełni funkcję jedynie dekoracyjną

Panie redaktorze, gdy zadał mi pan zdawkowe pytanie o polskie interesy w relacjach z obcymi państwami, to ten rozdział rozmowy był pan łaskaw stosunkowo szybko zamknąć. Absolutnie nie uchylam się od odpowiedzi, ale czy zechce pan zadać jakiekolwiek pytanie merytoryczne, odnoszące się do treści mojej działalności? Czy zapyta mnie pan o jakiś fakt?

Przecież cały czas o tym rozmawiamy. Chce pan fakty? To proszę: czy nie przeszkadza panu, że Leonid Swiridow, dziennikarz Sputnika, któremu udzielił pan wywiadu, został wydalony z Polski w związku z oskarżeniem o działalność agenturalną na rzecz Federacji Rosyjskiej?

W znacznie większym stopniu przeszkadza mi nieujawniona agentura służ postsowieckich, postpeerelowskich, a także służb innych państw, obecna w mediach, mieniących się polskimi. Przeszkadza mi brak lustracji polskiego półświatka dziennikarsko-publicystycznego, przeszkadza mi stopień konformizacji ludzi mediów wobec mód dyktowanych przez mafie polityczne, służby i loże w Rzeczypospolitej. Przeszkadza mi brak publikacji aneksu do raportu z likwidacji WSI. Przeszkadza mi zamknięcie śledztwa w sprawie inwigilacji dziennikarzy przez służby, zresztą przez służby obu układów – zarówno PO, jak i PiS. Przeszkadza mi fakt, że moje nazwisko, pojawiające się w tym kontekście, zostało na wstępnym etapie śledztwa wyłączone z postępowania, ponieważ nie pasowało do politycznej układanki. Przeszkadza mi wielopiętrowa hipokryzja panująca w świecie mediów w post-PRL.

Przeszkadzają panu również ograniczenia, wprowadzane przez obóz rządzący w związku z pandemią koronawirusa. „Zamykać kościoły? Zamykać lasy? Co wy tam knujecie w tych lasach" – dopytywał pan podczas debaty sejmowej. A co władza ma „knuć w lasach"? Część komentatorów znowu zarzuci panu snucie teorii spiskowych.

Szanowny panie redaktorze, znów jest pan łaskaw cytować to, co wcześniej ktoś, wyrwawszy z kontekstu, pokazał panu palcem jako kluczowe.

Tego pan nie wie, ale dziękuję za uprzejmość.

Nie mogę nic poradzić na to, że moje wypowiedzi są cytowane wybiórczo, z pominięciem kontekstu. Czy nie niepokoi pana jednak fakt, że pod pretekstem walki z koronawirusem zostały w Polsce wprowadzone specustawy tworzące ramy prawno-ustrojowe państwa policyjnego, państwa stanu wojennego?

Oczywiście, że pojawiają się wątpliwości, jak w przypadku wszelkich ograniczeń. Oczywiście, że jest to niepokojące. Nie uważa pan jednak, że te ograniczenia były niezbędne? Czasem bezpieczeństwo jest najważniejsze.

Nie rozmawiajmy o michałkach. Jeżeli ktoś nie wyczuwa mojej ironii czy nie podziela mojego poczucia humoru, to ja na to nic nie mogę poradzić. Porozmawiajmy lepiej o tym, że w Polsce nadano właśnie policji sanitarnej prawo administracyjnego karania ludzi grzywnami, których wartość może dorównywać sumie rocznego dochodu, a są to decyzje, od których nie przysługuje żaden tryb odwoławczy! Porozmawiajmy o tym, że gospodarka została zamrożona, że znaleźliśmy się w zaawansowanej fazie katastrofy gospodarczej. I to na własne życzenie. Gospodarka upada przecież nie od tego czy innego wirusa, lecz w konsekwencji podejmowania nieodpowiedzialnych, szaleńczych decyzji na szczytach władzy. Porozmawiajmy o fasadowości polskiej polityki. Sejm w tej chwili nie realizuje obowiązków, przypisanych tej izbie z mocy prawa. Pełni funkcję jedynie dekoracyjną. Nie jestem zagorzałym demokratą, za to jestem zwolennikiem szanowania prawa. Obecne działania rządu uważam za potencjalnie zgubne w możliwych dalekosiężnych skutkach. Walka z koronawirusem to w coraz większym stopniu zmasowana operacja strategicznego zarządzania percepcją mas. Przy okazji tej walki realizowane są rozmaite plany. Takie jak wepchnięcie do Tarczy 2.0 artykułów zmieniających prawo na korzyść inwestorów w przemyśle łącznościowym, radioelektronicznym. Nie przesądzam, czy wszystkie działania rządu w walce z koronawirusem są dobre czy złe. Stwierdzam tylko, że ta walka bardzo często okazuje się jedynie pretekstem do wprowadzania w życie Polaków rozwiązań totalniackich, których ostatecznego celu i przeznaczenia mogą nie pojmować nawet ci, którzy stoją dziś na narodu czele.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. ADOBE STOCK

Maksimum odpowiedzialności i solidarności w walce z koronawirusem

W ostatnim czasie mamy do czynienia z nową dla nas sytuacją. Bez względu na miejsce zamieszkania koronawirus zmienia świat, który znaliśmy. W czasie pandemii wszyscy jesteśmy świadkami nadzwyczajnych warunków funkcjonowania państwa i odczuwamy trudy życia w nowych okolicznościach. Koronawirus to niełatwy przeciwnik – narażeni na zakażenie jesteśmy bez wyjątku. Dlatego walka z nim wymaga podjęcia szczególnych działań. Dzisiaj chcemy znać odpowiedzi na wiele pytań: Jak chronić się przed wirusem? Jak każdy z nas może zmniejszyć ryzyko zakażenia? Jak solidarnie działać w tych trudnych czasach? Skąd czerpać informacje?

JAK MOŻEMY FUNKCJONOWAĆ JAKO SPOŁECZEŃSTWO?

Odpowiedź jest prosta – musimy przestrzegać obowiązujących ograniczeń! Wszystkie one mają jeden cel – ochronę naszego zdrowia i życia. To od naszej dyscypliny, odpowiedzialności i przestrzegania reguł zależy to, kiedy nasze codzienne życie wróci do normy. Wszyscy stosujmy więc zasadę: minimum beztroski, maksimum odpowiedzialności.

JAK POMÓC SENIOROM?

Wszyscy już wiemy, że osoby starsze są grupą szczególnie narażoną na skutki koronawirusa. Jednocześnie potrzebują pomocy w tych trudnych czasach. Podobnie jak osoby niepełnosprawne czy samotne. Na jaką pomoc mogą liczyć seniorzy? Rząd wprowadził godziny dla seniorów (10–12) – wtedy sklepy i punkty usługowe mogą obsługiwać jedynie osoby powyżej 65. roku życia. Jeżeli nie należysz do tej grupy, to nie rób wtedy zakupów!

Możesz pomóc również w inny sposób – weź udział w akcji „Wspieraj Seniora", która powstała z inicjatywy premiera Mateusza Morawieckiego. Na stronie www.gov.pl/koronawirus pobierz plakat, uzupełnij o swój numer telefonu, wydrukuj i powieś w widocznym miejscu. Tym samym deklarujesz chęć pomocy osobom starszym – zrobienie zakupów, wykupienie leków. W tych trudnych czasach warto dbać o solidarność, szczególnie międzypokoleniową.

SKĄD CZERPAĆ INFORMACJE O KORONAWIRUSIE?

Chcesz wiedzieć, co nowego? Uzyskać odpowiedź na nurtujące pytanie? Wejdź na rządową stronę www.gov.pl/koronawirus. Przy okazji pandemii w przestrzeni publicznej pojawiło się wiele fake newsów, które podsycają panikę. Dlatego korzystaj z wiarygodnych źródeł. Na rządowej stronie znajdziesz również instrukcję, co robić, jeżeli podejrzewasz u siebie koronawirusa, listę szpitali zakaźnych czy odpowiedzi na najczęściej zadawane pytania. A także wiele multimediów, dzięki którym w łatwy sposób dowiesz się, co warto robić, aby uniknąć zarażenia.

CHCESZ POMÓC?

Zastanawiasz się, jak jeszcze możesz pomóc w tych trudnych czasach? Podziel się rzetelnymi informacjami o koronawirusie z osobami z Twojej okolicy. Możesz to zrobić w bardzo łatwy sposób. Pobierz plakat informacyjny ze strony www.gov.pl/koronawirus, wydrukuj go i zawieś na drzewie lub klatce schodowej. Informacja przede wszystkim, więc połączmy siły i razem zwalczmy koronawirusa.

10 przykazań w walce z koronawirusem

Do tej pory nie ma konkretnego leku zalecanego przy nowym koronawirusie. Pozostają przede wszystkim szerokie działania prewencyjne. Poznaj zatem 10 przykazań, które zminimalizują ryzyko zakażenia.

1. Regularnie i dokładnie myj ręce – przez co najmniej 30 s. Sprawdzi się również używanie preparatów odkażających na bazie alkoholu (minimum 60–70 proc.).
2. Zostań w domu! Słyszałeś to już wiele razy, a my powtórzymy to po raz kolejny, bo to naprawdę ważne!
3. Pamiętaj, kiedy masz już kontakt z innymi ludźmi, zachowaj bezpieczny odstęp – minimum 2 metry od siebie.
4. Podczas kichania lub kaszlu zakrywaj usta i nos jednorazową chusteczką lub wewnętrzną stroną łokcia.
5. Unikaj dotykania oczu, nosa i ust! A jeżeli musisz, to tylko po uprzednim umyciu rąk.
6. Nie podawaj dłoni na powitanie (przybicie piątki też odpada).
7. Czyść regularnie swój telefon, a także miejsce pracy.
8. Odżywiaj się zdrowo i nawadniaj organizm.
9. Zakrywaj usta i nos, gdy wychodzisz na zewnątrz...
10. ...i zakładaj jednorazowe rękawiczki.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. ADOBE STOCK

Wolność za zdrowie?

Łukasz Warzecha

Rządy i korporacje używają coraz bardziej zaawansowanych technologii, aby śledzić i monitorować ludzi. Pandemia koronawirusa sprawiła, że również polscy rządzący zaczęli wprost mówić o „poddaniu kontaktów Polaków jak najściślejszej kontroli"

We wciąż wciągającym „Wrogu publicznym" z 1998 r. Gene Hackman gra byłego oficera amerykańskich służb specjalnych Edwarda Lyle'a, który pomaga wplątanemu przypadkowo w sprawę politycznego zabójstwa prawnikowi Robertowi Claytonowi Deanowi (Will Smith). Lyle sprawia wrażenie kompletnego paranoika ze swoją obsesyjną ostrożnością i położoną na odludziu kryjówką, ekranowaną od fal radiowych. Dean ma go początkowo za idiotę, gdy Lyle każe mu wyrzucić zegarek, a nawet spodnie. W końcu okazuje się jednak, że w zegarku i w spodniach umieszczono miniaturowe nadajniki, umożliwiające prześladowcom Deana namierzanie go przez cały czas.

Film ma już 23 lata. Przerażające jest, że to, co w tamtym czasie wymagało ze strony służb szczególnego wysiłku, dzisiaj nie wymaga już właściwie żadnego. Żeby podsłuchiwać i podglądać bohatera filmu, trzeba było mu założyć w domu mikrofony i kamery. Teraz wystarczyłoby się zdalnie podłączyć do jego komórki czy smartwatcha.

Nie wiemy tak naprawdę, ile wiedzą o nas technologiczni giganci: Facebook i Google. Obie firmy unikają szczegółowych odpowiedzi na to pytanie. Bardzo możliwe, że gdyby chciały, już dziś mogłyby zasilić rządy naszymi danymi biometrycznymi tak pogłębionymi, że dałoby to potężne narzędzia walki z epidemią.

Czy jesteśmy w stanie kontrolować w pełni, nawet jeśli jesteśmy świadomymi użytkownikami, co wiedzą o nas nasze urządzenia i jakimi danymi dzielą się z dostarczycielami technologii, na podstawie których działają? To pytanie retoryczne. Bardziej zaawansowany smartwatch może stale mierzyć nasz puls, nasycenie krwi tlenem, temperaturę ciała. Te dane przekazuje do telefonu. Telefon z kolei może przez cały czas odnotowywać naszą lokalizację, lecz może również – bez naszej wiedzy – słuchać naszego głosu, odnotowując jego tembr czy nawet odnotowując intensywność oddechu. Może też usłyszeć, czy kaszlemy. Ekranowa klawiatura tworzy tzw. mapę cieplną pisania. Jest też w stanie ocenić tempo, w jakim przyciskamy poszczególne litery. Podłączony stale do sieci samochód może oceniać nasz styl jazdy i poziom zmęczenia. Wewnętrzne kamery widzą, gdzie spoglądamy i czy nie zamykają nam się oczy.

Połączmy razem wszystkie te dane, a dostaniemy w zasadzie pełną wiedzę o stanie użytkownika. Powtarzający się suchy kaszel, podwyższony puls i temperatura ciała, obecność w aptece, tam płatność zbliżeniowa (Google Pay odnotowuje przecież, gdzie płacimy), do tego wyszukiwanie objawów COVID-19 w sieci, a przy tym mniej pewne posługiwanie się klawiaturą i brak koncentracji za kierownicą – to wszystko, po przepuszczeniu przez odpowiednie algorytmy, przez cały czas uczące się objawów choroby, może pozwolić niemal bezbłędnie wyławiać zakażonych.

CZY PODNIESIE SIĘ BUNT?

Na razie żaden z rządów państw walczących z pandemią nie zdecydował się na skorzystanie z tych możliwości. Na szczęście. Jednak taka propozycja może być tuż za rogiem. Izraelski historyk, futurolog, analityk Yuval Noah Harari – autor bestsellerowych książek „Sapiens. Od zwierząt do bogów", „21 lekcji na XXI wiek" oraz „Homo deus. Krótka historia jutra" – w artykule opublikowanym 20 marca na łamach „Financial Times" ostrzegał: w ostatnich latach zarówno rządy, jak i korporacje korzystały z coraz bardziej zaawansowanych technologii, by śledzić i monitorować ludzi oraz manipulować nimi. Jeśli jednak nie zachowamy ostrożności, to epidemia może być istotnym punktem zwrotnym w historii nadzoru. Nie tylko dlatego, że może skłonić kraje, które je dotychczas odrzucały, do akceptacji narzędzi masowego śledze-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

nia, lecz także dlatego, że może oznaczać dramatyczne przejście od śledzenia „naskórnego" do „podskórnego".

Harari rozumie przez to, że urządzenia zaczną nas monitorować i przekazywać dalej informacje o dokładnym stanie naszego organizmu. Na razie rządy ograniczają swoje zapowiedzi do zastosowania aplikacji ostrzegających nas, że jesteśmy w pobliżu kogoś, kto albo choruje na COVID-19, albo zachorował mniej niż dwa tygodnie po spotkaniu z nami, a zatem mógł nas zarazić. O takiej aplikacji jako elemencie programu, opracowanego wspólnie z byłym ministrem zdrowia Andrzejem Sośnierzem, wspominał były wicepremier Jarosław Gowin. Użył przy tym – być może machinalnie – bardzo niefortunnego i budzącego niepokój określenia „poddanie kontaktów Polaków jak najściślejszej kontroli".

W Polsce taki projekt już powstaje – to aplikacja ProteGO, nad którą pracuje zespół programistów pod nadzorem Ministerstwa Cyfryzacji. „ProteGO to aplikacja projektowana na czas wychodzenia z najpoważniejszych obostrzeń wdrożonych do walki z pandemią koronawirusa. Celem tego rozwiązania jest kontrola nad rozprzestrzenianiem się choroby. Chcemy to osiągnąć, budując – poprzez technologię Bluetooth – swoistą sieć połączeń pomiędzy użytkownikami telefonów komórkowych. Aplikacja nie będzie gromadzić ich danych ani śledzić ich położenia" – czytamy na stronach MC. Ma jedynie informować, że znaleźliśmy się w grupie ryzyka i powinniśmy odbyć kwarantannę. Nie dowiemy się, kto był zakażony i za czyją sprawą się to dzieje. Tym, co odróżnia ProteGO od mocno krytykowanej aplikacji Kwarantanna, jest otwarcie jej kodu. Oznacza to, że każdy programista może zajrzeć „pod maskę" aplikacji i sprawdzić, czy jest bezpieczna, jak działa czy faktycznie nie gromadzi danych.

Trudno powiedzieć, czy polski rząd chciałby, żeby aplikacja stała się obowiązkowa. Marek Zagórski, szef resortu cyfryzacji, stwierdza enigmatycznie, że życzyłby sobie, aby korzystali z niej z czasem wszyscy użytkownicy smartfonów w kraju. Ambitny cel, ale raczej nie do osiągnięcia, jeśli pozostawi się ludziom dowolność. Gdyby jednak chcieć ich do korzystania z ProteGO zmusić – to nawet w stosunkowo biernym wobec spraw prywatności i wolności polskim społeczeństwie podniósłby się zapewne bunt.

Niestety, podejrzenia wywołuje umieszczenie w ustawie o Tarczy Antykryzysowej zapisów nakazujących operatorom przekazywanie ministrowi cyfryzacji informacji o lokalizacji każdego urządzenia mobilnego. Można to zapewne uzasadnić koniecznością zorientowania się, gdzie tworzą się skupiska ludzi. Ale czy skórka jest warta wyprawki? Przecież to stworzenie możliwości gigantycznych nadużyć, zwłaszcza jeśli połączymy to z planami antyepidemicznych aplikacji.

UNIKNĄĆ INWIGILACJI

Taki plan przygotowują także Google wspólnie z Apple. Rozwiązanie przynajmniej w teorii ma być nieinwazyjne, jeśli chodzi o poszanowanie prywatności, i miałoby funkcjonować na podobnej zasadzie jak polska aplikacja. Wymieniana pomiędzy urządzeniami informacja ma być anonimowa. Zarazem jednak projekt może wzbudzić protesty, bo – inaczej niż ProteGO – narzędzie ma zostać wbudowane w systemy operacyjne smartfonów. Nie ma na razie odpowiedzi na pytanie, czy będzie się można z tego systemu wyłączyć. Jednak nawet gdyby – czy nie okaże się, że ci, którzy z pomocy cyfrowych gigantów nie chcą korzystać, już przez to narażają się na napiętnowanie?

Katarzyna Szymielewicz z Fundacji Panoptykon – najbardziej znanej polskiej organizacji pozarządowej, zajmującej się ochroną prywatności – mówi, że w związku z wprowadzanymi w Europie specjalnymi rozwiązaniami w „bańce" aktywistów z jej dziedziny panuje duże poruszenie. Istnieje wyraźny niepokój, że i tak niechętnie akceptowane rozwiązania, które pojawiały się już wcześniej, teraz zostaną posunięte jeszcze dalej, i to przy akceptacji większości obywateli. Jak bowiem w swoim tekście słusznie zauważa Harari – nie ma bardziej przekonującego argumentu na rzecz wyzbycia się własnej wolności i prywatności niż zdrowie.

Ta obawa jest chyba słuszna, bo o ile w samym środowisku osób szczególnie wyczulonych na kwestie prywatności poruszenie może być odczuwalne, o tyle poza nim jakoś go nie widać. Szczególnie w Polsce, gdzie niemal każda kwestia uległa skrajnemu upolitycznieniu. Jeżeli zastrzeżenia dotyczące ingerencji w naszą wolność i prywatność się pojawiają, to natychmiast zostają włączone w rytualny polityczny spór. Próbuje je zagospodarować opozycja, na ogół skrajnie nieudolnie i dyletancko, a z drugiej strony zwolennicy władzy powtarzają jak mantrę, że to dla naszego dobra, a poza tym „uczciwi nie mają się czego bać".

To stwierdzenie należy do najbardziej niemądrych. Jeśli faktycznie – jak znów słusznie zauważa w swoim tekście Harari – rozwiązania wprowadzane na czas nadzwyczajny mają nieodmienną tendencję do trwania latami, to ze specjalnych rozwiązań na czas epidemii będzie korzystał nie tylko obecny rząd, lecz także wiele przyszłych. Będą przez lata stanowić pokusę dla służb. Już dzisiaj wiceminister zdrowia stwierdza, że nadzwyczajne obostrzenia będą trwać przynajmniej dwa lata, a przecież nic nie ogranicza w czasie stanu zagrożenia epidemicznego (poziom niżej od obecnego stanu epidemii, też zresztą czasowo nielimitowanego). Rządzący zawsze mogą twierdzić, że przecież epidemia może wrócić. A jeśli nie wróci, to może zacząć się inna, więc trzeba specjalne reguły wpisać na stałe do naszego systemu.

Czy będzie nam się chciało pilnować naszej wolności? Nie widać w tej sprawie powszechnej mobilizacji. Można postawić tezę, że w Polsce to konsekwencja ogólnej tendencji: trwający przez większą część III RP łże-liberalizm zrodził u wielkiej części Polaków tęsknotę za wszechpotężnym państwem, które się nimi zajmie i zaopiekuje. To jedno ze źródeł sukcesu PiS, który ten nastrój umiejętnie wykorzystał. A to oznacza oduczenie się brania odpowiedzialności za samych siebie. Duża część ludzi chce, żeby ktoś („rząd") powiedział im, co mają robić.

A przecież jest inna droga. Jak tłumaczy w swoim tekście Harari – ludzie masowo zaczęli myć ręce mydłem w XIX w. nie dlatego, że powołano „mydlaną policję" i wprowadzono powszechny przymus mycia rąk, lecz dlatego, że zrozumieli, czemu to jest racjonalne i że służy im samym. Zamiast zatem teraz inwigilować, okrawać naszą wolność i pozbawiać nas wyboru, lepiej byłoby dać ludziom dobrowolne instrumenty, które pozwoliłyby im zadbać o własne bezpieczeństwo w takim stopniu, w jakim sami uznają to za rozsądne. Oczywiście taki system nie będzie nigdy całkowicie szczelny, ale całkowicie szczelnych systemów nie ma. Jeśli jednak ta nieszczelność ma być ceną, którą zapłacimy za zachowanie naszej wolności i prywatności, to warto.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Jean-Marie Le Pen w Paryżu w 1956 r. FOT. KEYSTONE-FRANCE/GAMMA/GETTY IMAGES

Zanim Le Pen został Le Penem

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Marek Jurek

Jak Francja została zaprowadzona przez swą klasę rządzącą na drogę kulturalnej, politycznej, demograficznej i geopolitycznej dekadencji

Nic nie jest ciekawsze od prawdy. Oczy doświadczonego człowieka, wypatrującego w dali przeżytych wydarzeń minionego czasu, są najlepszą lunetą historii. „Fils de la nation" („Syn narodu"), pierwszy tom pamiętników Jeana-Marie Le Pena, początek jego własnego rozrachunku z historią, to kapitalna panorama dziejów Francji z lat 50. i 60., czasów IV Republiki, a potem – prezydentury de Gaulle'a, tej drugiej francuskiej belle époque, której blask pokazywały światu filmy wytwórni Gaumont. W książce Le Pena te czasy wyglądają inaczej, ich uroda skrywa wiele dramatów, bo sam przedmiot jego polityki można raczej streścić tytułem książki Érica Zemmoura: francuskie samobójstwo.

Le Pen, tak jak Zemmour, uważa, że w drugiej połowie poprzedniego wieku jego kraj, tak jak cała zachodnia Europa, wszedł, a raczej został zaprowadzony przez swą klasę rządzącą, na drogę kulturalnej, politycznej, demograficznej i geopolitycznej dekadencji. Pierwszy tom swych pamiętników doprowadza do momentu utworzenia Frontu Narodowego za prezydentury Georges'a Pompidou. Cały ten okres to czas krystalizacji jego poglądów, a także dojrzewania polityki, którą bardzo wcześnie podjął i prowadził. Przede wszystkim to jednak szeroki opis politycznego pola walki, którą rozwinął potem, a także jej motywów.

POKOLENIE ZIMNEJ WOJNY

Le Pen wchodził w dojrzałe życie wraz z nową epoką. Urodzony w 1928 r., miał jeszcze okazję wziąć udział w ruchu oporu, ale należał do pierwszego pokolenia powojennego, czasów powojennej odbudowy i zimnej wojny. Późniejszy założyciel Frontu Narodowego był jej świadomym uczestnikiem. Antykomunizm przez całe lata definiował jego poglądy. Jedno z haseł, które głosił – „ani czerwoni, ani martwi" – odwracało znaną dewizę entuzjastów odprężenia: „lepiej być czerwonym niż martwym".

Czym był komunizm dla Le Pena? Światem łagrów, nieprzekraczalnym horyzontem współczesnego niewolnictwa, sowieckim zagrożeniem dla wolności i światowej pozycji Francji, a najbardziej bezpośrednio – czynną destrukcją życia narodowego. Od poparcia dla paktu Ribbentrop-Mołotow do wojny algierskiej francuski komunizm systematycznie, za każdym razem, gdy życzyli sobie tego Sowieci, sabotował nie tylko francuską politykę, lecz także każdy francuski wysiłek zbrojny. I – jak dodaje Le Pen – swymi strajkami i polityką antyekonomiczną niszczył również francuski przemysł (szczególnie morski), francuską pracę i konkurencyjność. Mówiąc najkrócej – był antytezą patriotyzmu i solidarności narodowej. Nie zdobył władzy (choć komuniści mieli okresy udziału w rządach po wojnie i w początkach prezydentury Mitterranda), ale wywarł wielki wpływ na politykę i życie kulturalne. Do tej pory we Francji potępienie komunizmu jest rzeczą trudną, mimo że – jak słusznie pisze Le Pen w swej książce – „antykomuniści lat czterdziestych i pięćdziesiątych uratowali honor Francji, honor intelektualny i honor w ogóle".

PRZED PARYSKIM MAJEM

W czasie studiów Jean-Marie Le Pen był działaczem studenckim i mógł z bliska obserwować początek ideowej mutacji, która w ciągu dekady miała zmienić Francję i świat. Niestety, choć nadchodząca rewolucja miała od początku charakter marksistowski, jej elementem były zmiany dokonujące się w Kościele francuskim. Uczniowie Marca Sangniera i Emmanuela Mouniera uważali, że Kościół nie może stanąć przeciw niesionej przez socjalizm wizji „lepszego świata", że nie powinien bezwładnie trwać po stronie – uzasadnianych prawem naturalnym – „partykularyzmów" cywilizacyjnych, narodowych, rodzinnych, że nie może „małodusznych" zarzutów lub obaw wobec marksizmu czy socjalizmu przeciwstawiać wielkiemu projektowi przebudowy społeczeństwa. Rzym mieli przeciw sobie od zawsze, Pius XII był znienawidzony przez komunistów nie bez przyczyny: zachowywał uznanie dyplomatyczne dla polskiego rządu na uchodźstwie, bronił ukraińskich i chińskich katolików przed przymusowym odrywaniem od Kościoła, wystąpił oficjalnie w obronie powstania węgierskiego. Tym bardziej każdy głos, nawet pośrednio podważający stanowisko papieża i antykomunistyczną solidarność katolików, miał wielką wartość dla obozu rewolucji. Był potrzebny nie tyle do przekonywania, ile do dezorientowania i demontowania opinii katolickiej.

Le Pen wspomina, że o ile „spychanie w lewo i komunizacja uniwersytetów były niewątpliwie efektem długiej i zawziętej działalności Partii Komunistycznej", o tyle bardzo korzystne dla jej strategii okazało się wsparcie katolickich progresistów. Pozwalało im dotrzeć tam, dokąd sami by nie dotarli, a przede wszystkim dezorganizowało antykomunistyczny opór. „Do 1950 r. katoliccy studenci spotykali się we własnych grupach na wydziałach, prowadzili autonomiczne życie, działalność intelektualną i duchową. Ale w 1950 r. od swych dominikańskich duszpasterzy w ramach JEC (Chrześcijańskiej Młodzieży Studenckiej) otrzymali zalecenie angażowania się w organizacje ogólnostudenckie i wspierania tam list lewicy, która w ramach Komitetów Akcji Związkowej przeciwstawiła się dotychczasowym liderom akademickim o nastawieniu z reguły antymarksistowskim. Ojciec Liège, który już w tamtych czasach – a było to wtedy rzadkie – chodził bez habitu, w stroju świeckim, głosił konferencję przeciw »brudnej wojnie w Indochinach«".

W OBRONIE IMPERIUM

Chociaż Front Narodowy stał się prawicową alternatywą dla neogaullizmu, to punkt wyjścia obu kierunków nie był odległy. De Gaulle obalił IV Republikę pod hasłami obrony francuskiego imperium kolonialnego. Jean-Marie Le Pen w tę sprawę zaangażował się osobiście, najpierw jako oficer w Indochinach, potem (zawieszając świeżo zdobyty mandat parlamentarny) – w Algierii.

Świadomość historyczna często bardziej od faktów utrwala opinie dominujące w przeszłości. Współczesna Europa na wojnę w Algierii patrzy oczyma sowieckiej propagandy i francuskiej prokomunistycznej lewicy z połowy ubiegłego wieku. Tymczasem wojna ta nie toczyła się w istocie przeciw niepodległości Algierii, ale przeciw terroryzmowi FLN, któremu Francja nie chciała przekazać władzy. Jak pisał o tym Paul Johnson, algierski Front Wyzwolenia Narodowego (reprezentujący ten sam nacjonalizm arabski co Saddam Husajn, Hafiz al-Asad czy płk Naser) był pierwszym nowoczesnym ugrupowaniem terrory-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

stycznym. Wojna przeciw FLN (okrzyczana przez marksistowską propagandę jako „brudna") była pierwszą nowoczesną wojną z terroryzmem. Terroryzm ten potępił jasno Albert Camus, który sam urodził się pod Annaba, a o swych ojczystych stronach mówił, że kochał je „całym sercem", że „tam wszystko otrzymał" i że „nie odmówi przyjaźni nikomu", kto stamtąd pochodzi.

Mój nieżyjący już przyjaciel, Édouard Ferrand, opowiadał, że jego ojciec był do końca życia przekonany, iż gdyby Francja wygrała tamtą wojnę, gdyby algierskie departamenty rozwijały się dalej, politycznie i ekonomicznie, razem z Francją – nie byłoby potem problemu imigracji, Algierczycy nie musieliby masowo wyjeżdżać i zostaliby u siebie. Nawet gdyby w końcu Algieria rozeszła się z Francją, dokonałoby się to pokojowo i miałaby perspektywę podobną do Wybrzeża Kości Słoniowej – państwa kierowanego przez dobrą, ukształtowaną we francuskiej polityce elitę, wykorzystującego swe możliwości ekonomiczne, przyjaznego Francji. Éric Zemmour nie podziela tego retroaktywnego optymizmu: w końcu czasy rozwoju ekonomicznego widziały wiele migracji wewnętrznych. Niemniej tak właśnie myśleli ludzie broniący Algierii francuskiej, a perspektywa, dla której się bili, była przede wszystkim lepsza dla Algierii. Chodziło o to, by nie wydać tego pięknego kraju i mieszkających tam przekonanych Francuzów – ludzi prawicy i lewicy, chrześcijan, Żydów i muzułmanów – w ręce terrorystów. Tak też myślał młody porucznik Le Pen.

W swych pamiętnikach szczerze oddaje tamte uczucia i moralny wymiar gaullistowskiej kapitulacji. Wśród historyków dominuje opinia, że de Gaulle był Nixonem, któremu się udało. Nixon był w Wietnamie notariuszem klęski, de Gaulle w Algierii – wodzem udanego, choć bezwzględnego odwrotu. Tym ocenom post factum Le Pen przeciwstawia uczucia, które w czasie wojny algierskiej żywiło wielu Francuzów:

„Ludzie, żołnierze, politycy, którzy nie zaglądali w karty Generałowi, którzy słuchając jego słów, nie siedzieli mu w głowie, gdy widzieli, w jaki sposób wracał do władzy, mieli prawo wierzyć, że będzie bronił Algierii francuskiej. Tym bardziej więc angażowali się na jej rzecz. Wszystko, co się potem stało, zawód, beznadzieja, opór, porzucenie, ucieczka algierskich Francuzów przed rzezią, bunt wojska, OAS, porzucenie Francuzów-muzułmanów – zaczęło się od zdrady de Gaulle'a. […] Nie oceniam omletu, który de Gaulle podał Francji, piszę tylko o jajkach, które najpierw stłukł".

JEAN-MARIE LE PEN „FILS DE LA NATION" MULLER ÉDITIONS 2018

Éric Zemmour w swej ostatniej książce („Destin français") pisze o znamiennej rozmowie generała z jego ministrem informacji, Alainem Peyrefitte'em. Gdy ten zaczął opowiadać prezydentowi o masowych mordach na muzułmanach wiernych Francji, porzuconych przez wycofujące się wojsko, de Gaulle przerwał gwałtownie: „Proszę mnie nie brać na litość. Cierpiałem z tego powodu tak samo jak wszyscy, ale ta sprawa jest już zamknięta. To było konieczne dla ocalenia kraju". Kardynał Richelieu nie ujął by tego mocniej.

ANTYGAULLIZM

Le Pena kwalifikowano jako nacjonalistycznego populistę. Trudno jednak redukować do populizmu poglądy kogoś, kto świadomie całe życie spędza w opozycji, a kategorię obowiązku stawia w centrum swej polityki. Trop jest jednak dobry, gdy odniesiemy go do napięć między definiowaniem racji stanu a faktem uczuć narodowych.

W „Fils de la nation" Le Pen pisze o czasach prezydentury de Gaulle'a jako o latach, które ukształtowały nie tyle jego światopogląd (gdy miał 27 lat, został posłem, jeszcze za czasów IV Republiki), ile kierunek jego polityki. Najzupełniej świadomie definiuje go przez opozycję wobec gaullizmu. Ten przedstawia jako pseudoprawicę, która adaptując bez przerwy Francję do współczesnego świata, doprowadziła do jej rozkładu. I traktuje historię gaullizmu jako stopniowy demontaż prawicowej opinii. Zamiast odpowiedzi na pytanie o motywy tej polityki przypomina jedno zdanie André Malraux, wielkiego pisarza i gaullistowskiego ministra kultury: „Między nami a komunistami nie ma nic". Właśnie ta strategia nieustającej polaryzacji politycznej sprawiła, że – jak pisze Le Pen – „wielu dobrych Francuzów […] stawiało swą miłość do Francji w cieniu mauzoleum de Gaulle'a".

Le Pen nie zaprzecza wewnętrznej wielkości generała, tyle że – jak uważa – jej przedmiotem była bardziej polityczna chwała niż dobro narodu. „De Gaulle miał ogólną wizję dekolonizacji, również Afryki Północnej i Algierii, od początku chciał ją przeprowadzić, bez wahania i najszybciej jak można […] marzył, że zostanie przywódcą trzeciego światowego bloku, czyli tego, co nazywano wówczas ruchem państw niezaangażowanych […]. Bał się, że czas mu ucieka. Pozbywał się więc wszystkiego, co mu przeszkadzało. I najdosłowniej pozbył się Algierii, a z nią algierskich Francuzów, armii, profrancuskich muzułmanów…".

Za życia generała gaulliści przekonywali Francuzów, że są jedyną alternatywą dla komunistów. Minęła dekada od śmierci de Gaulle'a i do władzy przyszli socjaliści sprzymierzeni z komunistami. A już wcześniej (od „reform społecznych" pierwszego rządu Chiraca, z legalizacją tzw. aborcji na czele) zaczęła się nabierająca coraz większego tempa konwergencja między neogaullizmem a lewicą.

Konwergencja ta bardzo wcześnie zaczęła dotyczyć szkolnictwa, najpierw wyższego, potem powszechnego. Le Pen nazywa to kulturową Jałtą. „Najgorsze, że dotyka to małych, słabych, dzieci, młodzieży żyjącej pod władzą szkolnictwa państwowego. Uważam to po prostu za zbrodnię. Wykorzeniać dzieci, przeciwstawiać je tym, którzy dali im życie, i temu, co dało im życie, jest zbrodnią wobec całej historii ludzkości. […] Od czasów Mitterranda powszechnie się zakłada, że należy »przekroczyć historię«. Ale ja uważam, że należy ją kontynuować. Ajatollahom utopii, ich piekielnej tabula rasa przeciwstawiam obowiązek przywiązania do ojców i Ojczyzny. Czwarte przykazanie. Moje synowskie przywiązanie jest moim francuskim sumieniem".

W zakończeniu „Syna narodu" rysuje założenie, z jakim zbudował Front Narodowy, rolę rzecznika tych wszystkich wartości, które gaullistowska centroprawica krok po kroku porzucała lub odrzucała. Maurras chciał zawrócić rozwój Francji z drogi, na którą weszła z rewolucją. Le Pen chce odwrócić dziedzictwo gaullizmu. Nigdy nie brakowało mu wysokiego wyobrażenia o własnej misji, ale pewnie dlatego w 2002 r. prezydent Jacques Chirac musiał w drugiej turze wyborów walczyć z nim o utrzymanie prezydentury. Jednak to już stanowi przedmiot następnego tomu wspomnień założyciela francuskiego Frontu Narodowego.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

PRENUMERATA 2020 W CENIE 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY" I MIESIĘCZNIK „HISTORIA DO RZECZY"

WERSJE PAPIEROWE TYGODNIKA I MIESIĘCZNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE KSIĄŻKA:

S. KOPER I T. STAŃCZYK „OSTATNIE LATA POLSKIEGO WILNA"

~~745~~ ZŁ > **280,00** ZŁ < OSZCZĘDNOŚĆ 465 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR. 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Domek z Magdeburga

26 stycznia 1934 r. Polska i III Rzesza podpisały układ o nieagresji. Zapoczątkował on okres zbliżenia między obydwoma państwami. W Niemczech jednym z jego wyrazów była popularyzacja postaci Józefa Piłsudskiego, pogromcy bolszewików z 1920 r., którego wielkim szacunkiem darzył sam Adolf Hitler.

W III Rzeszy pisano hagiograficzne artykuły i książki o Piłsudskim, wydawano jego pisma. Gdy Piłsudski zmarł w 1935 r., w berlińskiej katedrze urządzona została uroczysta msza żałobna, w której wziął udział sam Führer. Był to ostatni raz w życiu, gdy brał udział w katolickiej liturgii. Wszystko to było związane z zabiegami kanclerza, który w latach 30. starał się pozyskać Polskę do sojuszu przeciwko bolszewizmowi. Elementem tej kampanii było przekazanie Polsce w darze Domku Magdeburskiego. Czyli budynku, w którym Piłsudski był internowany podczas pierwszej wojny światowej.

Historię tego niemieckiego daru przedstawia w pasjonującej książce „Więzień magdeburski" Mariusz Kolmasiak. Budynek został rozmontowany w maju 1938 r. A następnie załadowany do siedmiu 15-tonowych wagonów i wywieziony do Warszawy. Złożono go w parku Belwederskim, prace zakończyły się w październiku 1938 r., niecały rok przed wybuchem wojny polsko-niemieckiej. O pietyzmie, z jakim odbudowano miejsce internowania Piłsudskiego, niech świadczy to, że wokół Domku zasadzono takie same rośliny, jakie rosły w Magdeburgu! Domek stał się oczywiście wielką atrakcją, tłumnie odwiedzaną przez warszawiaków. Drewniany budynek przetrwał kolejne nieszczęścia, które spadały na Warszawę – oblężenie roku 1939 i powstanie roku 1944. Nie przetrwał natomiast komunizmu. Najpierw w Domku mieszkali ochroniarze Bolesława Bieruta. A w latach 50. został on rozebrany w ramach walki z pamięcią o Piłsudskim i II RP.

Mariusz Kolmasiak opisał losy tego budynku z dużą fachowością. Po przeczytaniu jego książki przyszedł mi do głowy pomysł. A może by tak jeszcze raz, na podstawie zdjęć i planów, zrekonstruować Domek Magdeburski? ©℗

MARIUSZ KOLMASIAK „WIĘZIEŃ MAGDEBURSKI" LTW

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Tuwim i Stefania

Poeta miał 18 lat, gdy po raz pierwszy ujrzał Stefanię. Z jego strony była to miłość od pierwszego wejrzenia. Piękna, o trzy lata młodsza od początkującego literata, pochodziła z żydowskiej rodziny z Tomaszowa.

W dniu ślubu Tuwim był podobno „nieprzytomny ze szczęścia"

Stała się adresatką pięknych wierszy, bo Tuwim, studiując w Warszawie, pisywał do niej gorące listy. Zdobywał ją aż siedem lat, dziewczyna zachowywała rozsądek, chciała po prostu dobrze wyjść za mąż. Dlatego przyjęła jego oświadczyny dopiero wtedy, gdy Tuwim udowodnił, że potrafi dobrze zarabiać.

Poeta nigdy nie ukończył polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim. Wciągnęło go życie poetyckie stolicy i twórczość komercyjna dla kabaretów. Doskonale zarabiał, jego nazwisko stało się synonimem sukcesu. Używał licznych pseudonimów, gdyż z jednej strony wstydził się takiej twórczości, z drugiej nie chciał swoimi dochodami drażnić kolegów po piórze. Nie żałował studiów, z uśmiechem mówił, że poczeka na doktorat honoris causa. I rzeczywiście go dostał, chociaż ponad 30 lat później.

Już w połowie 1919 r. był najbardziej pożądanym autorem w stolicy, w efekcie dyrekcja Qui Pro Quo zawarła z nim umowę na wyłączność. Kilka lat później jego miesięczne dochody szacowano na ok. 4 tys. zł (średnia krajowa wynosiła ok. 200 zł). Pisał wszystko: piosenki, skecze, scenki rodzajowe czy szmoncesy. Potrafił zaglądać do kabaretu nawet kilka razy w ciągu jednego dnia i prawie za każdym razem przynosił jakiś nowy pomysł.

Stefanię poślubił 30 kwietnia 1919 r. w łódzkiej synagodze. Panna młoda wyglądała prześlicznie, a Tuwim był podobno „nieprzytomny ze szczęścia". Zamieszkali w stolicy, początkowo u wuja poety, po czym wynajęli duże mieszkanie przy ul. Chłodnej. Dzieci nie mieli – zrezygnowali z potomstwa, obawiając się o zdrowie Stefanii.

Żona poety nie cieszyła się popularnością w otoczeniu Tuwima. Przyjaciele męża zarzucali jej snobizm, chociaż doceniali urodę. Jednak suchej nitki nie pozostawiały na Stefanii panie. Uważały, że jest: zimna, zbyt zajęta swoją urodą i z dumą mówiąca, że „wierszy Julka nie czyta". Nie przeżywała też rozterek męża, którego często nie uważano za polskiego poetę. W zamian wnosiła do ich związku opanowanie i spokój, dzięki czemu dobrze się uzupełniali. Inna sprawa, że lubiła uroki eleganckiego życia: wyjazdy zagraniczne, pobyty w najlepszych uzdrowiskach, kolacje w dobrych lokalach, najnowsze modele samochodów, lokaja, kierowcę czy służbę domową. Jak to kobieta… ©℗

Korzystałem m.in. z J. Siedlecka, „Wypominków ciąg dalszy".

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Wywiad z żołnierzem wyklętym odbitym z rąk UB

Thomas Urban – **Roosevelt po stronie Sowietów**
Maciej Rosalak – **Generałowie zgładzeni w Katyniu**
Piotr Włoczyk – **Tajemnica lotu JAT 367**
Grzegorz Janiszewski – **Kiszczak na tropie złota Hitlera**
Sławomir Koper – **Polski terrorysta w Nowym Jorku**
Mikołaj Iwanow – **Gehenna węgierskich jeńców**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Paradoks niemocy**
Tomasz Stańczyk – **Burzliwa młodość Piłsudskiego**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Piotr Semka

W drugiej połowie XVIII w. Szkoci odkryli piękno włoskiego antyku i Rzym zapełnił się szkockimi artystami oraz architektami. W Wiecznym Mieście osiedli też na wygnaniu szkoccy Stuartowie, co przyciągało konspiratorów marzących o restytucji ich władzy. O szkockiej fascynacji Italią w epoce oświecenia opowiada wystawa w Szkockiej Narodowej Galerii Portretu

Szkocka krata i

Czy jest sens pisać o zagranicznej wystawie, którą widziało się w lutym, przed wybuchem pandemii, skoro granice zamknięte? Jest, bo koronawirus – miejmy nadzieję – w końcu osłabnie, a Szkocką Narodową Galerię Portretu w Edynburgu na nowo otworzą. A skoro muzea zachęcają do wirtualnego zwiedzania, to potraktujcie tak samo mój tekst.

„Szkoci we Włoszech" oraz „Wyobrażenie władzy – wizualna kultura jakobitów" to dwie wystawy opowiadające o wizytach synów Północy pod niebem Italii w drugiej połowie XVIII w. W tym czasie Szkocja ma za sobą burzliwy okres 60 lat wojen. Niepokoje zaczyna rewolucja w 1688 r., kiedy to brytyjski parlament skupiający protestancką opozycję detronizuje legalnego władcę, króla Jakuba II (1633–1701), z wyznania katolika. Zaczyna się okres prób odzyskania tronu przez Stuartów. Ich zwolennicy zyskują nazwę jakobitów – od imienia władcy. Najpierw Jakub II ląduje w 1689 r. w Irlandii, ale przegrywa rok potem decydującą bitwę z nowym władcą Brytanii Wilhelmem Orańskim nad rzeką Boyne. W 1708 r. jego syn, Jakub III (1688–1766), ląduje w Szkocji na czele wojsk francuskich – bez sukcesu. Stuartowie z asystą Francji będą powtarzali próby wywołania kolejnych powstań jakobickich w latach 1715 i 1719 – w obu przypadkach bez powodzenia. Jakub III jest nam bliski z racji małżeństwa z Klementyną Sobieską, wnuczką Jana III Sobieskiego, o czym będzie jeszcze mowa w tym tekście. I wreszcie ok. 1740 r. na scenę historii wchodzi syn Jakuba Karol III, szerzej znany jako Bonnie Prince Charlie. Także on ląduje w 1745 r. w Szkocji i stając na czele klanów górali, rusza na Londyn, co kończy się klęską pod Culloden w kwietniu 1746 r. Stuartowie na wygnaniu osiadają w Rzymie, a brat Karola III – Henryk, książę Yorku – robi karierę jako wpływowy kardynał Kurii Rzymskiej.

W Szkocji, która od 1707 r. znajduje się w stanie Unii z Anglią, zaczyna się nowa epoka. Pod wpływem boomu ekonomicznego Anglii w XVIII w. także w Szkocji następuje rozkwit gospodarczy, artystyczny i umysłowy.

W Edynburgu czy Glasgow zaczyna się gwałtowny rozwój malarstwa, które wcześniej z racji dominacji prezbiterianizmu – surowego odłamu protestantyzmu – było odrzucane. Drugie zjawisko to moda na klasycyzm i antyk – echo publikacji Johanna Winckelmanna. Obie tendencje pchały młodych szkockich malarzy i architektów do Rzymu, w którym działały słynne szkoły artystyczne. Pod względem politycznym istotne było to, że nad Tybrem istniała już społeczność Szkotów, którzy skupili się wokół wygnanych Stuartów.

NA SZLAKU GRAND TOUR

Jednym z pierwszych obrazów na wystawie w Edynburgu jest dzieło Polaka. Namalował je Franciszek Smuglewicz (1745–1807). Ten utalentowany warszawiak dzięki stypendium króla Stanisława

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

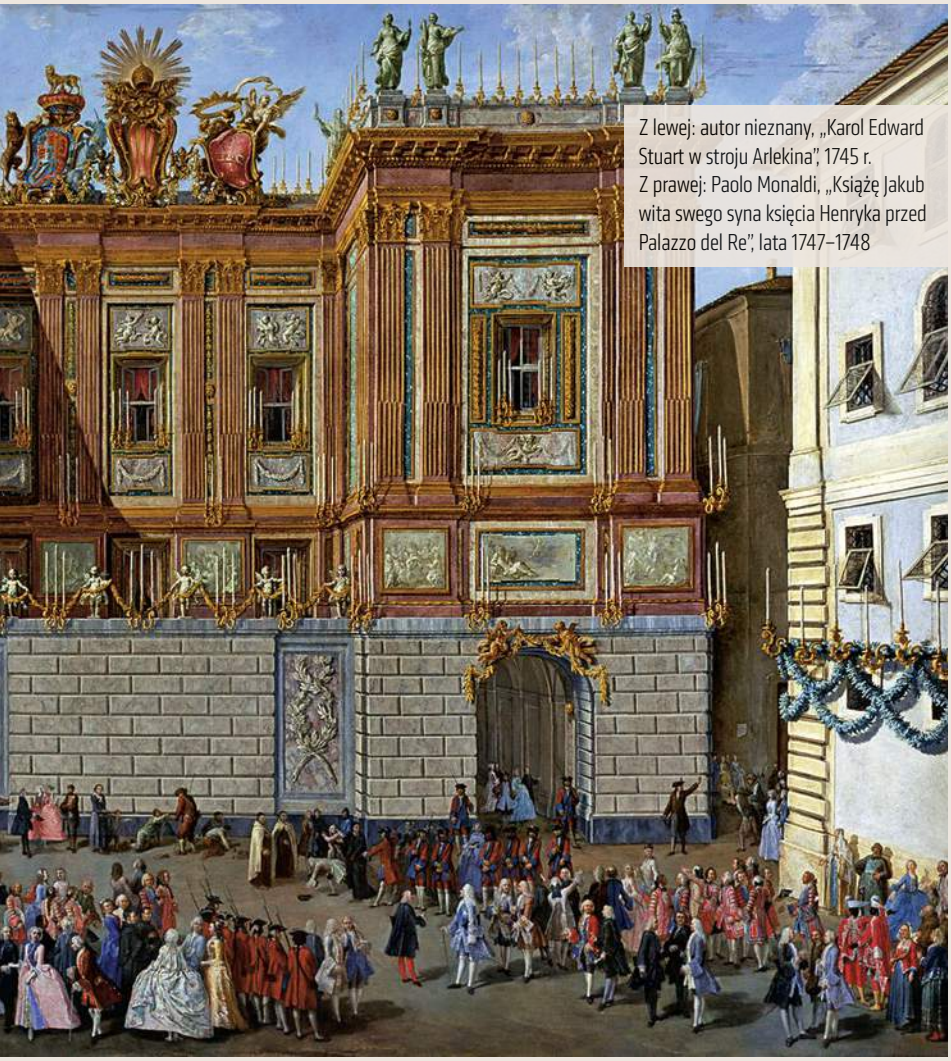

Z lewej: autor nieznany, „Karol Edward Stuart w stroju Arlekina", 1745 r.
Z prawej: Paolo Monaldi, „Książę Jakub wita swego syna księcia Henryka przed Palazzo del Re", lata 1747–1748

włoskie niebo

Augusta wyjechał w 1765 r. do Rzymu na studia do Akademii Świętego Łukasza – czołowej uczelni artystycznej państwa papieskiego.

W Wiecznym Mieście Smuglewicz poznał i polubił katolicką rodzinę Patricka Byresa z Tonley, który zmuszony był do ucieczki ze Szkocji po klęsce powstania jakobitów w 1745 r. Syn pana Byresa – James – zakochał się w sztuce antyku i po intensywnych studiach zaczął robić karierę jako „Cicerone" młodych angielskich arystokratów, którzy przybywali do Rzymu w ramach tzw. Grand Tour. Były to podróże po Europie mające poszerzyć ich horyzonty polityczne i artystyczne. Byres zdobył pozycję cenionego znawcy sztuki, który dzięki swojej wiedzy radził brytyjskim lordom, jak unikać wciskania sobie podróbek. Ponadto młody Szkot umiał uzyskiwać zgody na wywóz dzieł sztuki mimo surowych przepisów celnych państwa kościelnego. Młody Smuglewicz, któremu Byres pomagał, odwdzięczył się portretem jego szkockiej rodziny na czele z sędziwym panem Patrickiem.

Dwa obrazki z włoskiego etapu życia Kennetha Mackenziego, Lorda Fortrose.

Włosi nazywali takich bogatych szkockich panów mianem „Cavaliere" albo „Milordi". Ze zdziwieniem obserwowali, jak tacy wielmoże z północy osiadali we włoskich pałacach wraz z całymi dworami złożonymi z podróżnych guwernerów, antykwariuszy, francuskich służących i chłopców na posyłki oraz włoskich stręczycieli. Lord Fortrose, który mieszkał przez parę lat w Neapolu, uwiecznił się na tle swoich ulubionych rozrywek. Na pierwszym obrazie uczestniczy w pojedynku szermierki. Na drugim koncertuje wraz z samym Wolfgangiem Amadeuszem Mozartem, który jako 14-latek grał u boku ojca Leopolda w neapolitańskim pałacu Lorda Fortrose 28 maja 1770 r.

Mozartowi przygrywa na skrzypcach kolejny ważny Szkot we Włoszech – sir William Hamilton, brytyjski poseł przy dworze Królestwa Obojga Sycylii w Neapolu. Sama Susan Sontag poświęciła mu wdzięczną powieść „Miłośnik wulkanów", opublikowaną u nas w 1997 r. Sir William zainicjował badania archeologiczne w Pompejach i zgromadził wokół siebie badaczy antyku. Szybko stworzył jedną z najlepszych ówczesnych kolekcji dzieł antyku, którą potem sprzedał British Museum. Schyłek życia 61-letniego Hamiltona naznaczyła ślepa miłość do młodej tancerki Emmy Lyon. Dyplomata ożenił się z piękną Emmą, by potem szybko zyskać opinię najsłynniejszego rogacza na południe od Rzymu. Jak widać, wyrafinowany smak artystyczny nie przeszkadza skłonności do autokompromitacji.

I wreszcie stajemy przed portretem szkockiego bohatera tragicznego. To autoportret młodego malarza Johna Runcimana (1744–1768). Młody malarz namalował siebie w trakcie medytacji nad statuą „Dzień" dłuta Michała Anioła.

Ten edynburczyk wyjechał w 1767 r. wraz z bratem Alexandrem z Londynu do państwa papieskiego, aby studiować tematy z dziejów Greków i Rzymian. Talent Runcimana wywołał zazdrość Jamesa Neweya – Szkota z podobnymi ambicjami, który rozpętał kampanię oszczerstw przeciwko zdolniejszemu koledze.

Zaszczuty Runciman opuścił Rzym i wyjechał do Neapolu, gdzie szybko nabawił się gruźlicy i zmarł. Przed opuszczeniem Rzymu zrozpaczony zniszczył większość swoich dzieł. Autoportret, który można zobaczyć na wystawie, to jedno z niewielu arcydzieł, które ocalały z niszczycielskiego szału.

I na koniec wizerunek Gavina Hamiltona (1723–1798), innego prekursora archeologii antycznej. To on rozkopał ukryte pozostałości po Willi Hadriana w Tivoli, wydobywając liczne rzeźby dla brytyjskich kupców. A jednocześnie jako zdolny malarz wykonał malowidła

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

dla kościoła San Sant'Andrea degli Scozzesi, w którym mszy słuchali Stuartowie i rzymscy jakobici.

KRÓLOWIE ZA WODĄ

Tak dochodzimy do drugiej części wystawy poświęconej Stuartom i „sprawie jakobickiej".

Płótno Paolo Monaldiego i dwóch pomniejszych współautorów pokazuje moment chwały Stuartów w Rzymie. Jest 1747 r. Rok wcześniej Karol III poniósł klęskę pod Culloden i musiał znów uciekać ze Szkocji. Jego ojciec Jakub III, od lat rezydujący w Rzymie, ze smutkiem przyjął porażkę syna. I oto papież Benedykt XIV postanawia osłodzić gorycz głowie rodu Stuartów. Syn Jakuba a brat Karola – Henryk Benedykt Stuart (1725–1807), książę Yorku, który wybrał karierę duchowną – zostaje w wieku 22 lat mianowany przez papieża kardynałem. Obraz nosi tytuł: „Książę Jakub wita swego syna Księcia Henryka przed Palazzo del Re". Na wielkim płótnie oglądamy efektowną scenę rodzajową z epoki rococa. Stuart senior wita syna ubranego w czarny płaszcz i czerwone kardynalskie pończochy. W gratulacyjnej kolejce do pretendenta do tronu Wielkiej Brytanii stoi cała grupa dworzan. Tuż obok kompania honorowa gwardzistów i obserwujący ceremonię cały kwiat rzymskiej arystokracji. Tuż obok znów trafiamy na polski wątek – wydarzenie, które rozegrało się 38 lat wcześniej, a więc uroczystość potwierdzenia małżeństwa Jakuba III z Klementyną Sobieską 1 września 1719 r. w kościele w Montefiascone koło Rzymu. Wnuczka zwycięzcy spod Wiednia urodziła Jakubowi dwóch synów – Henryka i Karola, bohatera nieudanej inwazji na Szkocje z lat 1745–1746. Małżeństwo nie było szczęśliwe. Klementyna, skarżąc się na brutalność męża, schroniła się do klasztoru.

Nie przyćmiło to jednak niebywale żywotnej popularności Stuartów.

Na wystawie obejrzeć można niewielkie portreciki Jakuba, a potem Bonnie Prince Charliego, które szmuglowano na wyspy i które nosili w ukryciu jakobici z rozmaitych siatek konspiracyjnych. Politycznie „Król za wodą" wypadł z gry, ale w świadomości zbiorowej wyspiarzy tkwił zaskakująco długo.Do dziś na historykach robi wrażenie, jak silny był wśród Brytyjczyków kompleks winy za strącenie z tronu prawowitej dynastii Stuartów. W Rzymie pilnie inwigilowali ich brytyjscy agenci, ale na arystokratów brytyjskich odwiedzających Wieczne Miasto legalni władcy ich kraju działali często jak magnes. Zaglądano więc z ciekawością do kościoła Sant'Andrea, gdzie dwór Stuartów słuchał niedzielnych mszy. Odwiedzano rzymski teatr, gdzie także mieli swoją lożę, byleby tylko choć z daleka zobaczyć dumnych pretendentów.

Agostino Solucci, „Potwierdzenie małżeństwa Jakuba III Stuarta z Klementyną Sobieską", 1735 r.

Pietro Fabris, „Apartamenty Kennetha Mackenzie, pierwszego księcia Seaforth, w Neapolu", 1771 r. FOT. SZKOCKA NARODOWA GALERIA PORTRETU W EDYNBURGU (X4)

Na korzyść Karola i jego brata kard. Henryka zaczęła z czasem działać romantyczna legenda. Członkowie panującej dynastii hanowerskiej, którzy podążając za ówczesną modą, także odwiedzali Rzym – czuli się już na tyle mocni, by traktować ostatnich Stuartów z pewną dozą dżentelmeńskiej kurtuazji.

W Rzymie dojść miało do zupełnie przypadkowego spotkania w ciasnym zaułku karocy kard. Henryka Stuarta – ostatniego spadkobiercy praw do tronu brytyjskiego – z pojazdem księcia Augusta Fryderyka, księcia Sussex, jednego z synów króla Jerzego III.

Książę August nie tylko pospiesznie ustąpił pierwszeństwa pojazdowi Henryka, lecz także wysiadł z powozu i w dwornej rozmowie tytułował Stuarta „Waszą Królewską Wysokością".

Patrzę na szkic Davida Allana, jednego z najlepszych malarzy szkockich, który piórkiem nakreślił w 1773 r. portret kardynała w czasie porannych modłów w bazylice św. Piotra. Jest w tym szkicu jakiś rys zazdrości protestanta wobec splendoru katolicyzmu i ciekawości wobec ostatniego Stuarta. Podobny rys zazdrości zauważyłem w zachwytach amerykańskiej prasy nad wizualnym dramatyzmem niedawnej samotnej modlitwy w papieża Franciszka na placu św. Piotra.

Kardynał Henryk, aż do swojej śmierci korzystając z zysków z bogatych posiadłości, wspomagał jakobickich emigrantów aż do swej śmierci w 1807 r. Cała trójka ostatnich Stuartów – Jakub III, Karol III, kard. Henryk – oraz Klementyna Sobieska zostali uhonorowani zaszczytem pochówku w bazylice św. Piotra. Polscy turyści podziwiają dziś pomnik ku ich pamięci dłuta samego Antonia Canovy.

Maria Niemojowska, polska biografka Stuartów, pisząc o losach jakobitów, wskazała, że nieobcy był jej los wszystkich emigracji: „Zamknięte w sobie, w siebie wsłuchane, choć zarazem wewnętrznie skłócone, ślepe na otaczającą rzeczywistość, nieświadome biegu historii i nieubłagane w nienawiści do rodzących się zmian – spełniają często ważne zadanie: nie pozwalają zwycięskiej stronie zapomnieć, że jej zwycięstwo było rezultatem przemocy. [...] A kiedy wszystko zawiedzie, odtrąci ich świat i zapomni historia – przychodzi legenda i to ona często ocala tych, którzy sami bezpłodnie szamotali się, by ocalić to, co odrzucił nurt życia".

Duża wystawa poświęcona jakobitom 213 lat po śmierci ostatniego członka dynastii najlepiej pokazuje, że Szkocja łaskawa jest dla pamięci o wygnanej dynastii. Wyginąć w dobrym stylu też trzeba umieć.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawy „Szkoci we Włoszech" oraz „Wyobrażenie władzy – wizualna kultura jakobitów" w Szkockiej Narodowej Galerii Portretu w Edynburgu są zawieszone na czas pandemii. Szczegóły na nationalgalleries.org.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Godność masowego przekazu

Auschwitz-Birkenau. Niemiecki nazistowski obóz koncentracyjny i zagłady. Tak brzmi poprawne historycznie określenie, które w 2007 r. na wniosek Polski zostało oficjalnie przyjęte przez UNESCO. I chociaż wiedza o tym, że obozy koncentracyjne i ośrodki zagłady na okupowanych przez Niemców ziemiach były tworzone i administrowane przez państwo niemieckie, jest powszechnie dostępna, to od lat w mediach, na ulotkach, a nawet w podręcznikach historii pojawiają się nieprawdziwe, dezinformujące i szkalujące dobre imię Polaków określenia, takie jak „polskie obozy śmierci", „polskie komory gazowe", „polskie ludobójstwo", „polskie SS" etc. Jednocześnie Niemcy, pisząc lub mówiąc o drugiej wojnie światowej i zbrodniach, których się dopuścili, zaczęli zastępować określenie „Niemcy" i „niemieckie" słowami „hitlerowskie" czy „nazistowskie".

KŁAMSTWA W MEDIACH

Kłamliwe określenia mówiące o „polskich obozach" w ciągu ostatniej dekady pojawiały się wielokrotnie, m.in. w mediach brytyjskich, amerykańskich, niemieckich, francuskich, duńskich, austriackich, norweskich, izraelskich, słowackich, włoskich czy hiszpańskich.

Niektóre redakcje, broniąc użycia tego fałszywego terminu przez swoich dziennikarzy, stosują prosty argument: chodzi jedynie o skrót myślowy, mający przybliżyć czytelnikom lub widzom lokalizację obozów koncentracyjnych. Z tego powodu określenie „polski obóz koncentracyjny" zaakceptowała jako dopuszczalne Norweska Rada Etyki Mediów po tym, jak zostało one użyte w sierpniu 2015 r. w recenzji na łamach „Avisa Sør-Trøndelag".

Taki argument jest jednak nietrafiony z kilku powodów. Po pierwsze, niemieckie obozy istniały również na terenach Francji czy Holandii – tymczasem rządy w Paryżu i Hadze nie muszą walczyć z narracją o „francuskich" czy „holenderskich" obozach koncentracyjnych. Po drugie, takie określenie u osób słabo znających historię Europy może tworzyć wrażenie, że to Polacy zakładali obozy koncentracyjne oraz że działali wraz z niemieckim okupantem, co jest rzecz jasna nieprawdą.

Mimo kolejnych sprostowań i wyroków sądowych Polska wciąż musi walczyć o coś, co powinno być oczywiste: obozy zagłady były niemieckie, a nie polskie

Po trzecie wreszcie, te same zachodnie media, które używają określenia szkalującego dobre imię Polaków, nie piszą o „nowojorskich atakach z 11 września", choć przyjmując logikę geograficzną niektórych redakcji, taki termin najlepiej oddawałby lokalizację dokonanej przez islamistów zbrodni w 2001 r. Oczywiście użycie tego typu określeń to czasem przejaw zwykłej ignorancji. W USA nawet wykształconym dziennikarzom czy politykom zdarza się używać tego określenia.

Słów „polski obóz śmierci" w maju 2012 r. nieopatrznie użył nawet prezydent USA Barack Obama.

I zrobił to podczas ceremonii pośmiertnego uhonorowania Prezydenckim Medalem Wolności Jana Karskiego, a więc człowieka, który jako jeden z pierwszych opowiedział Rooseveltowi o Holokauście i błagał o podjęcie działań. Obama wyraził potem ubolewanie. „Nieumyślnie użyłem sformułowania »polskie obozy śmierci« w swoim przemówieniu" – napisał.

Kłopot w tym, że nie zawsze użycie tego określenia może być tłumaczone „przejęzyczeniem" czy zwyczajną ignorancją. Szkalującego Polaków określenia używają bowiem również media niemieckie, austriackie czy izraelskie. Dlatego na pojawiające się kłamstwa stanowczo reagują polscy obywatele, politycy, media, a także placówki dyplomatyczne (w ciągu ostatniej dekady liczba interwencji w takich sprawach szacowana jest na ok. 1,5 tys.).

„W kwestii niemieckich obozów zagłady nie ma miejsca na skróty myślowe. Zło trzeba nazywać złem. Po imieniu. Wprost. Bez żadnych niedomówień. Polacy podczas drugiej wojny światowej uratowali tysiące Żydów. To nazwiska Polaków pojawiają się najczęściej na liście Sprawiedliwych wśród Narodów Świata. Historię zakłamują tchórze, dyletanci lub potomkowie oprawców próbujący umniejszyć winę swoich przodków. Krzyk ich sumienia nie może zagłuszyć prawdy historycznej. Prawdy, która na niemieckich rękach kładzie miliony niewinnych ofiar" – komentuje wiceminister sprawiedliwości Marcin Romanowski.

Za stanowczymi słowami wiceministra sprawiedliwości idą równie stanowcze czyny. W wielu przypadkach skuteczne. Udaje się wywalczyć szybką poprawę błędu na portalu internetowym lub publikację sprostowania w wydaniach drukowanych. Niektóre redakcje czy agencje prasowe wprowadziły stosowne zmiany do tzw. stylebooków. Dla przykładu Associated Press w 2012 r. radziła swoim dziennikarzom: „Na określenie obozów z drugiej wojny w krajach okupowanych przez nazistowskie Niemcy nie używaj fraz takich jak »polskie obozy śmierci«, które wprowadzają w błąd, nie rozróżniając miejsca i sprawców. Zamiast tego używaj na przykład »obozy śmierci w okupowanej przez nazistów Polsce«".

WALKA O PRAWDĘ

Nie zawsze redakcje są jednak chętne do tego, aby naprawić błąd i odpowiednio za niego przeprosić. W grudniu 2016 r. krakowski sąd apelacyjny nakazał niemieckiej telewizji ZDF zamieścić na portalu zdf.de przeprosiny Karola Tandery, byłego więźnia Auschwitz, za użycie w 2013 r. określenia „polskie obozy śmierci".

Niemiecki nadawca próbował wykręcić się od wykonania wyroku i odwołał się do niemieckiego wymiaru sprawiedliwości. Sądy w Moguncji i Koblencji przyznały jednak, że sformułowanie „polskie obozy zagłady" może „wywołać u przeciętnego odbiorcy wrażenie, że nie chodzi tylko o geograficzną lokalizację, lecz także narodową", co sugerowałoby, że obozy były tworzone i prowadzone przez Polaków.

Również w późniejszych sprawach polskie sądy konsekwentnie zgadzały się z argumentem, że nieprawdziwe informacje o tzw. polskich obozach koncentracyjnych naruszają takie dobra osobiste, jak tożsamość narodowa czy godność narodowa. Chociaż dzięki skutecznym interwencjom polskich władz oraz obywateli szkalujące Polaków określenia pojawiają się w mediach coraz rzadziej, to w walce o dobre imię i prawdę historyczną jest jednak jeszcze wiele do zrobienia.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Jaki będzie Kościół po epidemii?

Krystian Kratiuk

Z próbą rozpisania scenariuszy na czas „po epidemii" nie ma co zwlekać. I dotyczy to rzecz jasna również, a może przede wszystkim, Kościoła w Polsce

Sytuacje ekstremalne wywołują ekstremalne emocje, a te z kolei wywołują ekstremalne reakcje. Z taką ekstremalną sytuacją mamy do czynienia i dziś, podczas lockdownu spowodowanego koronawirusem. Ekstremalne reakcje wywołane ekstremalnymi emocjami stały się również sprawą Kościoła, który musi postawić sobie kilka pytań, a od odpowiedzi na nie będzie zależeć najbliższa przyszłość katolickiej wspólnoty.

Staliśmy się wszak świadkami sytuacji bezprecedensowej – oto jak Europa długa i szeroka, wierni nie mogą uczestniczyć w Mszy Świętej. Słusznie podnosili liczni internetowi komentatorzy, że to, co nie udało się Hitlerowi i Stalinowi, ich potężnym armiom i machinom propagandowym, udało się niewidzialnej gołym okiem cząstce zakaźnej. Jakby tego było mało, pandemia uniemożliwiła katolikom udział w uroczystościach Wielkiego Postu, Wielkiego Tygodnia i Wielkiej Nocy – przypadła bowiem na najważniejszy dla Kościoła okres w ciągu roku. Wywoływało to zarówno refleksyjne przemyślenia, jak i frustrację wierzących. W zdecydowanej większości nie mogli oni wszak uczestniczyć w nabożeństwach ani przyjmować Komunii Świętej czy przystąpić do spowiedzi. A warto zdać sobie sprawę, że owa rzeczywistość duchowa wciąż stanowi dla katolików (przynajmniej dla części z nich) kwestię o wiele ważniejszą niż sprawy doczesne. A porównywanie wywołanego rządowymi obostrzeniami dramatu katolików – którym stało się zamknię-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. VATICAN/POOL/EAST NEWS

cie kościołów – do zamknięcia parków, kin, teatrów czy barów dla innej grupy społecznej, świadczy wyłącznie o godnym najwyższego pożałowania uwiądzie intelektualnym publicystów sugerujących podobieństwo tych nieporównywalnych rzeczywistości.

RÓŻNE REAKCJE BISKUPÓW

Dla niejednego katolika na całym świecie szokiem mogła okazać się postawa niektórych biskupów, szczególnie ochotnie ogłaszających odwołanie udziału ludu w Mszach Świętych albo wręcz całkowite zamknięcie kościołów. Tak było najpierw we Włoszech, gdzie co poniektórzy biskupi wręcz wyprzedzili rządowe restrykcje i sami zdecydowali o zawieszeniu publicznego sprawowania kultu, a potem w całej Europie. Na tle zakazów udziału w Mszach w zgodzie z państwowymi nakazami w różnych miejscach Starego Kontynentu początkowo nie najgorzej wyglądała sytuacja katolików w Polsce – wszak tutejszy rząd w pierwszym odruchu ograniczył udział w nabożeństwach do 50 osób. Gdy więc w Europie wierni odbijali się od pozamykanych drzwi świątyń, polscy biskupi udzielali szeroko dyspensy od udziału w niedzielnych Mszach, ale kapłani wciąż mogli liczyć na obecność kilkudziesięciu osób na każdej Mszy. Choć nie wszędzie – już po pierwszym ograniczeniu np. gliwicki ordynariusz Jan Kopiec od razu ogłosił, że zabrania udziału wiernym w Mszach do odwołania.

Dla niejednego katolika szokiem mogła okazać się postawa niektórych biskupów, ochotnie ogłaszających zamknięcie kościołów

Wiele wskazuje na to, że polscy biskupi wiedzieli o rządowych planach – przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski ogłosił bowiem zaledwie kilka minut po ogłoszeniu przez ministra Szumowskiego ograniczeń, że zaleca zastosowanie się do nich.

Mniej więcej w tym samym czasie rząd Czech zakazał tamtejszym katolikom uczestnictwa w Mszy Świętej. Kardynał Dominik Duka odbył jednak rozmowę z członkami Państwowej Rady Bezpieczeństwa, po której zdecydowano się nieco złagodzić obostrzenia – ograniczając do 10 osób (zachowujących między sobą odpowiedni dystans) udział w Mszy.

W Polsce obostrzenie do 50 osób trwało dwa tygodnie – potem rząd ogłosił absurdalne i niesprawiedliwe restrykcje, z których wynikało, że w kościele (zarówno małym, jak i największym) może być maksymalnie pięć osób, podczas gdy w supermarketach kilkadziesiąt. Nic nam nie wiadomo o tym, aby biskupi ogłosili jakikolwiek sprzeciw wobec tej decyzji, de facto zakazującej uczestnictwa wiernych w Mszach. Niektórzy hierarchowie zdecydowali się dołączyć do biskupa Kopca, zakazując komukolwiek udziału w nabożeństwie, inni dostosowali się do żądanych limitów, nie ustawszy w gorącym zachęcaniu wiernych, by korzystali z dyspensy i do kościoła nie przychodzili.

Co więcej, gdy wydawało się już, że na Wielkanoc do kościołów znów będzie można wpuścić do 50 osób, prymas Polski abp Wojciech Polak ogłosił w mediach, że oczekuje od rządu… przedłużenia restrykcji.

W innych częściach świata, choćby w Kazachstanie, bp Athanasius Schneider ogłosił, że wobec nowej „dyktatury sanitarnej" wielu hierarchów „zareagowało pospiesznie i wykazując się zbytnią paniką". Sytuacja była nowa, nie dziwi więc, że zdania wśród biskupów są różne. Warto jednak zaznaczyć, że wśród urzędujących biskupów bp Schneider w tak zdecydowanej postawie pozostał osamotniony.

CO DALEJ?

Kościół będzie musiał odpowiedzieć sobie na pytanie, w jaki sposób to doświadczenie (dramatyczne dla wielu wiernych i z pewnością niejednego kapłana) zmieni katolicyzm i katolików, szczególnie w Polsce. To przecież w naszym kraju Kościół stanowi – w porównaniu z innymi miejscami w Europie – wspólnotę szczególnie żywotną. To w Polsce co niedziela kościoły wciąż się zapełniały, ludzie wciąż dość powszechnie chodzili do spowiedzi, to tutaj wciąż większość wiernych przyjmowała Komunię Świętą do ust i na klęczkach.

Jak będzie po epidemii? Czy katolicy po epidemii wrócą do świątyń? Czy w jakiejkolwiek innej chorobie nie zdecydują się zrezygnować z udziału w Najświętszej Ofierze? Czy gdy w okolicy szaleć będzie grypa, wyjdą z domu? Jaka część z nich uzna, że skoro biskupi i księża przez miesiąc (dwa, trzy?) zapewniali, że można modlić się w domu tak samo dobrze jak w kościele, to właściwie po co do tego kościoła chodzić? Ilu osobom uda się na nowo wytłumaczyć, że udział w Mszy Świętej w świątyni w żaden sposób nie równa się oglądaniu transmisji telewizyjnej? Może okazać się to rzeczywiście bardzo trudne, skoro niejeden wysoko postawiony kapłan z nieskrywanym entuzjazmem chwalił katolików za to, że w niedzielę zostali w domu.

Czy po epidemii katolicy będą wciąż uznawać Mszę Świętą i Najświętszy

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Sakrament za skarby wiary? Przez lata przekonywani byliśmy wszak, że Komunia Święta jest dla nas niczym kroplówka utrzymująca przy życiu, dziś słyszymy natomiast, że tak naprawdę to spokojnie można się bez niej obejść. Które głosy skuteczniej przebiją się do katolików zamkniętych w swoich domach z niekatolickimi wszak kanałami telewizyjnymi – te świadczące o wielkim bólu niemożności uczestniczenia w Mszy czy te chwalące nas za to, że „zdaliśmy egzamin z postawy obywatelskiej", a także, jak mówi prymas Polak (ochoczo cytowany przez media do tej pory niesprzyjające katolikom), „nie grzeszyliśmy przeciwko piątemu przykazaniu", bo do kościoła nie poszliśmy?

Czy po epidemii ci polscy katolicy, którzy jednak do świątyń pójdą, wciąż będą chętnie przyjmować Komunię Świętą do ust, czy ta praktyka w Polsce zmieni się na wzór Europy Zachodniej? Jakie to będzie miało konsekwencje? Jak wyglądać będzie wiara w realną obecność Chrystusa w Eucharystii po powtarzanych w dobie kwarantanny po tysiąckroć zachętach do przyjmowania Komunii do ręki, co miało być rzekomo praktyką bardziej higieniczną?

Czy po epidemii, ale i w jej trakcie (gdyby niepokojąco się przedłużała) naszym parafiom wystarczy pieniędzy na codzienną egzystencję? Szczególnie w tych miejscach, w których jaka taka płynność finansowa zależała w miażdżącej większości od cotygodniowej tacy? Ilu katolików czuje się tak silnie związanych z parafią, że w dobie społecznej izolacji wpłaca pieniądze na jej konto przelewem internetowym? Jakie konsekwencje to nagłe zablokowanie środków finansowych będzie miało dla poszczególnych kurii?

To oczywiście tylko niektóre z licznych pytań, na które już dziś powinni odpowiadać sobie proboszczowie i biskupi oraz na przykład członkowie specjalnych ciał doradczych ds. sytuacji kryzysowych powołanych w polskich diecezjach – dobrze by było, aby takie powstały. Czy jednak powstały i co uradzą – tego dowiemy się zapewne po epidemii. Wtedy też poznamy odpowiedzi na dziesiątki pytań, które nasuwają się przecież same.

ABYŚCIE BYLI JEDNO

Kościół – i to nie tylko w Polsce – mógłby też wykorzystać czas „po epidemii", aby odpowiedzieć sobie na pewne pytania i wątpliwości duszpastersko-doktrynalne, które podczas kwarantanny ujawniły się ze zwielokrotnioną siłą. Część z tych tematów już poruszyliśmy – trzeba powiem na dobre ustalić, czy to dobrze, że ludzie chodzą do kościoła, i czy rzeczywiście mamy prawo budować chóry klaszczące, gdy do kościoła nie idziemy.

I dalej. Czy klękanie przed telewizorem to to samo co klęczenie w świątyni podczas mszy? Czy Eucharystia to pokarm i czy każdy ma prawo go przyjmować, gdy czuje się jej „głodny", czy też można go za taką potrzebę wyśmiać od ciemnogrodzianina i zrównać jego postawę z „wiarą w czary"? Wszak takie głosy pojawiły się w czasie koronawirusowej debaty również z ust ludzi Kościoła – głosy, na które żaden oficjalny czynnik nie zareagował.

Czy klękanie przed telewizorem to to samo co klęczenie w świątyni podczas Mszy?

Czy jesteśmy wspólnotą i owa wspólnotowość jest dla nas ważna, czy powinniśmy (fakt, że w sytuacji nadzwyczajnej) entuzjastycznie gratulować sobie przyjęcia za swoje cudzego wszak do tej pory hasła „módl się w domu po kryjomu" i filozofii – również do tej pory nie naszej – według której „Pan Bóg jest wszędzie i modlić się można równie dobrze w kościele, jak i w lesie czy górach"?

Przede wszystkim należałoby też ustalić i ogłosić to urbi et orbi, czy wierzymy w Boga, który interweniuje i może karać świat, czy takie widzenie Stwórcy to tylko jakaś zamierzchła przeszłość rodem z nieoświeconych stuleci intelektualnego mroku. Debata (a raczej z jednej strony pobożne intuicje, a z drugiej strony podszyta wyższością pogarda dla innego stylu myślenia) na ten temat też przetoczyła się w Internecie i prasie katolickiej – jej efektem jest ogromne zamieszanie i podział wśród Chrystusowej wspólnoty. Tak na przykład bp Schneider ogłosił, iż wierzy, że pandemia jest karą Bożą za niedawne ubóstwienie Pachamamy w Watykanie, amerykański kard. Raymond Burke zasugerował, że Bóg może karać grzeszny świat pogrążony w ciemności, a z drugiej strony liczni hierarchowie zdecydowanie twierdzili, że takie myślenie jest przejawem herezji, gdyż Bóg kocha swoje dzieci, jest miłosierny i nigdy nie karałby świata epidemią. Co prawda coś zgoła odmiennego głosili liczni wielcy święci Kościoła, ale może jakaś odpowiedź na takie nowe dylematy katolików nadejdzie z Watykanu. Na razie papież Franciszek ogłosił jednak, że pandemia może być odpowiedzią… natury na „powodującą zmiany klimatu działalność człowieka". Jednak z tej akurat wypowiedzi obie strony sporu o „karę Bożą" (dobierając odpowiednie środki retoryczne) mogą wyciągnąć wnioski świadczące o swojej racji.

GRACZ NIEOBECNY

W sprawie pandemii i Kościoła pojawia się jeszcze jedno pytanie – ale na nie akurat swoją postawą w ostatnich tygodniach Kościół powszechny już chyba sobie odpowiedział.

Oto przecież na naszych oczach toczy się bitwa o to, jak będzie wyglądał świat przyszłości – kto na tym świecie będzie hegemonem, kto i w jaki sposób wykorzysta światowy lockdown, a kto poniesie największe straty. Na razie prym wiodą ośrodki o proweniencji antychrześcijańskiej – komunistyczne walczące z religią Chiny oraz organizacje dążące (nierzadko jednocześnie) do globalizacji, inwigilacji i depopulacji. I tak odpowiedzią na światowy kryzys gospodarczy okaże się zapewne jeszcze większy udział wychodzącej już z epidemii i pomagającej innym krajom Chińskiej Republiki Ludowej. Odpowiedzią na kryzys globalizacji będzie polityka skupiona wokół hasła „Jeszcze więcej globalizacji", odpowiedzią na rodzący się na naszych oczach dyktat sanitarny będzie jeszcze bardziej rozpowszechniona inwigilacja, a odpowiedzią na konieczność udrożnienia służby zdrowia będą kolejne zapędy depopulacyjne, a więc sztucznie ograniczające liczbę ludności na świecie. Wszystko to można przeczytać w większych i mniejszych analizach ukazujących się pod każdą szerokością geograficzną.

I tylko jeden spośród globalnych graczy na tej światowej planszy wydaje się dziś milczący i ograniczający swą misję, świadomie lub nieświadomie tracąc kolejkę w nowym rozdaniu.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. ADOBE STOCK

HOLENDRZY KONTRA NOWOCZESNOŚĆ

W Internecie krąży już mnóstwo teorii na temat powstania nowego koronawirusa. Jedną z nich jest... rzekoma próba wpływania na ludzi za pomocą sieci 5G. Doszło do tego, że w Holandii odnotowano już serię ataków na maszty nadawcze telefonii komórkowej. Wandale wymalowali też tam hasła dające do zrozumienia, że to ruch sprzeciwiający się wprowadzaniu technologii 5G. Do podobnych ataków doszło w Wielkiej Brytanii.

LICZYĆ JAK W CHILE

Statystyka daje potężne możliwości. Zaprezentowały je władze Chile w sprawie osób, które wyzdrowiały z COVID-19. Według oficjalnych danych rządu tego kraju w ubiegłym tygodniu było takich osób 2646. Minister zdrowia Jaime Mañalich dodał jednak, że w tej liczbie są zarówno ludzie, którzy po 14 dniach obserwacji nie mają już objawów choroby, jak i zmarli. Bo oni też „nie stanowią źródła zakażenia". Gdy takie liczenie wzbudziło pytania dziennikarzy, minister stwierdził, że taką metodę klasyfikacji przyjęto w porozumieniu z „międzynarodowymi ekspertami".

WYPADŁ Z OKNA, DOSTAŁ MANDAT

36-latek w Moskwie robił sobie selfie i wypadł z okna wysokiego bloku. Wisiał na dużej wysokości, trzymając się parapetu, więc jego dziewczyna zadzwoniła po pomoc do służb. Policjanci przyjechali, wciągnęli mężczyznę do środka i wypisali mu mandat. Ponieważ pan przebywał u koleżanki, złamał nakazy dotyczące izolacji społecznej obowiązujące w Rosji – nakazuje się tam pozostawanie w domach i zakazuje przemieszczania się.

NUMER Z ŻÓŁWIEM

We Włoszech – gdzie bardzo wielu ludzi zachorowało i umarło na COVID-19 – wprowadzono radykalne obostrzenia. Z domu można wyjść tylko w związku z uzasadnioną potrzebą. To zakupy jedzenia, leków, ewentualne wyprowadzenie psa. 60-letnia mieszkanka Rzymu próbowała spacerować z innym zwierzęciem. Karabinierzy uznali jednak, że spacer z żółwiem nie jest konieczny. Kobietę ukarano mandatem w kwocie 400 euro.

KATAPULTOWAŁ SIĘ Z PREZENTU

Pewien 64-latek z Francji w ramach prezentu otrzymał od kolegów możliwość lotu wojskowym myśliwcem. Nie bardzo chciał lecieć, ale nie potrafił odmówić nagabywaniu znajomych. Nie wzięto pod uwagę m.in. względów medycznych, nie wyregulowano mu też pasów bezpieczeństwa. Tuż po starcie spanikował i chwycił przez przypadek dźwignię katapulty. Wystrzelił się z myśliwca przy prędkości przekraczającej ponad 500 km/h i zgubił hełm. Ostatecznie jednak miękko wylądował na polu. Nie odniósł poważniejszych obrażeń. ©℗

Łukasz Zboralski

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Nadchodzi „nowa normalność"

JACEK PRZYBYLSKI

Już tylko optymiści wierzą, że koronawirus tak jak nagle pojawił się w naszym życiu, tak samo szybko da nam odetchnąć. Trzeba więc przygotować się na to, że ożywienie po Recesji Wielkiego Zamknięcia zamiast schematu litery V przybierze kształt gryzmołów przypominających U lub nawet W (byle uniknąć litery L).

I choć rządy przekrzykują się w ogłaszaniu planów odblokowywania życia, to jednocześnie epidemiolodzy ostrzegają przed drugą falą zarazy, która ma nastąpić jesienią, a być może wcześniej, jeśli ograniczenia zostaną poluzowane w nieprzemyślany sposób.

Eksperci ostrzegają też, że do pełnej wolności, którą cieszyliśmy się przed pandemią, będziemy mogli wrócić najwcześniej w 2021 r. lub dopiero w 2022 r. Na naszych oczach tworzy się więc „nową normalność". Chińczycy zapomnieli np. o poprawności politycznej i do wielu hoteli czy restauracji nie wpuszczają obcokrajowców (gdyby w lutym zakazać Azjatom wstępu do Europy, to wrzask podniósłby się na pół świata). Dużo rozsądniej do życia w czasach pandemii podchodzi Korea Południowa. Dzięki mądrej strategii powszechnego testowania udało im się opanować liczbę zakażeń. Lekcje odbywają się zdalnie. Skrócono letnie i zimowe wakacje. A testy przeprowadza się np. na boiskach piłkarskich, aby kandydaci mogli siedzieć w bezpiecznej od siebie odległości.

Aby nie narażać się na oskarżenia o autorytarne ciągoty, władze w Seulu zgodnie z planem 15 kwietnia przeprowadziły wybory parlamentarne. Klamki do lokali, urny i długopisy dezynfekowano, głosującym mierzono temperaturę, a odkażanie dłoni i noszenie maseczek było obowiązkowe. Efekt: ponad 60 proc. głosujących, czyli najwięcej w XXI w. Jak widać, w nienormalnych czasach ludzie najbardziej cenią sobie normalność. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Epidemiczny radykalizm

Jakub Wozinski

Wielotygodniowe ograniczenia w funkcjonowaniu gospodarki mogą się przyczynić do społecznych niepokojów. W wielu miejscach na świecie już dochodzi do rabowania sklepów, a bieda staje się coraz bardziej dotkliwa

Szacuje się, że aż 41 proc. mieszkańców Europy nie gromadzi praktycznie żadnych oszczędności. Polacy na tle innych narodów nie wypadają źle, jeśli chodzi o samo oszczędzanie, lecz odkładane przez nas kwoty nie należą do najwyższych (średnio ok. 13 tys. zł).

GORĄCO NA SYCYLII

Skłonność do oszczędzania może się w najbliższych miesiącach i tygodniach okazać niezwykle istotna, gdyż cały świat będzie się musiał zmierzyć z zawirowaniami związanymi z gospodarczymi skutkami zwalczania epidemii koronawirusa. O tym, że czekają nas potencjalnie burzliwe czasy, można było się przekonać już pod koniec marca, gdy na Sycylii doszło do pierwszych plądrowań sklepów. Na włoskiej wyspie zrobiło się gorąco, gdy największy operator promów oferujących połączenie z resztą kraju ogłosił bankructwo. Miejscowe gangi wykorzystały sytuację do ataków na sklepy, szczególnie w Palermo.

Istnieje niestety ryzyko, że w obliczu zaistniałego kryzysu mafia będzie próbowała wyprzeć przeżywające ogromne trudności państwo i przejąć rolę faktycznego administratora całego regionu. Pomimo tego, że w mediach najgłośniej jest wciąż o szczególnie dotkniętej epidemią Lombardii, władze będą musiały włożyć bardzo dużo wysiłku w opanowanie sytuacji na południu kraju, gdzie wysłano już dodatkowe siły policyjne. Patrole skierowano w szczególności do ochrony sklepów, które stały się przedmiotem ataków nie tylko ze strony zorganizowanych grup przestępczych, lecz także zwykłych, zubożałych obywateli.

Niepokojące informacje docierają także ze Stanów Zjednoczonych, a w szczególności z najbardziej dotkniętego epidemią choroby COVID-19 Nowego Jorku. Szacuje się, że nawet co szósty policjant pracujący w mieście mógł zostać zarażony, co w połączeniu z ogólnym chaosem wynikającym z nadzwyczajnych okoliczności w znaczący sposób ograniczyło możliwości zwalczania drobnej przestępczości. Na razie nie można jeszcze mówić o masowych napadach na sklepy, lecz policyjne statystyki z Nowego Jorku wykazały, że w ciągu ostatnich trzech tygodni marca liczba napadów na supermarkety wzrosła czterokrotnie.

W wielu miastach USA oraz Europy Zachodniej coraz bardziej powszechnym obrazkiem stają się szczelnie zakryte dyktą witryny markowych sklepów czy restauracji. Obecnie nie dochodzi jeszcze wprawdzie do zmasowanych ataków, jednakże dla właścicieli punktów usługowych wydają się one jedynie kwestią czasu. W drugim tygodniu po wprowadzeniu epidemicznych ograniczeń w USA złożono aż 6,6 mln wniosków o zasiłek dla bezrobotnych. Wedle niektórych szacunków w szczytowym momencie liczba osób pozbawionych pracy wzrośnie aż do 47 mln, czyli aż 32 proc. ogółu osób w wieku produkcyjnym.

Z problemem nagłego wzrostu bezrobocia muszą się zmierzyć także inne kraje. W Norwegii w ciągu miesiąca odsetek niezatrudnionych wzrósł z 2,3 do 10,4 proc. W Hiszpanii od początku marca zwolniono z pracy ponad 800 tys. osób. W Niemczech czy Austrii, gdzie wzorem kryzysu z 2008 r. zamiast redukcji zatrudnienia zdecydowano się skorzystać z systemu ograniczania czasu pracy, skala zwolnień jest znacznie mniejsza, choć zastosowane rozwiązania jedynie skrywają faktyczną skalę problemu. W Polsce zaś coraz bardziej realny staje się scenariusz z blisko 10-procentowym bezrobociem jeszcze przed wakacjami.

Wybuch epidemii koronawirusa stworzył niestety wręcz szklarniowe warunki do rozwoju radykalizmu. Nagły wzrost bezrobocia, spadek poziomu życia, perspektywa wielotygodniowej izolacji oraz widmo nadciągającego kryzysu to wręcz modelowa mieszanka wybuchowa mogąca wkrótce znacząco zmienić polityczny i społeczny krajobraz współczesnego świata. Obecne czasy coraz częściej porównuje się do wielkiego kryzysu, który oprócz ogromnych zawirowań gospodarczych wiązał się także z rosnącą fascynacją radykalnymi ideami. W Europie nowe rzesze wyznawców zyskały: nazizm, faszyzm i komunizm, a idee socjalistyczne zaczęły się cieszyć wielką popularnością nawet w amerykańskim społeczeństwie, które w latach 20. XX w. było zachłyśnięte beztroską konsumpcją.

Jeszcze niedawno w mediach społecznościowych można było zobaczyć mnóstwo nagrań ukazujących mieszkańców Włoch i innych państw, którzy w wymyślny sposób umilali sobie nawzajem życie występami artystycznymi wprost z balkonów i tarasów. Im dłużej trwa obecny kryzys, tym śpiew staje się coraz rzadszy, gdyż miliony osób dotkniętych epidemią coraz częściej zadają sobie pytanie o swoją ekonomiczną przyszłość. Chociaż niektóre kraje wyraźnie „spłaszczyły" już swoją krzywą przyrostu zachorowań, to wizja wielotygodniowych utrudnień i mozolnego powrotu do normalności nie może budzić wielkiego entuzjazmu.

Najnowsze prognozy ekonomiczne przewidują, że po wyraźnym tąpnięciu w 2020 r. w kolejnym roku światowa gospodarka ma już powrócić do względnie normalnego biegu. Rzeczywistość gospodarcza będzie już jednak diametralnie inna. O tym, jak może wkrótce wyglądać gospodarczy krajobraz na naszym kontynencie oraz na całym świecie, wiele mówi chociażby to, że lewicowy rząd Hiszpanii jest już na zaawansowanym etapie prac na rzecz wprowadzenia dochodu gwaranto-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

wanego. To kontrowersyjne rozwiązanie, które nie sprawdziło się do tej pory w żadnym kraju na świecie, może się wkrótce stać popularne także w innych państwach. Rządy widzą w nim potencjalnie skuteczne narzędzie służące do złagodzenia niepokojów społecznych, lecz w praktyce rozdawanie ludziom pieniędzy za sam fakt istnienia może jedynie pogłębić gospodarczy marazm i związane z nim trudności.

Osobną kwestią pozostaje to, że wiele krajów Europy Zachodniej jeszcze przed wybuchem epidemii borykało się z poważnymi problemami związanymi z imigrantami spoza Unii Europejskiej. Bezrobocie wśród nich w krajach Unii wynosiło w ostatnich latach przeciętnie 12–13 proc., a już niedługo może być już nawet kilkakrotnie wyższe. Znajdujące się w recesji gospodarki nie będą w stanie zapewnić nie tylko wystarczającego poziomu zatrudnienia, lecz także odpowiednich środków potrzebnych do sfinansowania świadczeń socjalnych przez państwo.

Dodatkowo potencjalnie sporym źródłem problemów dla świata jest to, że epidemia koronawirusa doprowadziła do destabilizacji politycznej i gospodarczej w wielu krajach rozwijających się. Trwający od wielu lat proces mozolnego wychodzenia ze skrajnej biedy może zostać gwałtownie przerwany i stworzyć jeszcze większą przepaść między krajami bogatymi a Trzecim Światem.

CISZA PRZED BURZĄ

Paradoksem ostatnich tygodni jest to, że wedle większości policyjnych statystyk na całym świecie w wyniku nałożonych ograniczeń liczba przestępstw spadła. Według statystyk polskiej policji przestępczość w ostatnich tygodniach spadła aż o 50 proc. W Anglii poinformowano, że w pierwszych dniach obowiązywania lockdownu notowano średnio o 20 proc. mniej drobnych wykroczeń. W Stanach Zjednoczonych odnotowano zaś ogólny spadek zgonów wynikających m.in. z tego, że ludzie przestali korzystać z aut i tym samym spadła liczba wypadków drogowych (tygodniowo ginie nawet 11 tys. osób mniej). Chwilowe „zamrożenie" życia społecznego i związany z tym ogólny spadek aktywności mogą być jednak bardzo mylące, gdyż po ustaniu ograniczeń miliony ludzi powrócą do codziennych zajęć w zupełnie nowych warunkach ekonomicznych. Historia uczy, że wysokie bezrobocie w czasie ostrej recesji może doprowadzić do bardzo gwałtownych zjawisk.

O tym, że przedłużająca się epidemia niesie ze sobą potencjalne zagrożenie związane z niepokojami społecznymi, świadczy najlepiej zwiększone zainteresowanie bronią. W Stanach Zjednoczonych w marcu zakupiono aż 2 mln sztuk broni i pomimo protestów ze strony lewicy prezydent Donald Trump nie zdecydował się na zawieszenie działalności sklepów z uzbrojeniem, uznając je za szczególnie ważne w dobie obecnego kryzysu.

Ryzyko radykalizacji społecznych nastrojów będzie rosło wraz z każdym kolejnym tygodniem obowiązujących ograniczeń. Pomimo tego, że wiemy dziś o wirusach znacznie więcej niż dawniej i jesteśmy w stanie odpowiednio dostosować się do trudnych wymogów społecznej izolacji, w razie braku środków do życia zbuntować może się nawet najbardziej zdyscyplinowane społeczeństwo. Tym bardziej że dla wielu osób konieczność pogodzenia się z tym, iż świat po koronawirusie może już nie być tak bardzo sprzyjający wygodom i konsumpcji, może być niezwykle przykra.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

IL VOLO
THE BEST OF 10 YEARS
KONCERT
11 LIPCA 2020
ATLAS ARENA ŁÓDŹ
BILETY: PRESTIGEMJM.COM
IL VOLO WEBSITE: ILVOLOMUSIC.COM FB: /ILVOLOMUSIC INSTAGRAM: / @ILVOLOMUSIC
Prestige MJM · DO RZECZY · WP · STRÖER · PRESS SERVICE monitoring mediów · VIXON MEDIA · pap

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Pensja za nic. Dla każdego

Jacek Przybylski

Koronakryzys sprawił, że coraz więcej rządów rozdaje lub zamierza rozdawać pieniądze swoim obywatelom. Nie chodzi tylko o krótkotrwałe zasiłki. Część państw rozważa wprowadzenie na stałe dochodu podstawowego lub jakiejś jego formy. Zachęca do tego papież Franciszek

Ponad 22 mln Amerykanów złożyło w ciągu ostatnich czterech tygodni wnioski o zasiłek dla bezrobotnych. Tak ogromnej i tak szybkiej utraty miejsc pracy w Stanach Zjednoczonych nie widziano od 1948 r. Już obecnie zatrudnienia nie ma więcej niż co 10. Amerykanin. A sytuacja ma się pogarszać, bo w II kwartale Amerykę czeka największy spadek PKB od czasów drugiej wojny światowej. Eksperci brytyjscy spodziewają się, że kraj przejdzie przez najgłębszy kryzys gospodarczy od 1720 r., a pracę straci 2 mln osób. Podobne przykłady można mnożyć.

Cała globalna gospodarka znajdzie się bowiem – według ekspertów MFW – w najpoważniejszym kryzysie od lat 30. XX w.

Rynek pracownika z dnia na dzień skończył się również w Polsce. Z ankiety przeprowadzonej wśród użytkowników portalu GoWork.pl wynika, że utraty pracy boi się aż 63 proc. badanych.

Eksperci nie potrafią wprawdzie oszacować skali recesji ani wielkiego nadchodzącego bezrobocia, ale wcale nie jest wykluczone przekroczenie bariery 10, a być może nawet 20 proc. Banki centralne próbują co prawda uzdrowić świat lekiem na poprzedni kryzys finansowy, ale drukowanie pustych dolarów, euro czy złotych raczej nie pomoże w szybkim przezwyciężeniu recesji wielkiego zamknięcia.

Gwałtowny wzrost bezrobocia i dramatyczny spadek sprzedaży wywołany restrykcjami w poruszaniu się wprowadzonymi przez rządy, aby zatrzymać rozprzestrzenianie się koronawirusa, sprawiły, że władze wielu krajów poważnie rozważają pilne wprowadzenie pewnej wersji dochodu podstawowego lub już teraz są na etapie rozdawania gotówki oraz czeków. Rządzących do tego rozwiązania zachęcają zarówno ekonomiści, tacy jak prof. Guy Standing, współzałożyciel Basic Income Earth Network, jak i osobiście sam papież. „To może być właściwy czas, aby rozważyć wprowadzenie bezwarunkowej pensji podstawowej" – napisał Franciszek w liście do Światowego Spotkania Ruchów Ludowych, pierwszy raz w historii tak jednoznacznie udzielając poparcia dla tego typu rozwiązania.

MILION NA OSOBĘ

Czym jest bezwarunkowy dochód podstawowy nazywany też bezpośrednim dochodem podstawowym lub powszechnym dochodem podstawowym (UBI), który zdaniem papieża umożliwi osiągnięcie celu, który jest „jednocześnie humanistyczny i chrześcijański"? W dużym uproszczeniu to regularny zasiłek wypłacany przez państwo, w zamian za który nie jest wymagana absolutnie żadna praca czy zobowiązanie do działania.

Władze w Hiszpanii opracowały już projekt wprowadzenia dochodu podstawowego, który ma pomóc przetrwać tym, którzy najbardziej ucierpieli w wyniku koronakryzysu. Pensja od rządu wynosić będzie 450 euro. Nadia Calviño, hiszpańska wicepremier i minister gospodarki, zapowiedziała, że rząd chciałby wprowadzić dochód podstawowy na stałe, a nie tylko na trudne czasy obecnego kryzysu.

Po wybuchu pandemii rząd Korei Południowej jeszcze w marcu ogłosił, że 35 mln z 51 mln Koreańczyków otrzyma nawet po milion wonów, czyli 3,4 tys. zł. Wypłata i jej wysokość uzależnione są od dochodów (nie mogą przekraczać 70 proc. średniej krajowej) i wielkości rodziny. Władze w Seulu rozważają już wypłatę kolejnej transzy „pakietu pomocowego". Nad wprowadzeniem okrojonej wersji bezwarunko-

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

FOT. ADOBE STOCK

wego dochodu podstawowego debatują nawet poważni politycy w USA. – Na czas pandemii wypłaćmy każdemu Amerykaninowi tysiąc dolarów – apelował w połowie marca Mitt Romney, senator ze stanu Utah i były kandydat na prezydenta Partii Republikańskiej. Postulat ten rozwinęli członkowie Partii Demokratycznej, którzy chcieliby, aby 1 tys. dol. nieopodatkowanego dochodu podstawowego wypłacać wszystkim dorosłym Amerykanom przez trzy miesiące.

Ostatecznie w ramach wartego 2,2 bln dol. pakietu pomocowego podczas pandemii czeki o wartości 1,2 tys. dol. (równowartość 5 tys. zł) dostał już lub dostanie najpóźniej w maju każdy Amerykanin zarabiający poniżej 75 tys. dol., a czek na 2,4 tys. dol. każda para małżeńska, która łącznie zarabia poniżej 150 tys. dol. rocznie. Na razie jest to jednak jednorazowa pomoc, więc trudno mówić o klasycznym dochodzie podstawowym. Nieco bliżej modelu, o którym wspominał papież, jest Kanada. Wprowadziła ona pakiet pomocy dla swych obywateli: Kanadyjczycy mogą otrzymywać wypłatę w wysokości 2 tys. dol. kanadyjskich (równowartość ok. 6 tys. zł) przez nawet cztery miesiące.

Po wybuchu epidemii i związanego z nią wielkiego kryzysu gospodarczego dochód minimalny wprowadziły już władze Brazylii. Otrzymują go osoby, które po ataku koronawirusa straciły źródło zarobkowania. Dochód minimalny wynosi 600 reali miesięcznie (równowartość ok. 450 zł), czyli połowę tego, ile zarabiają Brazylijczycy pracujący za najniższą pensję. Przykłady można mnożyć – Business Insider wyliczył, że w różnej formie pieniądze pracownikom lub obywatelom już rozdaje albo wkróte zacznie rozdawać 14 państw.

NA UTRZYMANIU ROBOTÓW?

Sam pomysł wypłacania uniwersalnego dochodu osobistego nie jest nowy. Forsowany był przez lewicowych marzycieli co najmniej od XVI w. W wieku XXI – jeszcze przed atakiem koronawirusa – o bezwarunkowym dochodzie podstawowym mówiło się na tyle dużo, że lewicowej grupie mieszkańców Szwajcarii udało się przeforsować ogólnonarodowe referendum. Co prawda trzy czwarte mieszkańców tego bogatego kraju rozsądnie powiedziało „nie", ale jedna czwarta była za rozdawnictwem publicznych pieniędzy dla każdego za nic.

Presja ze strony zwolenników wprowadzenia przez kapitalistów komunistycznych idei sprawiła także, że na dwuletni eksperyment związany z bezwarunkowym dochodem podstawowym zdecydowała się Finlandia. Dwa tysiące losowo wybranych bezrobotnych Finów do stycznia 2019 r. otrzymywało co miesiąc 560 euro (równowartość 2,5 tys. zł) bez względu na to, czy całe dnie bezproduktywnie leżało przed telewizorem, szukało zatrudnienia czy może znalazło już pracę. Efekt: uczestnicy eksperymentu czuli się szczęśliwsi i zdrowsi, ale program wcale nie motywował ich do szybszego znalezienia zatrudnienia (choć wtedy nadal dostawaliby też pensję od rządu). Fiński rząd szybko zdecydował więc o zakończeniu bezsensownego rozdawnictwa pieniędzy.

Tak zwany dochód obywatelski w kwietniu 2019 r. zaczęły też wypłacać Włochy. Wprowadzenie pensji od rządu w maksymalnej wysokości 780 euro było realizacją sztandarowego hasła koalicyjnego Ruchu 5 Gwiazd. W ciągu pierwszego miesiąca przyjmowania wniosków zgłosiło się ponad 800 tys. chętnych do jego otrzymywania. Po pół roku od jego wprowadzenia po pieniądze od państwa zgłosiło się 2,2 mln osób, które spełniały określone kryteria finansowe (maksymalny dochód rodziny wynoszący 9360 euro rocznie, wartość mieszkania poniżej 30 tys. euro etc.). Chętnych było mniej, niż się spodziewano – liczbę beneficjentów szacowano nawet na 5 mln – bo żeby otrzymywać pieniądze od państwa, trzeba jednak coś zrobić, np. brać udział w kursach zawodowych.

Jak wprowadzenie dochodu gwarantowanego rzeczywiście wpływa na gospodarkę? Tego jednak nie wiadomo, ponieważ w żadnym kraju nie wdrożono tej idei w praktyce na wielką skalę.

Ekonomiści argumentują, że wprowadzenie bezwarunkowego dochodu podstawowego może co prawda zwiększyć poczucie bezpieczeństwa finansowego wszystkich obywateli i zmniejszyć skalę ubóstwa. Jest to jednak rozwiązanie piekielnie drogie. Aby móc sfinansować w miarę beztroskie życie niepracującym, trzeba bowiem znacząco podwyższyć stawki podatku dochodowego osobom zatrudnionym i przedsiębiorstwom, co może prowadzić m.in. do wyższego bezrobocia i niechęci do brania na swoje barki utrzymywania leniwych sąsiadów.

Z nagradzaniem bierności oraz nicnierobienia mogą mieć spory problem nawet bardzo wierzący chrześcijanie. Tym bardziej że aby państwo mogło coś rozdać, musi te pieniądze zabrać tym, którzy ciężko pracują. Zapewne dlatego papież w liście użył określenia „pensja", a nie dochód. Franciszkowi chodzi bowiem o to, aby wypłacane przez państwo pieniądze nie zniechęcały do pracy, lecz jedynie gwarantowały poszanowanie praw i godności osób pracujących, dodając ludziom odwagi podczas negocjacji z szefem.

Nawet w takim przypadku utrzymanie powszechnego uniwersalnego dochodu podstawowego na stałe – a nie tylko tymczasowo w okresie kryzysu – wydaje się utopijne. Po pierwsze dlatego, że większość państw, które i tak są po uszy w długach, nie będzie stać na tak drogie rozwiązanie. Po drugie rozdawanie wszystkim zbyt małych pieniędzy nie ma sensu, a zbyt duży zastrzyk gotówki może w warunkach powracającej pandemii wywoływać negatywny szok podażowy.

Mimo to kryzys na tak wielką skalę jak obecny może doprowadzić do zrobienia kroku w stronę UBI i wprowadzenia go w ograniczonej formie, np. tylko dla najbiedniejszych, jako rozwiązanie, które może się okazać skuteczniejsze niż tarcze antykryzysowe, które są zbyt zależne od widzimisię rządzących i konkretnych urzędników. Na powszechne pensje za nicnierobienie trzeba zaś będzie poczekać, aż większość obowiązków przejmą roboty i sztuczna inteligencja – zapewne dopiero wówczas ludzie będą mogli spokojnie odpocząć.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Tomasz Cukiernik

Czy wicepremier Jadwiga Emilewicz zafunduje firmom więcej wolności?

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Pragmatyczna wicepremier

Pierwsze zdalne głosowania w Sejmie dotyczyły pakietu Tarczy Antykryzysowej. Trwały całą noc. Kilka minut po godz. 4 system wylogował Magdalenę Srokę, poseł Porozumienia, które jest koalicjantem PiS w ramach Zjednoczonej Prawicy. – Przez kilka chwil próbowałam się ponownie zalogować. Jadwiga osobiście pilnowała, byśmy jako posłowie Porozumienia głosowali w pełnym składzie. Po chwili dostałam wiadomość SMS o treści: „Tu Jadwiga, Magda, nie śpij – głosuj!". To pokazuje, że minister Emilewicz potrafi doprowadzać tematy do samego końca – taką anegdotę opowiedziała mi poseł Sroka.

TYTAN PRACY

Inni moi rozmówcy potwierdzają, że nowa wicepremier i wiceprzewodnicząca Porozumienia jest osobą bardzo pracowitą, kompetentną, zaangażowaną i pragmatyczną.

– Każdy, kto kiedykolwiek współpracował z panią minister Emilewicz, wie, że jest tytanem pracy. Zbiera wokół siebie ludzi, którzy także ze wszystkich sił starają się, żeby jak najwięcej udało się zrobić skutecznie, i to w jak najkrótszym czasie – mówi Magdalena Błeńska, była poseł, wiceprezes Porozumienia. – Ogromne chapeau bas, jeśli chodzi o organizację, ogrom wykonanej pracy, chęci i pełne zaangażowanie – dodaje. Podobnie uważa Robert Anacki, przedsiębiorca, wiceprezes Porozumienia. – Nie spotkałem się do tej pory z jakimiś skrajnie negatywnymi opiniami, może czasami z niezrozumieniem. Myślę, że główny powód, który to determinuje, to brak zaangażowania politycznego. Jadwiga po prostu nie marnuje czasu i energii na dywagacje polityczne, mówiąc potocznie: „nie politykuje" – zaznacza Anacki.

Nawet politycy opozycji wskazują na zalety wicepremier Emilewicz. – Jest to niewątpliwie osoba, która potrafi rozmawiać, chce rozmawiać i zabiegać o te sprawy, na których jej zależy. To trzeba jej oddać, ponieważ jedną z zasadniczych cech polityka skutecznego powinna być zdolność do rozmowy. Tym się ona dość korzystnie odróżnia od innych polityków prawicy, że po pierwsze nie obraża, a po drugie potrafi rozmawiać – ocenia Robert Kwiatkowski, poseł Lewicy.

Poseł Sroka wskazuje też, że mocną stroną Emilewicz jest umiejętność dobierania sobie najbliższych współpracowników. – Przypomnę tylko, że wcześniej był to obecny wiceminister obrony narodowej Marcin Ociepa, a obecnie są nimi Wojciech Murdzek i Andrzej Gut-Mostowy, posłowie Porozumienia pełniący funkcje wiceministrów w resorcie kierowanym przez Emilewicz. Osoby łączące wiedzę z szerokim wachlarzem życiowego doświadczenia – mówi Sroka. – Pani minister przyciąga do siebie ludzi, którzy z energią, ze swoją młodością i z siłą są w stanie góry przenosić – dodaje Błeńska.

Po swojej dymisji przewodniczący Porozumienia Jarosław Gowin na stanowisko wiceprezesa Rady Ministrów zarekomendował właśnie dotychczasową szefową resortu rozwoju Jadwigę Emilewicz. Prezydent Andrzej Duda powołał ją na to stanowisko 9 kwietnia. Ta urodzona w 1974 r. w Krakowie polityk jest absolwentką Instytutu Nauk Politycznych Uniwersytetu Jagiellońskiego. Później na Wydziale Studiów Międzynarodowych i Politycznych UJ otworzyła przewód doktorski. Jest stypendystką Uniwersytetu Oksfordzkiego oraz programu American Council on Germany. Od 2003 r. związana również z Wyższą Szkołą Europejską im. ks. Józefa Tischnera w Krakowie. Współpracowała także z Ośrodkiem Myśli Politycznej w Krakowie, była członkiem zarządu Klubu Jagiellońskiego oraz współzałożycielką kwartalnika „Pressje". Prowadziła ponadto jednoosobową działalność gospodarczą – studio projektów wnętrz i przestrzeni wystawowych.

DEREGULACJA – TAK

Karierę polityczną Emilewicz rozpoczęła zaraz po studiach. W latach

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

1999–2002, kiedy premierem byli Jerzy Buzek, a następnie Leszek Miller, pracowała w Departamencie Spraw Zagranicznych Kancelarii Prezesa Rady Ministrów. Do 2007 r. należała do PO. Od 2009 r. była kierownikiem Muzeum PRL w Krakowie. W 2014 r., startując już z lity PiS, została radną sejmiku małopolskiego. W 2015 r. objęła funkcję wiceprezesa Polski Razem Jarosława Gowina, a następnie została podsekretarzem stanu w Ministerstwie Rozwoju. Od 9 stycznia 2018 r. była minister przedsiębiorczości i technologii w pierwszym rządzie Mateusza Morawieckiego. W czerwcu 2019 r. została wymieniona jako jedna z kandydatek PiS na stanowisko komisarza UE, a po uzyskaniu mandatu posła z listy PiS w październiku 15 listopada 2019 r. została ministrem rozwoju w drugim rządzie Morawieckiego.

Emilewicz – która jako były przedsiębiorca z pewnością rozumie problemy tego środowiska – przede wszystkim kojarzona jest z działaniami deregulacyjnymi, czyli uproszczeniem prawa dla firm. Jak czytamy na rządowej stronie: „Jako minister przedsiębiorczości i technologii przeprowadziła cały szereg ułatwień dla biznesu, takich jak m.in.: nowe Prawo Zamówień Publicznych, Mały ZUS, Mały ZUS Plus, ustawa o zarządzie sukcesyjnym, Pakiet MŚP, ustawa przeciwdziałająca zatorom płatniczym, Pakiet Przyjazne Prawo czy ustawa wprowadzająca Polską Strefę Inwestycji. Za jej kadencji weszła też w życie Konstytucja Biznesu". – Mimo dużych, bądź co bądź, różnic programowych Porozumienia i PiS w zakresie podejścia do gospodarki potrafi budować kompromisy i realizować trudne reformy, takie jak „Mały ZUS", deregulacja, prosta spółka akcyjna, „Pas startowy" dla nowych działalności gospodarczych, nowe prawo zamówień publicznych i wiele innych rozwiązań prorynkowych – podkreśla Anacki.

Minister Emilewicz zajmowała się także liberalizacją rynku energetycznego. – W sprawie deregulacji mamy jeszcze bardzo dużo do zrobienia. Ze strony pani minister Emilewicz są w tym kierunku zawsze szczególne zaangażowanie i pełna moc działania. W samym Ministerstwie Rozwoju nie ma barier myślowych pt. „Nie da się". Jest za to pełna świadomość konieczności szerokiej deregulacji i pełna otwartość zarówno na upraszczanie procedur, jak i wdrażanie nowych rozwiązań czy technologii. Są bardzo dalekowzroczne cele deregulacyjne, aby usprawnić działanie wielu dziedzin – uważa Błeńska, sugerując, że niektóre reformy były blokowane przez inne resorty. – Kiedyś usłyszałem od Jadwigi takie zdanie, które za mną chodzi już z rok – że albo ustawa Wilczka 2.0 i wyjście z UE, albo pragmatyzm i bezpieczeństwo narodowe – że albo mamy rynek wspólny w ramach UE, korzystamy z programów pomocowych, albo budujemy państwo skrajnie liberalne – wspomina Anacki.

No więc jaki jest stosunek Emilewicz do Unii Europejskiej? Z jednej strony wicepremier jest zwolenniczką unijnych dotacji. Jej zdaniem fundusze unijne są „ogromną szansą rozwojową" – jak w 2015 r. napisała w interpelacji do Marka Sowy, marszałka województwa małopolskiego, kiedy była przewodniczącą Komisji Innowacji i Nowoczesnych Technologii Sejmiku Województwa Małopolskiego. Z drugiej strony krytykuje państwa Unii blokujące dostęp polskim firmom do swojego rynku, co na początku tego roku Ministerstwo Rozwoju wyłuszczyło w czarnej księdze „Bariery na rynku wewnętrznym".

TWARZ TARCZY ANTYKRYZYSOWEJ

Emilewicz popierała również niezbyt chwalebne posunięcia rządu Zjednoczonej Prawicy. Mam tu na myśli przede wszystkim nowe obciążenia fiskalne. Była zwolenniczką wprowadzenia, zablokowanego przez Brukselę, podatku handlowego i jako alternatywę proponowała tzw. congestion tax. Potem wprowadzenie podatku cukrowego tłumaczyła koniecznością dbania o zdrowie, mimo że doświadczenia innych krajów z tym podatkiem nie dają podstaw do wyciągania takich wniosków. – W ramach obozu Zjednoczonej Prawicy programy społeczne, które są domeną naszego koalicjanta, determinują potrzeby fiskalne – broni Emilewicz Anacki. Dodaje, że na tym właśnie polega jej pragmatyzm, który w trudnej dla prorynkowca koalicji jest jedyną drogą do realizowania jakichkolwiek reform. Trzeba też przyznać, że w ramach Tarczy Antykryzysowej Emilewicz była zwolenniczką rozsądnego rozwiązania, by samorządom dać możliwość odroczenia poboru podatków od nieruchomości.

W ostatnim czasie Emilewicz stała się właśnie „twarzą Tarczy Antykryzysowej", która ma ochronić gospodarkę w związku z ograniczeniami wprowadzonymi w ramach walki z epidemią koronawirusa. Prezentowała i omawiała jej założenia. „Szacowana całkowita wartość pakietów zawartych w #TarczaAntykryzysowa to 212 mld zł. Bezprecedensowe działanie Państwa w reakcji na wyzwania, z jakimi się mierzymy" – napisała na Twitterze. Tarczę należy pochwalić przede wszystkim za zawieszenie pobierania składek ZUS i podatków, uelastycznienie prawa pracy czy przedłużenie różnych terminów dokonania przez przedsiębiorców obowiązków sprawozdawczych i informacyjnych. Niestety, wiąże się ona także ze wzrostem biurokratyzacji. Co więcej, na początku kwietnia minister Emilewicz wyjawiła też kuriozalny pomysł ratowania branży turystycznej polegający na wprowadzeniu programu „1000 Plus" „w postaci bonów o wartości 1000 zł, które można wydać na wycieczkę czy inne wydarzenie związane z turystyką".

Wpadką minister Emilewicz było pomylenie stanu wyjątkowego ze stanem klęski żywiołowej, kiedy to straszyła opinię publiczną wojskiem na ulicach, pozamykanymi portalami internetowymi i rozgłośniami radiowymi. Media opozycyjne zarzuciły jej, że w ten sposób próbuje nie dopuścić do przesunięcia terminu zaplanowanych na maj wyborów prezydenckich (stan wyjątkowy wiązałby się z koniecznością przesunięcia elekcji, a także odszkodowaniami). – Ona podpisuje się pod szalonymi pomysłami koalicji, której nie popieramy, takimi jak np. zorganizowanie wyborów prezydenckich w szczycie pandemii. Jest częścią tego układu, który Polską rządzi. I tej odpowiedzialności nikt z niej nie zdejmie, niezależnie od tego, jak pragmatyczną czy sympatyczną osobą potrafi ona osobiście być – mówi z kolei poseł Kwiatkowski. – W propagandzie sukcesu i pani Emilewicz, i cały rząd są mistrzami – dodaje.

Jako minister rozwoju Jadwiga Emilewicz odpowiada za gospodarkę, budownictwo i turystykę. Mimo wymienionych kontrowersji Anacki ręczy, że ideowo bez dwóch zdań wicepremier Emilewicz ma poglądy prorynkowe i antyetatystyczne. – W Ministerstwie Rozwoju powszechne jest przekonanie o tym, że wolny rynek jest narzędziem niesamowicie skutecznym oraz pożądanym i jak najbardziej wszelakie działania w wielu dziedzinach idą w tę stronę – zapewnia Błeńska. Jeśli tak, to miejmy nadzieję, że nowej wicepremier – dzięki jej fachowości i pragmatyzmowi – uda się przywrócić w Polsce choć trochę wolności.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

COVID-19 a „ślad węglowy"

Jak wiadomo – po lekturze wiadomo których gazet i tygodników oraz wypowiedziach wiadomo których polityków i publicystów – epidemia COVID-19 została wywołana albo przez globalne ocieplenie, w silnym związku z nieustannym oporem ludzkości przed zmniejszeniem (a najlepiej: likwidacją) swego „śladu węglowego" i przejściem na weganizm (a nie tylko wegetarianizm); albo przez wciąż niedostateczne pogłębienie i poszerzenie Unii Europejskiej, w tym zwłaszcza niezastąpienie walut narodowych euro przez te państwa, które wciąż się przed tym opierają; albo wreszcie przez gwałtownie narastające nacjonalizm i ksenofobię, przejawiające się głównie w niezgodzie na ostateczne pogrzebanie państw narodowych, a także w niechęci do wpuszczenia do Europy wszystkich – co do jednego – imigrantów, którzy mają na to ochotę. Albo przez dowolną kombinację niektórych lub wszystkich z powyższych czynników.

A skoro tak, skoro jest już znana przyczyna pojawienia się COVID-19, to wiadomo też nareszcie, w jaki sposób możemy sobie poradzić z pandemią, czyli jak na cztery wiatry przegnać wirusa SARS-CoV-2, który dziś sieje spustoszenie. A właściwie nie tylko tego koronawirusa, bo przecież ta unikatowa wiedza – po prawdzie – daje ludzkości do ręki broń przeciw wszystkim zarazom, które mogłyby chcieć zaatakować ją w przyszłości.

Otóż – tak jest! – zgadnąć przecież nietrudno: w celu pokonania COVID-19 i uniknięcia kolejnych plag trzeba jeszcze intensywniej walczyć z globalnym ociepleniem, a zostawiany przez każdego z nas „ślad węglowy" należy wygubić do cna, bez wytchnienia redukując CO_2 (właśnie obwieścił to Timmermans); trzeba tak szybko i głęboko, jak tylko się da, pogłębić (a także, oczywiście, poszerzyć) UE – czyli ją sfederalizować, znosząc narody oraz państwa, i jeszcze szerzej otworzyć wszystkie granice i przyjąć wszystkich uchodźców, którzy chcą do UE wjechać, wlecieć, wpłynąć czy wejść (zawyrokował właśnie, co prawda nie wprost, ale jednak, TSUE w sprawie przeciw Polsce i Węgrom); trzeba też w całej UE, i to bez zwłoki, wprowadzić walutę euro (ogłosił publicysta wiadomo którego dziennika) i wreszcie należy niezwłocznie zrezygnować z jedzenia mięsa (zakomunikowały panie Atwood i Spurek) i w ogóle czegokolwiek, co pochodzi od zwierząt, nie wspominając o noszeniu futer czy butów z ich skóry, a także wprowadzić nakaz segregowania śmieci na 100 frakcji pod karą dożywocia.

Inaczej mówiąc, przeciw COVID-19 należy z całą bezwzględnością zaordynować ów słynny brukselski specyfik – jeszcze więcej tego samego. A jeśli nie pomaga, to jeszcze więcej i jeszcze więcej tego samego. I tak dalej – aż do skutku. Czyli do czego? Do jednego, wielkiego, zbiorowego exitu? ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Maseczki

Zapis o obowiązku zasłaniania ust i nosa „poza adresem miejsca zamieszkania lub stałego pobytu" pojawił się w pierwszej wersji w rozporządzeniu Rady Ministrów z 10 kwietnia. Przez następne dni był roztrząsany i interpretowany na wszelkie możliwe sposoby, aż w końcu przybrał formę rozporządzenia nowelizującego poprzednie rozporządzenie. Okazało się, że to, co pierwotnie zapisano jednym nieprecyzyjnym paragrafem, teraz zajmuje dwie strony.

Przede wszystkim można sobie zadać pytanie, jak to możliwe, że zamiast zgłosić najpierw zapis o zakrywaniu twarzy do konsultacji społecznych, wpisano go od razu w absurdalnej formie do rozporządzenia. Czemu to miało służyć – trudno zrozumieć.

Dobrze oczywiście, że części uwag wysłuchano, ale wciąż pozostają ogromne wątpliwości. Szczególnie że jeszcze kilka tygodni temu sam minister zdrowia ze stosowania maseczek na co dzień się śmiał. Kontrowersje istnieją przecież nadal. Wielu lekarzy twierdzi wprost, że maseczki stosowane przez osoby zdrowe wręcz szkodzą. Wiadomo też, że powinny być wymieniane najdalej co dwie–cztery godziny. Mało kogo jednak będzie stać na odpowiedni zapas maseczek, szczególnie że obowiązek ich noszenia będzie prawdopodobnie utrzymany również po zniesieniu restrykcji.

W państwie poważnie traktującym obywateli mielibyśmy trzy elementy tej strategii. Po pierwsze, jak najbardziej wąsko określony oraz ograniczony nakaz zakrywania ust i nosa. Być może obowiązujący jedynie osoby kaszlące i kichające. Po drugie, potężną akcję rekomendacji i promocji noszenia maseczek. Po trzecie, jak najszerszą sieć dystrybucji maseczek bardzo tanich lub bezpłatnych, przynajmniej przez jakiś czas, sponsorowaną przez państwo.

U nas niestety tak to nie działa. I nadal pozostaje wiele problemów. W samochodzie, jadąc z kimś, kto z nami nie mieszka, też powinniśmy mieć maseczkę. To problem dla noszących okulary. Próbowałem – tego nie da się pogodzić, okulary niezmiennie parują. Żeby w maseczce zrobić sobie nie tylko wycieczkę rowerową, lecz także choćby zwykły intensywny spacer, trzeba mieć sprawność olimpijczyka, bo zwykły człowiek nie ma wystarczającej wydolności oddechowej.

> **To, co pierwotnie zapisano jednym paragrafem, teraz zajmuje dwie strony**

Można się z dyskomfortem jakoś pogodzić, gdybyśmy mieli poczucie, że to do czegoś dobrego prowadzi. Nie mamy go jednak, bo min. Szumowski uznał za wskazane natychmiast stwierdzić, że maseczki nie są „w zamian". Czyli po prostu kolejna uciążliwość. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Miejsce na Twoje pomysły.

SIMPLY SAFELY FOR LESS

RENTIS
Smart way to rent a car

+48 720 200 500 www.rentis.pl info@rentis.pl

OGÓLNOPOLSKA WYPOŻYCZALNIA SAMOCHODÓW

BIAŁYSTOK +48 519 535 331 **BYDGOSZCZ** +48 519 535 300 **GDAŃSK** +48 519 535 311 **GORZÓW WLKP.** +48 519 535 327
KATOWICE +48 519 535 301 **KIELCE** +48 519 535 304 **KRAKÓW** +48 519 535 305 **LUBLIN** +48 519 535 318
ŁÓDŹ +48 519 535 308 **OLSZTYN** +48 519 535 314 **OPOLE** +48 519 535 307 **PŁOCK** +48 519 535 334 **POZNAŃ** +48 519 535 303
RZESZÓW +48 519 535 306 **SZCZECIN** +48 519 535 310 **WARSZAWA** +48 519 535 302 **WROCŁAW** +48 519 535 307

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Reality z miotłą w tle

Joanna Bojańczyk

Porządki nie zapewnią szczupłej sylwetki ani sukcesu, jak obiecują coache od sprzątania. Mogą jednak dać satysfakcję. Holendrzy zrobili z nich rytuał narodowy – dla nich czystość była cnotą

FOT. ADOBE STOCK

Przez wiele lat spędzaliśmy wakacje w Beskidzie Wysokim, w wynajętej na lato drewnianej chałupie krytej strzechą. Wodę nosiło się ze studni, mycie odbywało się w plenerze, zakupy trzeba było przytargać z dołu, bo samochód nie dojeżdżał. Kiedy jednak czynności gospodarcze zostały wykonane, a akurat w planie dnia nie było wycieczki w góry, przesiadywaliśmy na leżakach przed domem. I codziennie mijał nas gospodarz z sąsiedztwa, góral pan Leon, który przez nasze pole przechodził na swoje. – Łodpocywacie sobie – mówił wesoło. A my zrywaliśmy się z leżaków z poczuciem winy, że my odpoczywamy, a on idzie kosić. Chociaż nie miał żadnych intencji poza serdecznym sąsiedzkim pozdrowieniem.

Podobną reakcję ma mój mąż, kiedy każę mu podnieść nogi, bo odkurzam, a on akurat siedzi przy stole i czyta. Trochę mu głupio, że to ja szaleję z odkurzaczem... Ja podobne odczucie mam wobec naszej pani Tani z Ukrainy, która raz w tygodniu przychodzi sprzątać. Ona sprząta, ciężko pracuje, a ja siedzę przy komputerze. Też pracuję, aczkolwiek przyznaję, że raz po raz zerknę sobie na strony, które pracą nie są…

Jest w nas głęboko zakorzenione kulturowe poczucie, które każe nam uważać pracę fizyczną za cięższą od umysłowej. Jednocześnie równościowe przekonania każą nam uważać osobę pomagającą w domu za równą nam. Rzeczywiście bowiem tak jest – panią Tanię traktujemy jak znajomą, chociaż jej płacimy. Je z nami obiad i ogólnie się lubimy.

Pamiętam, że kiedy przed laty przyjechaliśmy do Meksyku i instalowaliśmy się na dłużej w skromnym mieszkaniu, pomoc domowa nie była żadnym luksusem. Nawet nas, rodzinę z jedną marną pensją nauczyciela akademickiego, było na nią stać. Umówiliśmy się, że raz w tygodniu będzie do nas przychodziła posprzątać Consuelo, 18-letnia Indianka mieszkająca niedaleko.

– Tylko pamiętaj, ona nie może z wami siadać do stołu – uprzedziła mnie znajoma Meksykanka, która wprowadzała mnie w miejscowe zwyczaje. Tutaj nie ma takiego zwyczaju. Zrozumiałam to, mieszkając w Meksyku przez następne dwa lata, ale również oglądając seriale w telewizji. Przekonałam się, że feudalne zwyczaje i mentalność przetrwały tam i mają się nieźle. Zdaje się do dziś, o ile wiem.

PRZEŚCIERADŁO Z GUMKĄ

Wróćmy jednak do sprzątania. Tak jak kilka innych czynności domowych, które dawniej wykonywano bez rozgłosu, sprzątanie ostatnio stało się zajęciem medialnym. Kariera Małgorzaty Rozenek, TVN-owskiej celebrytki, rozpoczęła się właśnie od programu o sprzątaniu. „Perfekcyjna pani domu", blond piękność, nienagannie umalowana i uczesana, w wysokich szpilkach na nogach odwiedzała domy pogrążone w chaosie. Uczyła, jak układać w szafkach, dekorować stół, czyścić kran,

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

zrobić tani zapach... Jak zwinąć prześcieradło z gumką...

A potem sprawdzała, jak odmienione jej radami panie domu poradziły sobie z porządkami. Miarą była biała rękawiczka, którą przejeżdżała po parapetach, budząc postrach u uczestniczek programu. Przecież same tego chciały. Kiedyś mówiło się, że brudy pierze się w domu... Dzisiaj leci się z tym do telewizora i zostaje gwiazdą. Parcie na szkło jest nie do przezwyciężenia.

Porady Marie Kondō, autorki książki „Magia sprzątania. Japońska sztuka porządkowania i organizacji" (Muza), jeszcze zanim zostały wydane w Polsce, przeleciały przez łamy zagranicznych czasopism poradniczych. Mamy również na Netfliksie jej film (także hitowy), z którego dowiadujemy się, jak zapanować nad domowym rozgardiaszem. Tutaj jednak chodzi o coś więcej. Program sympatycznej Japonki nie tylko pomaga w osiągnięciu w domu stanu czystości, lecz także ma wyższe cele. Jeśli zechcieliby państwo zastosować się do jej rad, wówczas osiągnęlibyście sukcesy zawodowe, nabralibyście pewności siebie, zyskali motywację i zapał do życia. Autorka, także wytrawny psycholog, przekonuje, że idealnie posprzątany dom pozwoli zakończyć toksyczny związek, schudnąć, wypięknieć i uwolnić się od lęku przed nieznanym. Śmichy-chichy, ale może rzeczywiście warto posłuchać tych rad?

Chociaż już po świętach, to mamy lockdown, więc sprzątanie znowu aktualne i potrzebne. Co robić w domu, gdy nie można z niego wyjść? Jeśli po opanowaniu lekcji on-line z dziećmi komuś zostanie chwila, to może pójść za radami pań-coachów i przystąpić do sprzątania. Tak jak wszystkie czynności, których rezultat jest szybko widoczny, daje to sporo satysfakcji.

CZYSTOŚĆ JAKO CNOTA

Podczas gdy japońskie klozety czyszczące, myjące, pachnące i śpiewające stały się tematem anegdot, palmę pierwszeństwa w dziedzinie czystości ogólnej dzierżą niewątpliwie Holendrzy. Niektórzy są nawet zdania, że stało się to u nich przedmiotem narodowego hobby. Zwiedzając którąś z europejskich galerii – Luwr, Prado, Rijks czy Brerę – turysta oddycha z ulgą, gdy po obejrzeniu serii „Zwiastowań", „Ukrzyżowań", Judyt z głową Holofernesa w ręku dotrze do sal z malarstwem holenderskim. Tam czeka go uspokojenie. Dramatyczne krwawe sceny biblijne i mitologiczne ustępują miejsca codzienności. Na niewielkich obrazach holenderskich mistrzów odbywa się zwyczajne życie w zwyczajnych domach. Gotują i jedzą, grają w karty i na instrumentach, oszukują, piszą listy, czekają na kochanka. Oraz sprzątają, czyszczą, szorują, piorą i prasują.

„Być może miłość do czyszczenia i szorowania jest jednak głębiej zakorzeniona w naszym charakterze narodowym – twierdzi wybitny holenderski historyk sztuki Johan Huizinga. – Holendrzy zawsze kochali rzeczy powszednie, a wychwalanie ich jako darów bożych i cieszenie się ich pięknem były składnikiem naszych przekonań religijnych. Czystość była naszą rodzimą cnotą, nie miała jednak nic wspólnego z prostackim materializmem [...], odzwierciedlała nasz narodowy etos i religię".

Kiedyś mówiło się, że brudy pierze się w domu... Dzisiaj leci się z tym do telewizora i zostaje gwiazdą

Te wszystkie czynności są tematem książki Piotra Oczki „Miotła i krzyż. Kultura sprzątania w dawnej Holandii albo historia pewnej obsesji". Rzadko doktoraty i prace habilitacyjne dają przyjemność czytania niespecjalistom. A tu właśnie tak jest – książka jest pasjonująca, świetnie, żywo napisana. Do tego ilustrowana dobrymi reprodukcjami malarstwa holenderskiego.

Gdy w miastach Europy przez okna wylewano na ulicę zawartość nocników, ulice tonęły w błocie i fetorze, cudzoziemscy podróżni odwiedzający Holandię opisywali zabiegi higieniczne: mycie fasad domostw i chodników, sterylność obór, w których krowom miano podwiązywać ogony, by nie brudziły nimi pobielonych ścian, służące przenoszące na plecach gości w zabłoconych butach. Polerowano domowe sprzęty, ścierano kurze i zamiatano.

Musiała to być ciężka praca. Holenderskie sprzątaczki nie miały do dyspozycji enzymatycznych proszków, automatycznych pralek ani samojezdnych odkurzaczy, lecz jedynie wodę, kiepskie, drażniące mydło i ług. Doprowadzenie do blasku okopconych garnków i tłustych talerzy przy użyciu piasku, octu i wrzątku było mozolne oraz czasochłonne. A pranie? Dźwiganie wody z cystern lub miejskich studni, grzanie jej na ogniu, szorowanie, piaskowanie, wyżymanie, krochmalenie. I to wszystko dzień w dzień... Utrzymanie domów w perfekcyjnym porządku wymagało od kobiet prawdziwego heroizmu.

Ile razy podziwiam na obrazach batystowe i płócienne koszule z zakładkami, halki i mankiety z koronkami, żaboty, majtki wiązane na atłasowe tasiemki, bawełniane pończochy i wykrochmalone kryzy, tyle razy zastanawiam się, jak to wszystko utrzymywano w czystości, prano i prasowano. Potrzebne były zastępy służących. Służba była przecież tania. I można przypuszczać, że salony pachniały czymś więcej niż perfumami. Jak jednak pisze Georges Vigarello w książce „Czystość i brud", nie było z tym tak źle, jak sobie to dziś wyobrażamy. Nawet we Francji, kraju o niezbyt dobrej reputacji higienicznej, w 1649 r. w czasie Frondy pani de Montpensier uciekła z Luwru z całym towarzystwem królewskim i schroniła się w zamku Saint-Germain. Jako że nie było czasu, żeby spakować kufry, została biedaczka w jednej koszuli na grzbiecie. „Nie miałam zmiany bielizny i moją koszulę nocną prano w dzień, a dzienną w nocy" – zanotowała księżna w swoich pamiętnikach.

„Dziś sprzątanie przestaje być czynnością rytualną, staje się technologią, nabiera wymiaru ekonomicznego – mówi prof. Roch Sulima, autor książki »Antropologia codzienności«. – Rynek usług »porządkowych« funkcjonuje tak samo jak rynek rozrywki, wypoczynku czy usług medycznych. Posiadanie solidnej osoby do sprzątania przydaje środowiskowego prestiżu.

Jej obecność to swego rodzaju »występ« dla sąsiadów, znajomych, którego jesteśmy reżyserami". Trochę jak udział w reality show. Ukoronowaniem całego procesu jest „Perfekcyjna pani domu". O sprzątaczkach rozmawia się tak jak dawniej o bohaterach romansów. Pożądany bywa też partnerski stosunek do nich, bo przecież mogą mieć doktorat na Ukrainie albo rodzime magisterium. Polecanie sprzątaczek jest jak polerowanie rodowych – czy tylko nowobogackich – sreber, to licytacja prestiżu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Katarzyna Pinkosz

Kobiety motyle

70 proc. kobiet już w momencie diagnozy raka jajnika ma przerzuty. Jednak dzięki nowoczesnym terapiom często mogą żyć przez wiele lat, pod warunkiem dostępu do leczenia

FOT. ADOBE STOCK

Od kiedy zaczęła się epidemia koronawirusa SARS-CoV-2, Barbara wychodzi z domu tylko na konieczne wizyty w szpitalu. Od kilku lat choruje na raka jajnika, przyjmuje chemioterapię, jest więc w grupie wysokiego ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19. Mąż pracuje zdalnie, z domu wychodzi tylko do sklepu. Dziewięcioletnia córka też nigdzie nie wychodzi. – Mamy areszt domowy – śmieje się Barbara.

Lęk o zakażenie koronawirusem towarzyszy dziś wszystkim chorym na nowotwory. – Pacjentki z rakiem jajnika zdają sobie sprawę z tego, że są grupą wysokiego ryzyka, a w przypadku zachorowania ich rokowania są złe. Dlatego bardzo silny jest u nich lęk przed zakażeniem. Starają się nie wychodzić z domu, nie kontaktować z innymi i jak najrzadziej przychodzić do szpitala. Widzę, jak w szpitalu są też przestrzegane rygory zakładania maseczek, dezynfekcji, jak lekarze starają się, by pacjentki nie stykały się ze sobą – opowiada Barbara.

Dla pacjentów onkologicznych, szczególnie tych, którzy otrzymują chemioterapię, radioterapię, są w programach lekowych, najważniejsze zadanie na dziś to nie zarazić się koronawirusem. Nie tylko dlatego, że każdy pacjent onkologiczny jest w grupie ryzyka ciężkiego przebiegu COVID-19, lecz także dlatego, że w przypadku pojawienia się infekcji leczenie onkologiczne trzeba zawiesić, a to może prowadzić do progresji choroby nowotworowej.

– Staramy się tak zorganizować pracę, by szpital był miejscem maksymalnie bezpiecznym. Od początku namawialiśmy pacjentki, by przebywały na oddziale w maseczkach. Staramy się ograniczyć naszą aktywność zawodową w innych miejscach, żeby nie narażać się na ryzyko zakażenia i nie być jego transmiterem dla naszych pacjentek – mówi dr hab.n.med. Radosław Mądry, kierujący Oddziałem Ginekologii Onkologicznej w Szpitalu Przemienienia Pańskiego w Poznaniu, członek zarządu Polskiego Towarzystwa Ginekologii Onkologicznej i przewodniczący Grupy ds. Raka Jajnika. Żeby zmniejszyć ryzyko zakażenia SARS-CoV-2, zespół kliniki został podzielony, a część lekarzy pracuje z domu. – To nasze „zabezpieczenie" na wypadek pojawienia się koronawirusa na oddziale i konieczności poddania się kwarantannie. Wtedy zespół, który pracuje z domu, zastąpi na oddziale kolegów na kwarantannie i będzimy mogli utrzymać leczenie pacjentek na oddziale – mówi dr Radosław Mądry.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Pacjentki też starają się pomóc w tej trudnej sytuacji. – Kupiłyśmy maszynę do drukowania przyłbic dla personelu szpitali, maseczki dla pacjentek, żeby były jak najlepiej chronione, gdy przychodzą na wizytę. Wszyscy musimy łączyć siły, by dać sobie radę w tej trudnej sytuacji – opowiada Barbara, która działa też w stowarzyszeniu Niebieski Motyl, pomagając innym kobietom zmagającym się z nowotworami ginekologicznymi.

BEZ DIAGNOZY NIE MA LECZENIA

Nowoczesne leczenie raka to dziś leczenie spersonalizowane, uzależnione od mutacji genetycznych nowotworu. Przed rozpoczęciem leczenia niezbędna jest właściwa diagnostyka. – W laboratorium pracujemy „pełną parą", bo nowotwory nie podlegają kwarantannie. Wykonujemy badania niezbędne do leczenia personalizowanego. W przypadku raka jajnika są to badania w kierunku obecności mutacji w genach BRCA1, BRCA2. Wykonujemy je na bieżąco. Teraz przygotowujemy się też do wykonywania testów w kierunku koronawirusa, jednak będziemy to robić w innej części szpitala, praktycznie budujemy w ekspresowym tempie drugie nowe „wirusowe" laboratorium, by zminimalizować ryzyko zakażenia i paraliżu w głównym laboratorium. Badania dla pacjentów onkologicznych muszą być wykonywane na bieżąco – mówi prof. Artur Kowalik, kierujący Zakładem Diagnostyki Molekularnej Świętokrzyskiego Centrum Onkologii.

Niepokoi go jednak to, że od kiedy zaczęła się epidemia koronawirusa, do laboratorium napływa mniej (o ok. 10 proc.) zleceń na badania w kierunku BRCA1, BRCA2 z innych ośrodków onkologicznych. Trudno dziś ocenić, czy powodem jest to, że kobiety zwlekają z pójściem do lekarza przy wystąpieniu objawów mogących wskazywać na nowotwór, czy raczej to, że część operacji i badań w mniejszych ośrodkach onkologicznych jest odwoływana, czy może powód bardziej prozaiczny – kłopoty logistyczne z wysyłką materiału. Faktem jest jednak, że o 10 proc. badań mniej może oznaczać, że o tyle mniej chorych nie otrzyma personalizowanego leczenia.

WAŻNA DOBRA ORGANIZACJA

Epidemia COVID-19 nie musi oznaczać pogorszenia leczenia onkologicznego. – W naszym szpitalu cały czas jest prowadzona diagnostyka, są wykonywane operacje onkologiczne. Możemy przesunąć na później termin zabiegu nieonkologicznego, jednak przesunięcie zabiegu u chorej na raka jajnika skończyłoby się katastrofą. Nie można też odsuwać pacjentce chemioterapii, która utrzymuje ją przy życiu – mówi dr Mądry.

Jeśli ze względu na stan pacjentki jest to możliwe, wówczas lekarze proponują zamianę chemioterapii podawanej dożylnie na tabletkową albo zamiast wizyt co miesiąc proponują je co trzy miesiące. – Ministerstwo i NFZ umożliwiły nam w przypadku niektórych programów lekowych wydawanie pacjentkom leków na trzy miesiące. Oczywiście, jeśli pacjentka źle się czuje, to zawsze może się z nami skontaktować – dodaje dr Mądry.

WAŻNE WYKRYWANIE

Leczenie raka jajnika to leczenie chirurgiczne i w większości przypadków chemioterapia. U ok. 85 proc. kobiet pojawia się jednak nawrót choroby. Oprócz chemioterapii jest dziś też możliwość nowoczesnego leczenia. Jedną z opcji są leki antyangiogenne, które nie pozwalają nowotworowi otoczyć się siatką naczyń krwionośnych. Dla kobiet z mutacjami w genach BRCA1, BRCA2 po chemioterapii jest możliwość zastosowania inhibitorów PARP (olaparyb, niraparyb). – Jeszcze niedawno kobiety po diagnozie raka jajnika żyły ok. 24 miesięcy. Obecnie 50–60 miesięcy nie jest już niczym nadzwyczajnym. Są kobiety, które żyją 10, 15 lat po diagnozie. Mimo że nadal jest to bardzo trudny w leczeniu nowotwór, 15–20 proc. kobiet przeżywa 10 lat bez cech nawrotu choroby. To przede wszystkim zasługa coraz większej liczby leków, które bardzo efektywnie wydłużają życie – mówi dr hab. Radosław Mądry. W trudnej sytuacji mogą znaleźć się pacjentki, które zachorują na raka jajnika w czasie epidemii COVID-19. Zalecenia pozostania w domu oraz informacje, że duży procent osób zakażonych koronawirusem to pracownicy systemu ochrony zdrowia, powodują, że wiele osób unika wizyt u lekarza. Przez to jest ryzyko, że diagnoza nowotworu jeszcze bardziej się opóźni. W przypadku raka jajnika pogorszy to i tak złą statystykę, bo już dziś w 70 proc. przypadków jest on wykrywany, gdy są już przerzuty do innych narządów.

Powodem jest to, że rak jajnika daje mało charakterystyczne objawy, najczęściej ze strony przewodu pokarmowego: wzdęcia, powiększenie obwodu brzucha, zaparcia; rzadziej ze strony układu moczowego. Takie objawy nie nasuwają podejrzenia, że problem dotyczy narządu rodnego. Jeśli jednak te nietypowe dolegliwości się utrzymują, to nie można czekać na koniec epidemii koronawirusa. Konieczna jest konsultacja z lekarzem – najpierw telefoniczna, a później przyjście na wizytę.

Kobiety, w których rodzinach zdarzały się zachorowania na raka jajnika lub piersi, powinny wykonać badania genetyczne, sprawdzając, czy nie mają mutacji w genach BRCA1, BRCA2.

– Obecnie program nadzoru nad rodzinami z wysokim ryzykiem występowania tych nowotworów został zawieszony, podobnie jak inne programy profilaktyczne, jednak po zakończeniu epidemii zachęcamy do skorzystania z niego. Jeśli jednak kobieta ma niepokojące objawy, to powinna wykonać badania i przyjść na wizytę. Naszą rolą jest stworzenie takich zabezpieczeń, by nie zaraziła się koronawirusem w trakcie wizyty – mówi dr Mądry.

Zalecenia dla pacjentów onkologicznych w dobie COVID-19

1. Pozostań w domu, unikaj kontaktu z osobami, które nie mieszkają z tobą. Unikaj chodzenia do sklepu, korzystania z komunikacji miejskiej. Na wizyty do szpitala najlepiej dojeżdżać samochodem z osobą wspólnie zamieszkującą.
2. Nie przerywaj terapii onkologicznej, chyba że tak zaleci lekarz.
3. Do szpitala przychodź w maseczce i jednorazowych rękawiczkach. Należy je zdjąć i wyrzucić zaraz po wyjściu ze szpitala. Przed przyjściem na wizytę naucz się, jak prawidłowo zakładać i zdejmować maseczkę oraz rękawiczki (filmy dostępne w Internecie).
4. W przypadku wystąpienia gorączki, zaburzenia węchu, smaku, bólów mięśni stawów, duszności (te objawy mogą sugerować infekcję koronawirusem) skontaktuj się ze stacją sanitarno-epidemiologiczną w sprawie wykonania testu. Aktywne zakażenie COVID-19 jest przeciwwskazaniem do leczenia onkologicznego. Konieczny jest kontakt z lekarzem prowadzącym.

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

RYCERZE I WARCHOŁY

Tatarski obrońca konstytucji

JACEK KOMUDA

W północno-wschodniej części województwa lubelskiego, w powiecie bialskim, leży Studzianka, która w wiekach XVIII i XIX była jedną z bogatszych wsi tatarskich. Na miejscowym, zachowanym cmentarzu muzułmańskim znajduje się nagrobek gen. Józefa Bielaka, dowódcy pułku przedniej straży Wielkiego Księstwa Litewskiego. Był on jednym z wielu polsko-litewskich Tatarów, którzy poświęcili się służbie wojskowej, uczestnikiem licznych bitew i bohaterem wojny polsko-moskiewskiej w 1792 r., za którą otrzymał Virtuti Militari.

Bielak urodził się w 1729 r. w Łowczynach koło Nowogródka na Litwie, w rodzinie od wieków zajmującej się służbą wojskową. Jego ojciec Osman Bielak był porucznikiem jazdy lekkiej zwanej też tatarską. Syn poszedł w jego ślady, wstępując do pułku gen. Czymbaja Murzy Rudnickiego, przydzielonego do dworu króla Augusta III Sasa, i wkrótce został chorążym, a w 1760 r. rotmistrzem. Wziął udział w wojnie siedmioletniej, w starciach w Saksonii, na Śląsku i w Czechach, za co otrzymał order od cesarzowej Marii Teresy. Za zasługi został w 1763 r. awansowany do stopnia pułkownika; rok później powierzono mu dowództwo 4. Pułku litewskiego straży przedniej, w którym komendę Bielak sprawował aż do śmierci. Oddział powołany był początkowo jako jednostka prywatna złożona z nadwornych oddziałów Tatarów Potockich, później przeniesiony został do armii saskiej, wreszcie do litewskiej i w 1776 r. liczył 395 koni. Równocześnie król August III Sas, na kilka miesięcy przed śmiercią, nadał Bielakowi 46 włók ziemi w Koszołach nad Lutnią, we wsi leżącej w pobliżu Łomaz, niedaleko wspomnianej Studzianki.

W konfederacji barskiej Bielak odegrał rolę dwuznaczną. Najpierw bił się z Moskalami pod komendą

FOT. DOMENA PUBLICZNA

Kazimierza Puławskiego, ale od 1771 r. przeszedł na stronę króla Stanisława Augusta, po czym… znów wrócił do jego wrogów. Stanął po stronie hetmana wielkiego litewskiego Michała Kazimierza Ogińskiego, kiedy ten zwrócił się przeciwko Rosjanom i pobił pod Beździerzem oddziały rosyjskie płk. Albiczewa. Hetman uległ jednak w bitwie pod Stołowiczami Aleksandrowi Suworowowi, gdzie Bielak dowodził pułkiem liczącym ok. tysiąca koni, w większości Tatarów polsko-litewskich. W przeciwieństwie do hetmana udało mu się wycofać po klęsce, gdyż znajdował się poza miasteczkiem, w którym Suworow zaskoczył nieprzygotowanych Litwinów.

Udział w konfederacji barskiej nie przeszkodził w dalszych awansach Bielaka. W 1772 r. został tytularnym generałem-majorem; równocześnie powiększył znacznie włości, nabywając Kościeniewicze, Wólkę Kościeniewicką, Połoskę i Trojanów, a także części Studzianki i Ortelu. Tym samym – jak podaje Sławomir Hordejuk – stał się jednym z najzamożniejszych Tatarów na ziemiach Rzeczypospolitej.

Od 1782 r. pułk Bielaka stacjonował w Kamieńcu Litewskim. Było to już po reformach Sejmu 1776 r., kiedy zlikwidowano przestarzałe chorągwie husarskie i pancerne, tworząc z nich brygady kawalerii narodowej. Jazdę lekką przeformowano w pułki straży przedniej i jako jedyną pozostawiono w dawnej formie, gdyż przez cały okres upadku armii polskiej i litewskiej zachowała dyscyplinę oraz sprawność bojową. Od tego czasu pułk lekki składał się z ośmiu chorągwi liczących w sumie 391 jeźdźców. Dodatkowo połączono chorągwie w jednostki taktyczne – szwadrony, które występowały w wojsku Rzeczypospolitej już od końca XVII w.

Na czele litewskiego pułku straży przedniej Józef Bielak wziął udział w wojnie w obronie Konstytucji 3 maja w 1792 r. Walczył w armii litewskiej, która opóźniała marsz rosyjskich korpusów na Warszawę. Pułk straży przedniej najpierw osłaniał odwrót głównych sił, bijąc rosyjską jazdę pod Stołpcami 10 czerwca. Bielak szarżował wówczas ze swoimi Tatarami na przeprawiające się przez Niemen sotnie rosyjskiej dragonii. Kiedy zaś przez rzekę przedostał się kolejny oddział Moskali i zaatakował pozostałą część jazdy litewskiej, zmuszając ją do ucieczki, Bielak zebrał wokół siebie ok. 100 jeźdźców, z którymi wykonał desperacką szarżę. Zmieszała ona przeciwnika do tego stopnia, że pozwoliła na zebranie się i powrót na pole bitwy pozostałym szwadronom. Wspólnie odrzucili Rosjan do rzeki, w której potonęło wielu wrogów. Moskiewską jazdę uratowała nadchodząca piechota, która ostrzałem zmusiła siły litewskie do ustąpienia.

Bielak wziął udział w bitwach pod Mirem i pod Zelwą. Za kampanię 1792 r. otrzymał Order Virtuti Militari. Dwa lata później, wspólnie ze swym pułkownikiem Jakubem Azulewiczem, przystąpili do powstania kościuszkowskiego, w trakcie którego Bielak zmarł w czerwcu 1794 r. Pochowany został we wspomnianej Studziance jako jeden z najwybitniejszych dowódców jazdy Tatarów polskich. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

CEZARY POWAŁA: GOTUJMY RAZEM!

Dla mnie gotowanie to dyscyplina drużynowa, ma pomagać odkrywać, sprawiać radość i wzmacniać relacje. Staram się poprzez sztukę kulinarną łączyć ludzi. Realizuję warsztaty kulinarne, zarówno dla osób prywatnych, jak i firm, współorganizuję pokazy kulinarne, do gotowania zachęcam podczas występów w telewizji i podczas radiowych audycji. Takie nastawienie do kuchni staram się przekazywać również ludziom będącym na początku swych kulinarnych karier, których wspieram i z którymi dzielę się doświadczeniem zdobytym pod okiem szefów kuchni w Polsce i za granicą. Państwa również zachęcam, by do przyrządzenia poniższego przepisu na pierś kaczki z sosem śliwkowym oraz purée z dyni zaprosić kogoś bliskiego. Kuchnia naprawdę zbliża i to nie tylko za stołem, ale jeszcze wcześniej.

Składniki:

- pierś kaczki
- gałązka tymianku
- 300 g dyni
- 100 ml soku pomarańczowego
- pomarańcza
- ząbek czosnku
- 50 ml oleju rzepakowego
- łyżeczka cynamonu
- łyżeczka kardamonu
- kora cynamonowa
- 100 g śliwki
- 50 ml cydru
- 3 łyżeczki miodu
- mała cebula
- łyżka masła

Przygotowanie:

Pierś kaczki naciąć od strony skóry, marynować w soli, pieprzu, czosnku, oleju, tymianku oraz cynamonie przez 3–4 godziny. Następnie mięso osuszyć i smażyć od zimnej patelni bez dodatku tłuszczu od strony skóry aż do zrumienienia. Przełożyć na stronę mięsa i polewać wytopionym tłuszczem. Następnie piec ok. 10 min w 180 st. C.

Dynię ze skórą pokroić w kostkę, ułożyć na blasze, polać olejem, dodać sól i korę cynamonową, piec do miękkości w temperaturze 180 st. C. Ostudzić, dodać sok z pomarańczy i zmiksować na gładką masę. Doprawić solą, pieprzem i miodem.

Cebulę i czosnek pokroić w kostkę i wraz ze śliwkami przesmażyć, dodać skórkę pomarańczową i masło oraz dolać cydr. Na purée układamy pierś i polewamy ją sosem śliwkowym z całymi śliwkami. ©℗

oprac. raw

FOT. ARCHIWUM CEZAREGO POWAŁY

JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Prace ręczne

Kiedy żona gotuje, to mężowi smakuje" – haftowane makatki z tej treści napisem wiszą jeszcze pewnie w kuchniach bardzo starych i zapewne biednych ludzi. No i może dla żartu w paru designerskich mieszkaniach... Ale poza tym haftowanie stało się umiejętnością całkiem zapomnianą, której nikt już nie praktykuje ani nikt nikogo nie uczy.

Haft artystyczny kultywują nieliczne pracownie, i to nie u nas. Paryski Lesage dostarcza swoje wzory dla kolekcji haute couture za bajońskie sumy. Ale zwykły, ręczny haft, któremu w dawnych czasach oddawały się panie mające zawsze pod ręką tamborek i zestaw kolorowych nici, całkiem zanikł. A było to codzienne zajęcie kobiet, wykonywane nie tylko dla zabicia czasu, lecz także dla celów praktycznych. Ozdabiano serwetki, obrusy, pościel, wyprawy ślubne, chrzestne sukienki dla dziewczynek i chłopców. Sama posiadam w domu komplet adamaszkowych serwetek z monogramem babci.

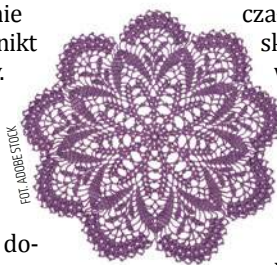

FOT. ADOBE STOCK

Oto jednak nagle zmieniła się sytuacja i zamkniętych w domu przytłacza nadmiar wolnego czasu, nie wszyscy wszak wykonują telepracę. Zapomniane czynności nagle odzyskują wartość, i to nie tylko dla rozrywki, lecz także z realnym pożytkiem.

W szkole podstawowej (nie zakonnej, tylko całkiem publicznej) na „pracach ręcznych" uczono nas, dziewczyny, szycia, robienia na drutach, szydełkowania, cerowania, łatania, przyszywania guzików. Serio! Jeszcze w latach 60. przerabianie ubrań z dorosłych na dziecinne było powszechne. Drewniany grzybek, na którym umieszczało się dziurawą skarpetkę, znajdował się w każdym domu, w każdym pudełku z przyborami do szycia. Kto dzisiaj ceruje skarpetki?

Ale kiedy kryzys, trzeba oszczędzać i wykorzystywać to, co się ma. Gdy maszyny stoją, ręce znowu potrzebne. W sieci pojawiło się sporo blogów instruktażowych o robótkach ręcznych. Dzisiaj mają one służyć bardziej dla ducha niż dla materii. Na przykład szydełkowanie – technika, której cel praktyczny jest dyskusyjny, za to terapeutyczny – potwierdzony. Spokojna, miarowa czynność obniża poziom stresu, stabilizuje tętno, uwalnia serotoninę. Joga dla umysłu...

Czy to z tego powodu szydełkowanie stało się modne na początku lat 70. w kręgu warszawskiej bohemy artystycznej? Był wtedy tylko permanentny kryzys, jak to w socjalizmie. Zebrania towarzyskie odbywały się przy szydełku, panie chodziły w ręcznie dzierganych spódnicach i szalach. Ale to chyba już se ne vrati. Inne czasy. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

TEST „DO RZECZY": PRZENOŚNY SKANER EPSON DS-80W

Niewielkie rozmiary, wyjątkowo mała waga, łatwość obsługi i bardzo szybkie skanowanie – to największe zalety przenośnego skanera firmy Epson.

Testowany przenośny skaner biurowy waży zaledwie 290 g. Potrafi skanować wizytówki i dokumenty o gramaturze od 35 do nawet 270 g/m. I co najważniejsze, robi to bardzo szybko.

Do rozdzielczości 300 dpi skanowanie jednej strony w formacie A4 zajmuje mniej więcej 4 s. To robi wrażenie. Przy wyższych rozdzielczościach (maksymalna rozdzielczość wynosi 600 x 600) skaner wyraźnie zwalnia.

Zeskanowane dokumenty można zapisywać w formatach: PDF, JPEG oraz TIFF.

Urządzenie może skanować przewodowo lub bezprzewodowo za pośrednictwem wi-fi. Epson DS-80W ma również wbudowaną baterię, co ułatwia pracę osobom, które ciągle są w drodze.

DS-80W ma jednak także kilka istotnych wad. Nie ma tu oczywiście automatycznego podajnika dokumentów (ADF) ani możliwości automatycznego skanowania dwustronnego (duplex).

Zalety tego modelu docenią zwłaszcza te osoby, które bardzo często pracując poza firmą, potrzebują szybkiego, mobilnego urządzenia do skanowania małej liczby krótkich dokumentów, a które nie chcą przy klientach robić skanów za pomocą smartfonów.

Tego modelu zdecydowanie nie polecałbym jednak tym, którzy chcieliby go wykorzystywać jako jedyny skaner w domu lub w małym biurze. Brak podajnika papieru sprawia bowiem, że każdą stronę trzeba ostrożnie włożyć do skanera. Jeśli do zeskanowania jest np. 30 stron, to biorąc pod uwagę tzw. czynnik ludzki – który musi w gotowości czekać na koniec skanowania poprzedniej strony, zanim dokładnie ustawi w skanerze kolejną – całkowity czas pracy staje się już trudniejszy do oszacowania.

Czas ten jest tym bardziej nieprzewidywalny, że nie wszystkie dokumenty udaje się prawidłowo zeskanować – najczęściej niepowodzeniem kończą się np. próby zeskanowania wyjętych z koperty listów, ponieważ DS-80W kiepsko radzi sobie ze skanowaniem papieru z jakimikolwiek zgięciami. W takiej sytuacji dokumenty podczas skanowania często przekręcają się na boki, przez co końcowy plik zawiera głównie czarne pola i skan nadaje się do wyrzucenia.

Trzeba również pamiętać o delikatnym usuwaniu spinaczy z dokumentów przed skanowaniem. Jeśli ich nie usuniemy, to próba zakończy się niepowodzeniem, bo podczas skanowania dokument przekręci się i na skanie będzie widoczna głównie wielka czarna plama. Podobny efekt da również brutalne wyrwanie spinaczy – skanowany dokument zostanie bowiem przesunięty na bok, gdy skaner dojdzie do fragmentu z wyrwanym kawałkiem papieru, i w efekcie zamiast całego dokumentu znów możemy zobaczyć sporo czarnego pola. Na niepowodzenie są również skazane próby skanowania np. dokumentów bankowych, do których wcześniej przyklejona była np. karta kredytowa.

Testowany skaner może dobrze sprawdzić się do skanowania wizytówek lub np. krótkich formularzy wypełnionych przez klientów. Osoby, które chciałyby go wykorzystywać do skanowania wielostronicowych dokumentów, powinny jednak poszukać innego modelu.

Cena: 749 zł. ©℗

Jacek Przybylski

SFERMENTUJ SOBIE SAŁATKĘ

Nie żyję, by jeść, ale jem, by żyć – mawiał pewien mędrzec. No dobra, ale nie zmienia to faktu, że jedzenie jest fajne. Równie fajne jest eksperymentowanie w kuchni i zaskakiwanie partnerki/partnera nieco egzotyczną kuchnią. Na przykład kolorowym kimchi czy japońskimi kiszonkami. Tak, tak, a japońskie „pikle" można teraz przyrządzić w jedną noc. A to dzięki Picklestone, czyli specjalnemu narzędziu do robienia tradycyjnego japońskiego jedzenia.

Wystarczy w specjalny szklany garnek włożyć pokrojone w kostkę warzywa, posypać je solą, położyć kamień na wierzchu i poczekać. W pierwszej kolejności następuje odsączenie wody z warzyw, a po dodaniu soli tworzy się dla nich środowisko wolne od bakterii. Siła konserwująca poprawia się dzięki wprowadzeniu soli do błonnika warzywnego, zwiększa się też liczba bakterii kwasu mlekowego. Specjalny przepływ powietrza pozwoli na pozyskanie do codziennej diety zdrowej, choć sfermentowanej żywności.

Urządzenie kosztuje ok. 400 zł i zamawiać je można na Kickstarterze. Dostawa w maju.

WARZYWA Z DOMOWEJ KUCHNI

Warzywa też możemy sobie wyhodować sami w domu, na kuchennym parapecie. A to dzięki Pico, czyli gadżetowi z teleskopowymi lampami LED do uprawy, wieloma uchwytami i systemem samonaprawiającym, pozwalającemu na uprawę kwitnących roślin wszędzie.

Pico zapewnia wszystkie niezbędne długości fali światła, aby całkowicie zastąpić słońce i umożliwić uprawę roślin przez cały rok. Wydajne diody LED są wybierane do obsługi szerokiej gamy roślin, a każda kolorowa długość fali stymuluje specyficzne funkcje biologiczne roślin.

Cena zestawu to ok. 100 zł, zamawiać można na Kickstarterze, a dostawa w maju. ©℗

Wojciech Wybranowski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Ekologizm bezobjawowy

Swego czasu sporo pisało się (i chyba nadal pisze) o płytkim polskim katolicyzmie. Takim, który się w rytuałach przejawia, a nie w pojmowaniu do świata i bliźnich oraz stosunku do nich. W tej kwestii absolutnie nie chcę się mądrzyć choćby dlatego, że prymitywny ze mnie materialista. Ale pozwolę sobie na uwagę, że ludzie często niezbyt poważnie traktują to, w co wierzą. Chociaż oczywiście wydaje im się, że jest inaczej.

Oto historyjka na potwierdzenie tej tezy. Pewien mój przyjaciel ma nieopodal Warszawy działkę. Niedługo po tym, jak dopadł nas koronawirus, syn mojego przyjaciela zapytał, czy mógłby przeczekać zarazę na tejże daczy. Syn jest dorosły, przeczekiwać chciał z narzeczoną. Za miastem miało być im nie tylko bezpieczniej, lecz także przyjemniej. Ojciec się zgodził. Zapakował parkę do samochodu, wywiózł do lasu i tam zostawił.

Na jakiś czas młodzi zniknęli z radarów. Przysyłali jedynie zdawkowe informacje, że czują się dobrze. Że w domku letniskowym może i jest trochę zimno, ale palą w kominku i rozgrzewają się alkoholem, więc w sumie prowadzą rozkoszne życie. Zakochani, w miłych okolicznościach przyrody, dobrze zaopatrzeni, z ogniem buzującym w kominku. I bez obowiązków, bo oboje studiują. Nic, tylko się izolować. Sam bym tak chciał.

Mijały tygodnie. Koronawirus spowszedniał. Znajomy postanowił przed świętami wybrać się na działkę i podrzucić młodym trochę prowiantu. A przy okazji przeprowadził inspekcję. Początkowo przebiegała pozytywnie. Para nie miała siniaków i wyglądała na szczęśliwą. Głód im nie groził, bo w pobliskiej wsi był sklep. Ptaki śpiewały. Już miał wracać, kiedy coś go tknęło i zapytał młodych, postępowych, zaangażowanych ekologicznie ludzi, co robią ze śmieciami, których sporo musieli wyprodukować.

– No… wywalamy do lasu – odpowiedział dość radośnie jego syn, właściwie zadowolony z własnej przedsiębiorczości. Po czym zaprowadził zszokowanego ojca na urządzone ad hoc wysypisko. Do worków naszej parki dołączyły i inne, więc na skraju lasu zrobił się naprawdę niezły syf. Do syfu dobrały się psy, a może i inne zwierzęta, więc śmieci malowniczo rozlewały się po całkiem sporym terenie.

Mojemu przyjacielowi ręce opadły. Zdaje się, że nieźle opierniczył młodych, którzy na Facebookach solidaryzowali się z dzikami i Gretą oraz oburzali na smog, elektrownie węglowe i plastik w oceanach. Kiedy jednak przyszło wykazać się odrobiną poświęcenia i targać worki ze śmieciami do śmietnika przy wiejskim sklepie, ideały gdzieś wyparowały. Wygrała wygoda.

No więc jeśli nam, wapniakom, jakiś młokos jeszcze będzie wypominał, że zniszczyliśmy planetę, to wykorzystajcie tę historyjkę. I spytajcie: How dare you?! ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Doktor Stuhr

Aktorzy od lat poza wykonywaniem swojego zawodu odnajdują nieukrywaną przyjemność w komentowaniu rzeczywistości społeczno-politycznej. A to Krystyna Janda wrzuci fake newsa na media społecznościowe, a to Krzysztof Pieczyński stwierdzi, że „Kościół jest organizacją przestępczą", innym razem Maja Ostaszewska adoptuje pszczołę. Dlaczego to robią? Być może lata mówienia cudzym tekstem i idąca za tym popularność przekładają się na przeświadczenie, że gdy w końcu powiedzą coś swoim, świat się zatrzyma i z uwagą – niczym w teatrze – wysłucha? Bez względu na przeświadczenia od dziś środowisko otrzymuje do rąk kolejny atut – udział w debacie publicznej z perspektywy autorytetu naukowego. Maciej Stuhr, odgrażając się zrobieniem doktoratu, w końcu wcielił swoje groźby w życie.

Cóż to musiał być za przełomowy doktorat, wie tylko kilku recenzentów (do nich wrócę), ale dzięki obowiązkowi publikowania streszczeń prac naukowych nieco więcej dowiedzieć się możemy również my. Na jednej stronie A4 czytamy, co następuje: „Tematem mojej pracy jest podróż, jaką odbywam wraz ze studentami warszawskiej Akademii Teatralnej. […] Pracując z młodymi aktorami i przekazując im swoją wiedzę, próbując wydobyć z nich odpowiedni ekranowy efekt, obserwuję, jak oprócz bycia pedagogiem rodzi się we mnie reżyser" – zdradza aktor. Najciekawsza jest jednak treść opisu pierwszej części pracy naukowej. Tutaj Maciej Stuhr „analizuje swoją edukację aktorską", czyli „wspomina dzieciństwo i młodość, i setki przedstawień i filmów, na których podpatrywał magię i warsztat aktorski". Następnie „opisuje swoje pierwsze filmy i karierę kabaretową, którą przeszedł przed studiami aktorskimi". Co szalenie istotne, „sporo miejsca w swojej pracy poświęca najważniejszemu artystycznemu spotkaniu w jego życiu – z Krzysztofem Warlikowskim".

W ostatniej części streszczenia, zajmującej dokładnie trzy zdania opisu, robi się najsympatyczniej. Aktor „podsumowuje swoją lekcję reżyserii, którą przy tej okazji otrzymał", kończąc słowami: „Życie niespodziewanie zrobiło ze mnie reżysera i scenarzystę. To wspaniała przygoda!". Niestety wspomniani na początku recenzenci nie w pełni podzielili ten entuzjazm. Według jednego z nich „Stuhr nie wsparł się literaturą z obszaru scenariuszy i procesów twórczych i nie skonfrontował swoich doświadczeń z doświadczeniami klasyków". Według drugiego praca „stwarza wrażenie niedosytu wynikającego ze zbyt szkicowego oraz pobieżnego omawiania poszczególnych zagadnień". Co ciekawe, doktorat czyta się jednak „bez większego wysiłku związanego choćby z chęcią zrozumienia wywodu i analizą pewnych konkretnych tematów". Jak pięknie życie pozaaktorskie zbiegło się tutaj z nauką! ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Z INNEJ PERSPEKTYWY

WOJCIECH ROSZKOWSKI

Krótki traktat o zaufaniu

Na ogół nie myślimy o tym, jak ważny jest w życiu społecznym poziom zaufania do ludzi i instytucji. Epidemia koronawirusa przypomniała aż nadto dobitnie, że od poziomu zaufania społecznego zależeć może zdrowie i życie milionów ludzi. Jeśli władze we Włoszech zlekceważyły pierwsze symptomy zarazy, to i w społeczeństwie zwyciężyła beztroska. Jeśli jednak władze włoskie zaczęły reagować, a ludzie lekceważyli zalecenia epidemiologów i zarządzenia władz, to nie ufając władzy, sprowadzili na ten kraj katastrofę. Wydawać by się mogło, że w Polsce zaufanie do władzy, niezależnie w czyich spoczywa rękach, jest na ogół dość niskie. Tymczasem po zaskoczeniu, które spowodowały radykalne posunięcia rządu Mateusza Morawieckiego, Polacy dość szybko i dość masowo przyjęli je do wiadomości i zastosowali się do nich. Być może łatwiej nam zaufać władzy, która robi wrażenie rozumnej i odpowiedzialnej, być może zadziałał jakiś atawizm polegający na świadomości, że są sytuacje, w których jesteśmy bezradni w pojedynkę, a silniejsi w jedności. Faktem jednak jest, że Polacy wykazali się sporym zaufaniem do władzy. I do siebie nawzajem w dużej mierze też.

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

Słowa „zaufanie" używamy dość często, ale rzadko zastanawiamy się nad tym, czym ono jest. Nie jest bowiem sympatią dla kogoś ani nie należy go mylić z uznaniem sprawności, intelektu czy urody tego kogoś. Złodziej może bowiem być bardzo sprawny, przystojny i świetnie ubrany, a pociągająca dziewczyna może się okazać głupia lub źle się prowadzić.

Czym jest więc zaufanie? Pewnie można by pomyśleć o lepszej definicji, ale wydaje mi się, że jest to oczekiwanie, iż ktoś lub jakaś instytucja zachowa się wedle pożądanych przez nas pozytywnych kryteriów. Jeśli policjant zachowa się wobec nas zgodnie ze swoją rolą stróża porządku, to nasze zaufanie zarówno do tego człowieka, jak i instytucji, którą reprezentuje, wzrośnie. Jeśli zaś nadużyje władzy, podejmując błędną decyzję lub traktując nas pogardliwie bądź brutalnie, to zaufanie to spadnie. Jeśli złapiemy dziennikarza na kłamstwie lub manipulacji, to nasze zaufanie do niego powinno spaść, niezależnie od tego, jak jest wymowny i jak gustownie się ubiera. Jeśli jakiś autorytet intelektualny lub moralny okaże się łajdakiem, to cierpi na tym nie tylko on sam, lecz także poziom zaufania do słów w społeczeństwie. Jeśli jakiś lekarz poważnie zajmie się naszymi dolegliwościami, to nasze poczucie bezpieczeństwa, a więc i zaufania, wzrośnie. Jeśli ktoś ustąpi miejsca staruszce w metrze czy autobusie, to nasze zaufanie do społeczeństwa wzrośnie, a jeśli ktoś zachowa się w sposób jawnie chamski – to zaufanie spadnie.

Problem jednak w ocenie, na ile poszczególne osoby odpowiadają za zaufanie do instytucji, którą reprezentują. Jeśli kłamstwo i manipulacja są tolerowane w jakiejś stacji telewizyjnej, to nasze zaufanie do niej winno spaść, ale chyba nie na tyle, by wykluczyć prawdziwość jakiejkolwiek informacji tam podawanej. Jeśli okaże się, że jakiś ksiądz jest pedofilem, to w jakiej mierze uznamy to za zachowanie typowe dla Kościoła? Zaufanie do instytucji wymaga więc zdroworozsądkowej oceny reprezentatywności postaw indywidualnych. Pojedyncze zachowania ludzi – kulturalne lub chamskie – powinny być zawsze odbierane w kontekście wielkich liczb i częstotliwości.

Jakie jednak pozytywne kryteria winien spełniać ktoś, do kogo wyrażamy zaufanie? Żeby budować trwałą wspólnotę, osoba taka winna wykazywać się nie tylko inteligencją, lecz także mądrością, kulturą osobistą, trafnością ocen, zdolnością do podejmowania decyzji, a nawet empatią czy poczuciem humoru. Jeśli polityk podejmie decyzję, która służy ogółowi, a niekoniecznie nam samym, to czy zyska nasze zaufanie? Jeśli policjant słusznie wlepi nam mandat, to czy nasze zaufanie do niego wzrośnie czy spadnie? Zależy to wszystko od tego, czy sami spełniamy pożądane kryteria.

Wrócić więc trzeba do punktu wyjścia: Jak ważne jest zaufanie w życiu społecznym? Czy ludzie, dla których życie jest tylko zabawą, w ogóle biorą pod uwagę zaufanie do swoich faworytów? Czy oczekują, że zachowają się oni uczciwie i rozsądnie? W życiu społecznym zaufanie ma więc wymiar zarówno czynny, jak i bierny. Problem nie tylko w tym, czy jakaś osoba lub instytucja zasługuje na nasze zaufanie, lecz także w tym, czy sami na nie zasługujemy. ©℗

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Już 27 kwietnia w „Do Rzeczy” dodatek

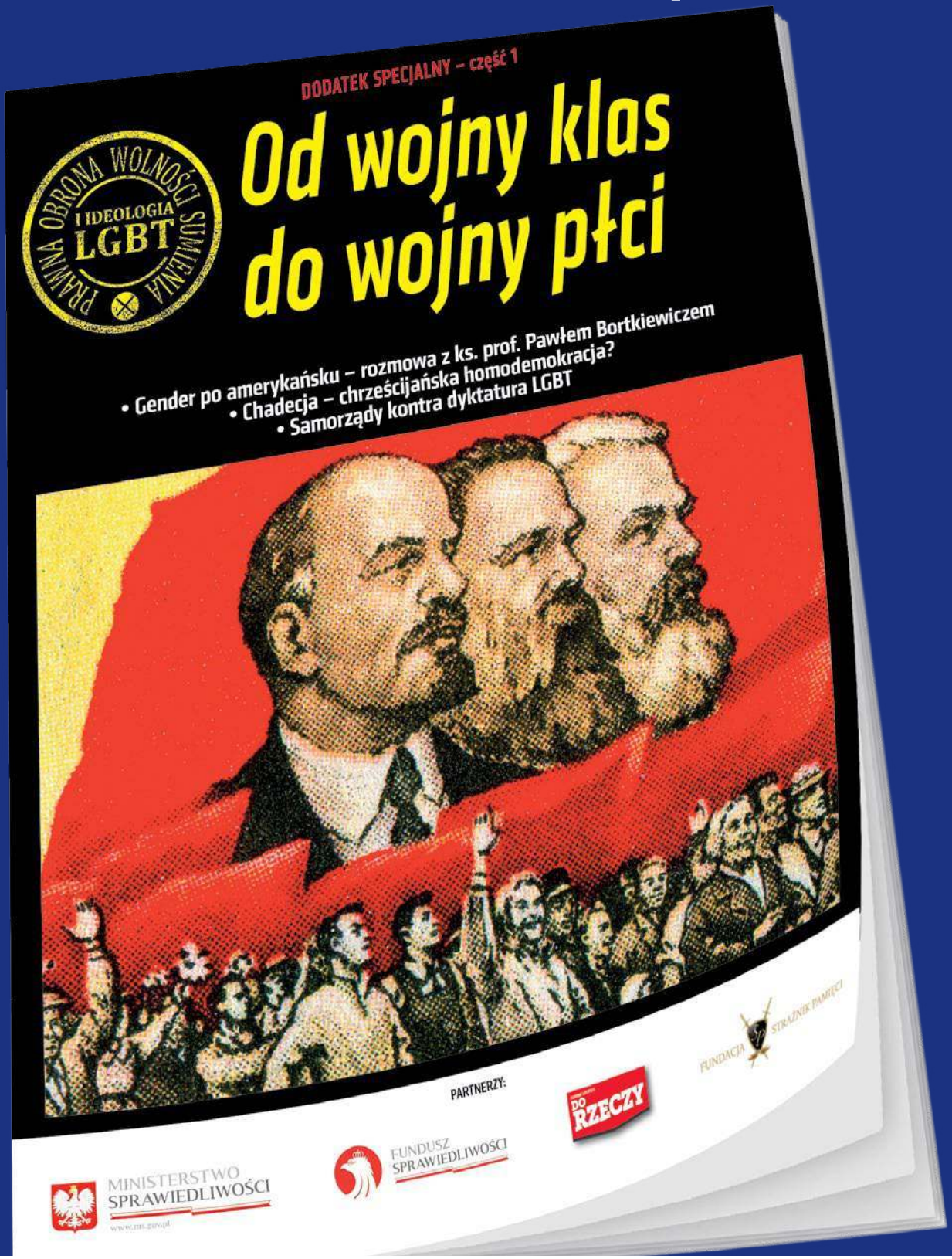

WSPÓŁFINANSOWANE ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 4a7b8d3ea0

Grupa Inwest®

Budujemy Twoją przyszłość!
Od 1996 roku

SPÓŁKA NOTOWANA NA GPW

OGÓLNOPOLSKA GRUPA DEWELOPERSKA

WARSZAWA

NOVA PRAGA KOPRZYWIAŃSKA 2 — PRAGA POŁUDNIE

NOVA PRAGA PUSTELNICKA 18 — PRAGA POŁUDNIE

ZOSTAŃMY SĄSIADAMI Mehoffera — BIAŁOŁĘKA

biuro@grupainwest.pl +48 22 616 31 94 www.grupainwest.pl

eprasa.pl 4a7b8d3ea0